

# Heidi



JOHANNA SPYRI

# Heidi

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY. W DRODZE DO HALNEGO DZIADKA

Za starym, pięknie położonym miasteczkiem Mayenfeld zaczyna się ścieżka wiodąca przez zielone, pełne drzew łąki aż do podnóża wysokich gór, spoglądających poważnie w dolinę. Zaraz od miejsca, gdzie ścieżka zaczyna piąć się wzwyż, widać wrzosowiska, krótką trawę, czuje się mocny zapach górskich ziół. Ścieżka wspina się stromo, wprost ku Alpom.

Pewnego pięknego czerwcowego dnia szła tędy wąską ścieżyną, o porannej godzinie, rosła, silnie zbudowana dziewczyna, góralka z tych okolic, wiodąc za rękę dziecko, którego policzki pałały tak silnymi rumieńcami, że płomieniście błyszczwały poprzez opaloną na brązowo od słońca skórę. Nic dziwnego. Mimo upalnego dnia dziecko było tak opakowane, jakby miało uchronić się przed najsilniejszym mrozem. Mała dziewczynka mogła mieć około pięciu lat, trudno było jednak poznać, jaka jest jej naturalna postać, gdyż kilka sukienek, wdzianych jedna na drugą, oraz ogromna, czerwona chustka czyniły z niej bezkształtną bryłę. Nogi tkwiły w ciężkich, okutych górskich trzewikach, a dziecko pięło się z trudem w górę. Po jakiejś godzinie takiej wędrówki od doliny ku górcom dotarły do wioszczyzny góralskiej, położonej w pół drogi do hali, zwanej „osiedle”. Teraz z każdego niemal domu, to z okien, to z progów, to z drogi wołano na idące, bowiem znalazły się między swoimi.

Dziewczyna nie zatrzymywała się nigdzie, odpowiadając tylko mimochodem na pozdrowienia i pytania, i tak doszły obie do krańca osiedla, gdzie z rzadka tylko stały domy. Nagle z jednych drzwi doleciało wołanie:

— Zaczekaj no, Deto! Pójdę z tobą, bo też idę ku hali!

Deta przystanęła, a dziecko zaraz puściło jej rękę i siadło na ziemi.

— Czyś zmęczona, Heidi? — spytała towarzyszka.

— Nie! Gorąco mi tylko! — odparło dziecko.

— Zaraz dojdziemy na halę. Musisz się tylko jeszcze trochę namozolić, stawiaj duże kroki, a za godzinę będziemy w domu! — dodawała jej odwagi Deta.

Z drzwi domu wyszła zamazysta, dobrotliwie wyglądająca kobieta i podeszła do nich. Mała dziewczynka wstała i poszła za dwoma znajomymi, które zaczęły zaraz z ożywieniem rozmawiać o mieszkańcach osiedla oraz rozsianych po okolicy domostw.

— Gdzież to idziesz z tą małą, Deto? — spytała nagle kobieta. — To pewnie dziecko twojej nieboszczki siostry?

— Tak! — odparła Deta. — Prowadzę ją na halę do Halnego Dziadka i tam musi zostać.

— Co? Ma zostać u Halnego Dziadka? Czy ci się pomieszało w głowie, Deto? Jakże możesz robić coś takiego! No, no, stary wyperswaduje ci to dokładnie, ręczę!

— Nie może tego uczynić, jest przecież jej dziadkiem i musi coś zrobić. Dotąd miałam dziecko u siebie, teraz jednak, powiadam ci, Barbaro, trafia mi się dobre miejsce i nie stracę go przez tę małą. Niech teraz dziadek się nią zajmie.

— Ano tak! — przyznała Barbara żywo. — Gdyby był jak inni ludzie, naturalnie, ale znasz go przecież. Cóż jednak poczniesz, i to z taką małą dziewczynką w dodatku. Nie uchowa się ona u niego. Gdzież to jedziesz, powiedzże, Deto?

— Do Frankfurtu! Dostają doskonałe miejsce. Moi państwo byli już tutaj zeszłego roku w kąpielach. Mieli pokoje na moim korytarzu, a ja ich obsługiwałam. Chcieli, bym od razu pojechała, ale nie mogłam się uwolnić. Tego roku są znowu, chcą mnie zabrać, a ja, oczywiście, pojadę, zaręczam ci, moja Barbaro.

— Nie chciałam być w skórze tej dziewczyny! — wykrzyknęła Barbara, robiąc wymowny gest. — Nikt nie wie na pewno, jak żyje tam ten stary dziwak. Z nikim się nie zadaje, nie chodzi do kościoła od długich lat, a kiedy raz na rok zjedzie do osiedla, oparty na kij, wszyscy go unikają ze strachem. Krzaczaste brwi i ogromna broda robią go podobnym do starego poganina czy leśnego człowieka, a każdy jest zadowolony, że go nie spotyka sam na sam.

— To i cóż z tego? — odparła Deta z uporem. — Jest dziadkiem i musi dbać o dziecko. Nic złego więc tej małej nie robi, bo on sam by za to odpowiadał, nie ja.

— Chciałabym wiedzieć — powiedziała Barbara — co ten stary ma na sumieniu, że tak ponuro spogląda i przebywa sam na hali, i niemal nigdy nie pokazuje się wśród ludzi. Różności o nim opowiadają, a ty, Deto, musiałas zapewne także się czegoś dowiedzieć od swej siostry?

— No tak! — przyznała. — Ale nie chcę mówić o tym, bo miałabym się z pyszna, gdyby to do niego doszło.

Barbara z dawien dawna ciekawa była dowiedzieć się czegoś o starym Halnym Dziadku, żyjącym w widocznej niezgodzie z bliźnimi, o którym mówiono półgębkiem, nie stając ani po jego stronie, ani też, jakby ze strachu, przeciw niemu. Nie wiedziała także, dlaczego wszyscy w osiedlu nazywają go „Halnym Dziadkiem”. Nie mógł być przecież dziadkiem wszystkich mieszkańców osiedla. Barbara mimo to wraz z innymi zwała go Halnym Dziadkiem, bo trudno było inaczej. Pochodziła z doliny, spod Prättigau, wyszła tu, w górach, za męża i nie знаła jeszcze dobrze wszystkich dawnych wydarzeń oraz osobistości z minionych czasów w osiedlu i okolicy. Deta, jej dobra znajoma, urodziła się w samym osiedlu, mieszkała tu z matką i wyprowadziła się przed rokiem dopiero. Matka zmarła, a Deta przyjęła miejsce pokojówki w wielkim hotelu w Ragaz, gdzie sporo zarabiała. Tego dnia rano przybyła z Ragazu wraz z Heidi. Jechały na furze siana aż do Mayenfeldu, zaproszone przez znajomego. Barbara postanowiła wykorzystać nadarżającą się sposobność, wzięła więc Detę poufale pod ramię i rzekła:

— Ty na pewno wiesz, co prawda, a co nieprawda w tej całej ludzkiej gadaninie. Opowiedz mi więc trochę, co wiesz i czy ten stary był zawsze takim postrachem wszystkich ludzi?

— Czy zawsze był taki, oczywiście, dokładnie nie mogę wiedzieć — odrzekła Deta. — Mam lat dwadzieścia sześć, on zaś pewnie przeszło siedemdziesiąt, nie znałam go więc za młodu, nie spodziewaj się wiele. Gdybym miała nadzieję, że nie rozniesie się to po całym Prättigau, mogłabym ci niejedno powiedzieć. Matka moja pochodziła z Domleschgu, a on także.

— Ach, Deto! Co mówisz? — nadąsała się trochę Barbara. — Nie każdy w Prättigau jest plotkarzem, a ja, jeśli trzeba, umiem trzymać język za zębami. Mów, a na pewno nie pożałujesz.

— Ano dobrze! Ale dotrzymaj słowa! — odrzekła Deta, potem zaś obejrzała się, czy dziewczynka nie jest zbyt blisko, by podsłuchiwać, co mówi. Ale dziewczynki nigdzie nie było. Od dawna została daleko w tyle, a rozmawiające wcale tego nie zauważyły. Deta rozglądała się wokoło. Ścieżka szła zygżakiem, ale z tej wysokości widać ją było niemal do samego osiedla. Heidi znikła.

— Widzę ją, widzę! — powiedziała po chwili Barbara i dodała, pokazując boczną ścieżynę skalną: — Wspina się w górę razem z Pietrkiem-koźlarzem i jego trzodą. Czemuż to wybrał się dziś tak późno na halę? Ale to właśnie dobrze, gdyż będzie dozorował dziecko, a ty tymczasem opowiesz mi wszystko spokojnie.

— To dozorowanie nie sprawi Pietrkowi wiele trudu! — zauważyła Deta. — Dziewczyna jest na swoje pięć lat niezwykle mądra. Umie patrzeć na wszystko i radzić sobie, a wyjdzie jej to na dobre, bo stary za cały majątek ma tylko dwie kozy i liche szalas halny.

— Czy nie miał nigdy nic więcej? — spytała Barbara ciekawie.

— On? Oczywiście, miał coś więcej nadto! — zapaliła się Deta do opowiadania. — Dawniej posiadał jedno z najpiękniejszych gospodarstw chłopskich w Domleschgu. Był starszy od swego brata, człowieka spokojnego i porządnego. Nic jednak nie robił, bawił się w pana, podróżował po całym kraju i przestawał z nieznanymi ludźmi. Toteż niedługo przegrał w karty i przepił gospodarstwo. Po opuszczeniu domu jego rodzice zmarli ze zgryzoty, jedno po drugim, a brat, doprowadzony do kija żebraczego, ruszył gdzieś w świat. Dziadek, pozbywszy się wszystkiego prócz złej opinii, znikł także. Nie wiadano zrazu, co się z nim stało, potem doszły wieści, że służy w wojsku w Neapolu, następnie zaś minęło kilkanaście lat bez żadnej wiadomości o nim. Po tym czasie zjawił się nagle z powrotem w Domleschgu z podrośniętym chłopcem i chciał go umieścić w domu któregoś z krewnych. Ale wszyscy pozamykali przed nim drzwi, nie chcąc go znać. Wówczas poprzysiął rozgorzyczony, że już nigdy nie przybędzie do Domleschgu, zamieszkał w osiedlu i żył tu z chłopakiem. Swoją żonę poznał podobno w Bünden, skąd pochodziła, ale utracił ją rychło. Musiał mieć jeszcze trochę pieniędzy, gdyż syna, Tobiasza, wykształcił na cieślę. Był to porządny chłopiec i lubiano go w całym osiedlu. Staremu natomiast nie ufano, powiadając, że uciekł z wojska przed karą, z powodu zabójstwa popełnionego, oczywiście, nie na wojnie, ale rozumiesz, tak w bójce. Myśmy jednak przyznali się do pokrewieństwa z nim, bo babka mojej matki i jego babka były rodzonymi siostrami. Nazwaliśmy go Dziadkiem, ponieważ zaś przez ojca jesteśmy spokrewnieni z całym osiedlem, więc wszyscy zwali go Dziadkiem, a odkąd osiadł na hali, zwie się „Halny Dziadek”.

— Cóż się stało z Tobiaszem? — wtrąciła rozciekawiona Barbara.

— Czekajże! Nie mogę opowiedzieć wszystkiego naraz! — oświadczyła Deta. — Tobiasz uczył się rzemiosła w Mels, potem zaś wrócił do osiedla, poślubił moją siostrę, Adelajdę, i żyli z sobą dobrze, gdyż kochali się od dawna. Pewnego dnia belka budującego się domu spadła na głowę Tobiasza, tak że zginął na miejscu. Zaniesiono go do domu, a żona z przerażenia i żalu dostała silnej gorączki, z której się nie wyleczyła. Już jako dziewczyna nie miała sił i zapadała czasem w jakiś dziwny stan pomiędzy snem a jawą. Po kilku tygodniach po Tobiaszu pogrzebano także i Adelajdę. Ludzie gadali szeroko o smutnym losie tej pary, a zdaniem ogółu była to kara, na jaką sobie Dziadek zasłużył swoim bezbożnym życiem. Powiedziano to jemu samemu, proboszcz roztrząsał mu sumienie, nakłaniając do pokuty. On jednak się uparł, zamknął się w sobie, a odtąd każdy schodził mu z drogi. Naraz rozeszła się wieść, że Dziadek wywędrował na halę, niemal wcale stamtąd nie schodzi i żyje w niezgodzie z Bogiem i ludźmi. Małą, roczną dopiero córeczkę Adelajdy wzięliśmy, wraz z matką, do siebie. Po śmierci matki dostałam miejsce w zakładzie kąpielowym, zaś dziewczynkę umieściłam u starej Urszuli w Pfäfersdorfie. Nawet po sezonie, zimą, przebywałam w zakładzie. Było zawsze sporo roboty, a ponieważ umiem szyć i łątać, więc nigdy nie zaznałam biedy. Wcześniej z wiosną przyjechali państwo z Frankfurtu, których obsługiwałam zeszłego roku, i oto zabierają mnie na dobre. Odjeżdżamy pojutrze, a ta służba jest dobra, zaręczam ci.

— Chcesz dziecko zostawić tam, u starego dziwaka? Dziwi mnie to bardzo! — powiedziała Barbara z wyrzutem.

— No i cóż? — odrzekła Deta. — Zrobiłam wszystko, com zrobić powinna była! Wszak trudno zabierać pięcioletnie dziecko do Frankfurtu? Ale dokądże to właściwie idziesz, Barbaro? Jesteśmy już prawie na samej hali.

— Mam tu właśnie w pobliżu interes do matki Piotrowej-koźlarki. Przędzie dla mnie len zimową porą. Bądź więc zdrowa, Deto, życzę ci szczęścia!

Deta podała rękę towarzysze i przystanęła, patrząc, jak zmierza ku małej, ciemnobrunatnej chatce, stojącej opodal w małej kotlinie, dość dobrze osłoniętej od wiatru. Było to w pół drogi do osiedla, a zagłębienie skalne chroniło jako tako nikłą budowlę. Mieszkać w tej na poły rozwalonej chałupinie musiało i tak być nie bardzo bezpiecznie, gdyby zaś stała wyżej, wiejący potężnie wiatr halny, pod którego naporem trzeszczały ściany i brzęczały szyby, zmiotłby ją na pewno w dolinę.

Mieszkał tu Pietrek-koźlarz, jedenastoletni chłopak, który każdego ranka szedł do osiedla po kozy, potem zaś wiódł je na halę, gdzie przez dzień cały skubały krótką, pożywną trawę. O zachodzie zręczny Pietrek zbiegał ze swoją lekkonogą tródką do osiedla, wydawał ostry gwizd, kładąc palec w usta, a właściciele kóz schodzili się, by je odebrać.

Najczęściej rodzice posyłali po nie małych chłopców i dziewczęta, gdyż łagodne kózki nie były niebezpieczne. Pietrek tylko przez ten krótki czas wieczorem obcował z podobnymi sobie stworzeniami, zaś w ciągu całego lata za towarzyszy miał jedynie kozy. W domu była matka i ślepa babka, ale Pietrek wyruszał wcześniej rano, a wracał z osiedla późno, rad jak najdłużej bawić się z dziećmi, toteż przebywał w domu tyle tylko, by rano wypić mleka i przekąsić chleba, wieczór zrobić to samo, a potem położyć się i spać jak zabity. Ojciec jego, zwany także Piotrem-koźlarzem, gdyż uprawiał ten sam zawód, zginął parę lat temu, przywalony ścinanym drzewem. Jego matka miała imię Brygida, ale dla porządku zwano ją Piotrową-koźlarką, zaś ślepa babka słynęła w całej okolicy pod nazwą „babka”, po prostu.

Deta czekała dobre dziesięć minut, rozglądając się wokół za dziećmi i kozami, nie zobaczywszy ich jednak, wyszła nieco wyżej, skąd mogła objąć spojrzeniem całą hałę i zbocze, aż do osiedla. Rozglądała się długo, a w jej ruchach i wyrazie twarzy wyraźnie widniała niecierpliwość. Dzieci zbliżały się okrężną drogą, gdyż Pietrek znał różne miejsca, gdzie było coś dobrego do jedzenia dla kóz. Prowadził zatem trzodę bardzo krętą drogą. Dziewczynka zrazu wspinała się z wysiłkiem za swym towarzyszem. Objuczona odzieżą, sapała głośno. Nie mówiąc słowa, spoglądała to na Pietrka, który bosy, ubrany w lekkie spodnie, skakał tu i tam, to znów na lekkonogie kozy, chodzące bez trudu po skalnych głazach i przesadzające rozpadliny. Nagle Heidi usiadła, zezuła prędko trzewiki, zdjęła pończochy, zrzuciła czerwoną chustkę oraz sukienkę, potem drugą, gdyż ciotka Deta włożyła na codzienną jeszcze odświętną, aby nie dźwigać tobołka, i została w lekkiej, białej sukieneczynie o krótkich rękawkach. Bardzo ją to rozweseliło. Poskładała rzeczy na kupkę i doścignęła w podskokach Pietrka. Teraz było jej lekko, tak że skakała i wspinała się wzwyż najzręczniej z całego towarzystwa. Pietrek nie zauważył, że Heidi została w tyle. Ujrawszy ją w nowym stroju, uśmiechnął się wesoło, obejrzał, a na widok kupki odzieży, otworzył usta jeszcze szerzej, od ucha do ucha. Ale nie rzekł ani słowa. Czując się swobodna, Heidi zaczęła rozmowę z Pietrkiem. Musiał odpowiadać na liczne pytania, bo dziewczynka chciała wiedzieć, ile ma kóz, dokąd je wiezie i co robi, podczas kiedy się pasą. Na koniec oboje wraz z kozami dotarli do chaty, gdzie czekała Deta. Ledwo ich dostrzegła, wykrzyknęła głośno:

— Heidi, cóż to znaczy? Gdzie obie sukienki i chustka? Kupiłam ci przecież nowe trzewiki górskie i nowe pończochy! Gdzież się to wszystko podziało?

Dziewczynka wskazała spokojnie palcem na zbocze góry i rzekła:

— Tam!

Istotnie, leżała tam jakaś kupka, czerwony punkt na wierzchu musiał być właśnie chustką.

— Głuptasie nieznośny! — wykrzyknęła Deta. — Czemużeś się rozebrała? Cóż to znaczy?

— Nie potrzebuję tego wszystkiego! — odparła Heidi, zgoła bez skruchy.

— Głupia, nieznośna dziewczyno! — narzekała Deta. — Któż po to teraz pójdzie? Przecież te rzeczy leżą o pół godziny drogi! Pietrek, pobiegnij prędko i przynieś, cóż stoisz zagapiony i jakby w ziemię wrosły?

— Spóźniłem się dziś! — odrzekł Pietrek powoli, nie ruszając się z miejsca i słuchając, z rękami w kieszeniach, wybuchu Dety.

— Stojąc na miejscu i wytrzeszczając ślepią, spóźnisz się jeszcze bardziej. Chodź no tu! Dostaniesz coś ładnego! Patrz!

Pokazała mu nowego piątaka, który go olśnił po prostu. Bez słowa skoczył na dół, biegnąc najkrótszą drogą w kierunku leżącej odzieży i dopadł do niej ogromnymi susami. Spakowawszy wszystko, wziął zawiniątko pod pachę i wrócił tak szybko, że Deta go pochwaliła i dostał zaraz swoje pięć rappów<sup>1</sup>. Pietrek schował pieniądze głęboko w kieszeń, a jego usta otworzyły się w szerokim uśmiechu, bowiem nader rzadko miewał takie skarby.

— Zanieś mi to jeszcze do chaty Halnego Dziadka. Przecież idziesz tamtędy! — powiedziała Deta, wspinając się po stromym zboczu tuż za chatą koźlarzy.

<sup>1</sup>rappa — w żargonie miejscowym znaczy centym, setna część franka. [przypis autorski]



Zrobił to chętnie i siedł z tyłu, mając pod pachą tobolek, a w drugiej ręce bat pasterki. Heidi i kozy skakały wesoło wokoło niego. Po trzech kwadransach dotarli na halę, gdzie była chata starego Dziadka, zbudowana na skalnej krawędzi, wystawiona wprawdzie na wszystkie wiatry, ale dostępna również każdemu promieniowi słońca. Słął się stąd przepyszny widok w dolinę. Poza chatą rosły trzy stare, grube jodły, o gęstych, nieprzecinanych gałęziach. Powyżej chaty droga wiodła dalej wzwyż, aż ku niemal prostopadłym szarym skałom. Z początku snuła się przez piękne, trawiaste wyże, potem przez kamieniska porosłe z rzadka krzakami i przepadała w końcu pośród nagich zwałów i bloków kamiennych.

Od strony doliny stała ławka, przymocowana do ściany. Tutaj siedział stary Dziadek z fajką w ustach, z rękami na kolanach i patrzył spokojnie na nadchodzącą czeredę kóz i dzieci. Deta została w tyle. Heidi nadbiegła pierwsza i podszedłszy do starego, powiedziała, podając rękę:

— Dzień dobry, dziadku!

— Hm, hm?... Cóż to znaczy? — odrzekł starzec szorstko, niecierpliwym podał dziewczynce rękę i zaczął patrzeć długo, przenikliwie spod gęstych brwi. Heidi wytrzymała to spojrzenie, ani razu nie mrugnawszy oczyma. Stary, kudłaty dziadek z długą brodą i brwiami podobnymi do rozczochranych krzaków był dla niej bardzo zajmującym przedmiotem obserwacji. Po chwili nadeszła ciotka i Pietrek, który stanął opodal, ciekawy dalszego ciągu.

— Dzień dobry, Dziadku! — powiedziała Deta, podchodząc. — Przyprawdam do was córkę Tobiasza i Adelajdy. Nie poznacie jej zapewne, gdyż miała zaledwie rok, gdyście ją widzieli po raz ostatni.

— Cóż to dziecko ma u mnie do roboty? — spytał szorstko. — A ty, urwisie — krzyknął na Pietrka — znowu się spóźniłeś, idź mi natychmiast z kozami, a zabierz i moje!

Pietrek usłuchał niezwłocznie i znikł, gdyż Dziadek spojrzał na niego wcale nie dwuznacznie.

— Ta mała musi u was zostać, Dziadku — odparła Deta. — Sądzę, że zrobiła, com była zrobić powinna dla Heidi przez te cztery lata, teraz na was kolej się nią zaopiekować.

— Tak? — powiedział starzec, spoglądając bystro na Detę. — A jeśli będzie tęskniła za tobą, płakała i jęczała, jak to zwykle robią takie głuptaski, to cóż wówczas pocznę?

— Wasza w tym głowa, Dziadku! — odrzuciła. — I mnie nikt nie powiedział, co mam począć, gdym roczne dziecko trzymała w ramionach, mając i tak dość troski o utrzymanie własne i matki. Teraz muszę jechać na służbę, wy zaś jesteście najbliższym krewnym Heidi. Jeśli nie chcecie, by tu została, zróbcie, co wam się podoba, biorąc oczywiście na swą odpowiedzialność, jeśli zmarnieje. Sądzę jednak, że nie macie potrzeby jeszcze bardziej obciążać sumienia.

Deta czuła, że nie postępuje jak należy, zatem w podnieceniu stąd pochodzącym, powiedziała więcej, niż to było jej zamiarem. Na ostatnie słowa Halny Dziadek wstał z ławki i spojrzał na nią tak, że się cofnęła parę kroków. Potem starzec wyciągnął rękę i rzekł rozkazująco:

— Wracaj tam, skądś przyszła, i nie pokazuj mi się rychło na oczy!

Deta nie czekała na powtórne wezwanie.

— Bądźcie więc zdrów, i ty, Heidi! — rzekła śpiesznie i czym prędzej pobiegła z góry, nie ustając aż do samego osiedla, gdyż wewnętrzne podniecenie pędziło ją jak para lokomotywę. W osiedlu nawoływano ją jeszcze bardziej niż przedtem, gdyż wszystkich dziwiła nieobecność Heidi. Znali dobrze Detę, wiedzieli, czym dzieckiem jest Heidi i jakie były jej dzieje. Toteż ze wszystkich drzwi i okien rozbrzmiewały pytania:

— Deto, gdzieś podziła dziecko?

— Zostało na hali u starego Dziadka! Przecież słyszycie, co mówię!

Bolało ją bardzo, gdy słyszała, jak kobiety mówiły z wyrzutem:

— Jakżeś mogła tak postąpić? Biedna Heidi!

Albo znów:

— Jakżeś mogła takie bezbronne, głupiutkie dziecko zostawić tam, wśród pustkowia?

Potem kobiety od nowa się użalały:

— Biedna, biedna Heidi!

Deta biegła co sił i odetchnęła, dopiero gdy głosy zostały daleko za nią. Nie była z sobą w porządku, gdyż matka, umierając, zleciła jej opiekę nad dzieckiem. Uspakajała się tylko, mówiąc sobie, że łatwiej jej będzie przyjść z pomocą siostrzenicy, gdy zarobi na służbie dużo pieniędzy. Cieszyła ją jednocześnie myśl, że zejdzie z oczu ludzi męczących ją uwagami i osiągnie dobry zarobek.

## ROZDZIAŁ DRUGI. U DZIADKA

Po odejściu Dety stary dziadek siadł z powrotem na ławce i zaczął puszczać z fajki wielkie kłęby dymu. Patrzył przy tym w ziemię i milczał. Heidi rozglądała się tymczasem radośnie wokoło, zobaczyła przybudowaną do chaty stajenkę na kozy i zajrzała do wnętrza. Była pusta. Podczas dalszych poszukiwań doszła do trzech starych jodeł. Wiatr dął poprzez gałęzie, a szczyty drzew szumiały rozgłośnie. Heidi przystanęła, nadsłuchując. Gdy wiatr nieco przycichł, obeszła chatę i wróciła drugą stroną do dziadka. Zastawszy go w tej samej pozycji, co przedtem, stanęła przed nim, założyła ręce za plecy i zaczęła mu się przypatrywać. Po chwili podniósł głowę i zapytał, patrząc na stojącą nieruchomo:

— Cóż teraz myślisz robić?

— Chcę zobaczyć, co jest tam w środku, w chacie — odparła.

— Chodź więc! — zdecydował, wstał i skierował się ku drzwiom. — Zabierz ze sobą tobolek z odzieżą! — rozkazał, stojąc w progu.

— Już mi to niepotrzebne — oświadczyła Heidi.

Starzec obrócił się i spojrzal przenikliwie na dziecko, którego czarne oczy gorzały<sup>2</sup> od ciekawości, co też może się znajdować w chacie.

— Mądre dziecko, zdaje się — mruknął pod wąsem i dodał: — Dlaczego jest ci to już niepotrzebne?

— Wolę chodzić jak kózki, lekko, na cienkich nóżkach.

— Zgoda, chodź sobie, ale zabierz te rzeczy — rozkazał dziadek — schowamy je do szafy.

Usłuchała natychmiast. Dziadek otworzył drzwi i wszedł, a Heidi za nim. Znaleźli się w obszernej izbie, stanowiącej jedyne pomieszczenie chaty. Był tu stół ze stolikiem, w jednym kącie znajdowało się legowisko dziadka, w drugim ognisko z wielkim kotłem, a po drugiej stronie widniały w ścianie wielkie drzwi. Dziadek otworzył je. Była to właśnie szafa. Wisiała tu jego odzież, na półce leżało kilka koszul, pończochy, ręczniki, na drugiej Heidi ujrzała kilka talerzy, kubków i szklanek, zaś na najwyższej leżał duży, okrągły chleb, wędzone mięso i ser. Szafa ta mieściła w sobie wszystko, co posiadał dziadek i czego potrzebował do życia. Gdy tylko szafa została otwarta, Heidi zbliżyła się prędko i wepchnęła swój tobolek głęboko, za odzież dziadka, tak by było jak najtrudniej znaleźć to wszystko. Potem objęła spojrzeniem izbę i spytała:

— Gdzie będę spała, dziadku?

— Gdzie zechcesz — odparł.

Heidi bardzo się to spodobało. Zaczęła szukać po wszystkich kątach, gdzieby sobie urządzić posłanie. Nad legowiskiem dziadka był w powale<sup>3</sup> otwór, do którego wiodła drabina. Heidi weszła po niej na strych. Znalazła tam całe kupy wonnego siana, a przez okrągłą lukę widać było dolinę, aż po krańce widnokrzęgu.

— Tutaj będę spała! — krzyknęła dziadkowi z góry. — Ślicznie tu! Chodź, dziadku, i zobacz sam!

— Znam to, znam! — odpowiedział z dołu.

— Urządzą sobie legowisko! — powiedziała, krzątając się ochoczo. — Musisz jednak przyjść i przynieść mi prześcieradło, bo na łóżku musi być prześcieradło, zanim się ktoś położy.

— Tak, tak — mruknął. Po chwili podszedł do szafy, zaczął w niej grzebać, wyciągnął spod koszul wielkie, grube płótno, mogące od biedy udawać prześcieradło, i wszedł po drabinie. Zastał na strychu porządne posłanie. Siano nastroszone było w miejscu, gdzie miała spocząć głowa, zwrócona wprost ku okrągłemu otworowi.

<sup>2</sup>gorzeć (daw.) — płonąć, palić się. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>powata — drewniany strop, sufit. [przypis edytorski]

— Dobrześ to zrobiła! — pochwalił. — Ale zaczekaj jeszcze — wziął sporą naręcz siana i pogrubiał dwukrotnie posłanie, by leżąca nie odczuwała twardego podłoża, i powiedział: — Tak. Teraz nakryjemy to prześcieradłem.

Heidi objęła oburącz płótno, ale ledwo zdołała je unieść, tak było ciężkie. Wyszło jej to zresztą na korzyść, gdyż spoistego materiału nie przebijały ostre żdźbła siana. Rozpostarli je oboje na sianie, a ponieważ było za długie i za szerokie, Heidi podwinęła brzegi pod siano. Łóżko wyglądało teraz porządnie i czysto. Heidi patrzyła na nie zamyślona, potem zaś rzekła:

— Zapomnieliśmy o czymś jeszcze, dziadku.

— O czymże to? — spytał.

— O kołdrze. Kładąc się do łóżka, trzeba wejść pomiędzy prześcieradło a kołdrę.

— Tak myślisz? A jeśli ja nie mam kołdry?

— To nic — uspokoiła go. — Zamiast kołdry można wziąć siana.

To powiedziawszy, Heidi ruszyła do sterty, ale ją powstrzymał.

— Czeka, zaraz wróć!

Zeszedł na dół i podszedł do swego legowiska. Po chwili przyniósł gruby, płócienny wór, położył go na podłodze i spytał:

— To lepsze od siana, prawda?

Heidi oburącz chwyciła wór, chcąc go rozłożyć, ale małe rączki nie mogły podolać ciężkiej tkaninie. Dziadek pospieszył z pomocą i wkrótce łóżko zostało przykryte. Heidi patrzyła na nie z podziwem, potem zaś oświadczyła:

— Śliczne mam łóżko i kołdrę! Chciałabym, by już noc nadeszła i bym się mogła położyć.

— Sądzę, że można by przedtem zjeść coś, jak myślisz?

Heidi pod wrażeniem przygotowywania łóżka zapomniała o wszystkim innym. Teraz jednak, na wzmiankę o jedzeniu, uczuła silny głód. Wczesnym rankiem dostała kawałek chleba i filiżankę cienkiej kawy, potem zaś odbyła daleką drogę. Toteż zgodziła się zaraz, mówiąc:

— I ja tak myślę.

— Skoro jesteśmy jednej myśli, to zejdź! — powiedział i oboje zeszli do izby.

Dziadek podszedł do ogniska, odsunął wielki kocioł, nastawił mniejszy, wiszący na łańcuchu, potem zaś, usiadłszy na drewnianym zydłu<sup>4</sup>, rozdmuchał węgle i dołożył drzewa. Niedługo w kociołku zaczęło syczeć, a dziadek obracał tymczasem nad ogniem wielki kawał sera, zatknięty na długi żelazny widelec. Ser nabrał ze wszystkich stron pięknego, złotego koloru. Heidi przypatrywała się temu z wielkim zaciekawieniem. Nagle jednak coś jej widocznie wpadło do głowy, gdyż pobiegła do szafy i zaczęła się żywo krzątać. Po chwili dziadek wrócił do stołu z garnkiem i upieczonym serem w rękach. Został już krągły chleb, dwa talerze i dwa noże pięknie ułożone. Heidi dostrzegła wszystko w szafie i domyśliła się, czego będzie trzeba do jedzenia.

— Dobrze, że sama potrafisz coś zrobić — pochwalił ją, kładąc ser na chlebie — ale czegoś jeszcze brak na stole.

Heidi spojrzała na garnek, z którego obiecująco buchała para, i pobiegła do szafy. Znalazła tylko jedną miseczkę. Ale jej zakłopotanie trwało nie długo. Chwyciła jedną z dwu stojących na półce szklanek i wróciła do stołu.

— Umiesz sobie, jak widzę, poradzić! — powiedział. — Gdzież będziesz teraz siedziała?

Na jedynym stołku siedział sam dziadek. Heidi skoczyła do ogniska, przyniosła zydła i usiadła.

— Siedzisz, co prawda — zauważył — ale trochę za nisko. Z mojego stołka też byś nie dosięgła stołu. Ale poradzimy i na to.

Wstał, napełnił miseczkę gorącym mlekiem, postawił ją na stołku i przysunął do zydła, tak że Heidi miała swój własny stół. Dziadek położył przed nią duży kawałek chleba i złocistego sera, potem zaś powiedział:

— Jedz, Heidi!

<sup>4</sup>zydel — prosty drewniany stołek. [przypis edytorski]



Sam usiadł na krawędzi stołu i zaczął się posilać. Heidi chwyciła oburącz miseczkę i zaczęła pić: piła, piła bez przestanku. Pragnienie, wywołane długą podróżą, pojawiło się dopiero teraz. Po chwili odetchnęła głęboko, gdyż pijąc łączywie, zapomniała oddychać, i postawiła na stołku pustą miseczkę.

— Smakuje ci mleko? — spytał dziadek.

— Nigdy nie piłam tak dobrego mleka! — oświadczyła Heidi.

— Dostaniesz jeszcze — rzekł na to.

Powtórnie napełnił miseczkę i postawił przed dziewczynką, która teraz zajadała chleb, posmarowany złocistym, miękkim jak masło serem. Smakowało jej bardzo, popijała mlekiem i miała bardzo zadowoloną minę. Po jedzeniu dziadek poszedł do obórki, by ją uporządkować. Heidi przyglądała się z zaciekawieniem, jak zamiatał, a potem rozrzucał świeżą mierzwę<sup>5</sup>, by kozom było wygodnie spać. Następnie ruszył ku zaroślom. Wyciął tam kilka długich kijków, zaczął majstrować koło sporej deski, wiercił dziury, klepał, kuł, wbijał gwoździe i oto nagle zrobił się z tego wszystkiego stół taki sam jak dziadka, tylko dużo wyższy.

— Co to jest, Heidi? — spytał w końcu dziadek.

— To jest mój stół, bo taki wysoki. Jakżeś prędko go zrobił, dziadku! — powiedziała, zdjęta wielkim podziwem.

— Rozumie wszystko, na co patrzy! — mruknął pod wąsem. Potem zaczął krążyć wokół chaty. Gdzieś tam wbił gwóźdź, poprawił coś u drzwi, chodził długo z młotkiem i gwoździami w rękach, latając to i owo lub usuwając, co niepotrzebne. Heidi chodziła za nim krok w krok, patrzyła na niego nieustannie, a wszystko, co robił, wydawało jej się bardzo zabawne.

Na tym upłynął im czas do wieczora. Stare jodły zaszumiały głośniejsze, silny wiatr rozkołysał ich gęste korony. Heidi słuchała tego szumu z nieopisanym zachwytem, skakała wesoło dookoła drzew, doznając ogromnej radości, a dziadek patrzył na nią, stojąc pod drzwiami obórki. Nagle zabrzmiał przenikliwy gwizd. Heidi przerwała skakanie, a dziadek spojrział w stronę gór. Wąską ścieżyną pędziła w szalonych skokach trzoda kóz, a pośrodku nich biegł Pietrek. Heidi wydała okrzyk radości i rzuciła się między kozy, witając z osobna każdą, starą znajomą z dzisiejszego ranka. Pod chatą zatrzymało się wszystko, a ze stada wyszły dwie smukłe kózki, biała i brunatna. Zbliżywszy się do dziadka, zaczęły lizać jego palce, w których miał sól. Robił tak każdego wieczora, witając swoje zwierzęta. Pietrek popędził dalej trzodę, a Heidi głaskała jedną i drugą kozę, potem zaś pobiegła wokoło, by je pogłaskać także z drugiej strony, i radowała się nimi bardzo.

— Czy one naprawdę nasze? Czy obie nasze, dziadku? — pytała. — Czy pójdą do obórki? Czy zostaną u nas na zawsze? — pytała i pytała, tak że dziadek z trudem mógł wtrącić swoje: „Tak, tak”.

Gdy kozy zlizyły sól, powiedział:

— Przynies teraz swoją miseczkę i chleb.

Heidi przyniosła posłusznie jedno i drugie. Dziadek udoił z białej kozy pełną miseczkę mleka, ukroił chleba i rzekł:

— Teraz jedz, a potem idź spać! Ciotka Deta zostawiła dla ciebie zawiniątko, są tam koszule i inne drobiazgi. Znajdziesz je w razie potrzeby w szafie. Ja się zajmę kozami. Dobranoc!

— Dobranoc, dziadku! Dobranoc! A jak się nazywają nasze kózki? Jak się nazywają, dziadku? — pytała, biegnąc za odchodzącymi.

— Biała nazywa się Białuszka, a brunatna Buraska! — odpowiedział.

— Dobranoc, Białuszko! Dobranoc, Burasko! — wykrzyknęła z całej siły, bo kozy weszły już do obórki. Potem siadła na ławce, zaczęła jeść i pić, ale musiała się spieszyć, gdyż wiatr dął tak silnie, że omal nie zdmuchnął jej z siedzenia. Skończywszy, weszła po drabinie do swej sypialni, wsunęła się pod kołdrę i po chwili spała tak smacznie, jakby leżała w książęcym łożu. Niedługo potem, jeszcze przed zupełnym zapadnięciem nocy, położył się także dziadek. Wstawał zawsze razem ze słońcem, a wiadomo, że w górach słońce wschodzi latem bardzo wcześnie. Wiatr nabral w nocy takiej siły, iż cały dom

Wiatr

<sup>5</sup>*mierzwa* — zgnieciona słoma, używana najczęściej na podściółkę dla zwierząt gospodarskich. [przypis edytorski]

drzał, belki trzeszczały, w kominie wyło żałośnię, a mniejsze gałęzie starych jodeł spadały raz po raz na ziemię. Dziadek wstał, mruknął pod wąsem: — Pewnie się boi ta mała! — wszedł na strych i zbliżył się do legowiska Heidi. Szybko przelatujące chmury zakrywały, to znów odsłaniały księżyc. Właśnie teraz przez krągły otwór dachu padły na dziecko jasne promienie. Leżała spokojnie, zarumieniona z powodu ciężaru kołdry, podłożywszy pod głowę krągłe ramię, i śniło się jej zapewne coś miłego, gdyż miała rozradowaną buzię. Dziadek patrzył na nią, póki było jasno, potem zaś wrócił na swoje legowisko.

## ROZDZIAŁ TRZECI. NA PASTWISKU

Wczesnym rankiem zbudził Heidi przenikliwy gwizd. Otworzywszy oczy, ujrzała pęk złocistych promieni, które padając przez otwór, przepajały jej posłanie, siano i wszystko wokoło przecudną poświatą. Rozglądała się przez chwilę, wielce zdumiona, gdyż nie wiedziała, gdzie jest. Dopiero gruby głos dziadka przypomniał jej, skąd przybyła i że jest u dziadka na hali, nie zaś u starej Urszuli, która była całkiem głucha, a siedziała ciągle przy ognisku, gdyż drżała zawsze z zimna. Nie pozwalała Heidi wychodzić z izby, dlatego że, nie słysząc, chciała ją mieć ciągle na oku. Heidi nieraz ciasno było w izbie i chętnie wybiegłaby w pole. Toteż ucieszyła się, wspomniawszy, gdzie jest, ile nowości poznała wczoraj, ile ich dziś ujrzy, a zwłaszcza Białuskę i Buraskę. Wyskoczyła czym prędzej z pościeli i w ciągu kilku minut wdziała to, co miała na sobie poprzedniego dnia, a było tego bardzo mało. Zeszła po drabinie i wyskoczyła za próg chaty. Stał tu Pietrek ze swoją trzodą, a dziadek wyprowadzał właśnie obie kozy z obórki, żeby je przyłączyć do reszty towarzystwa. Heidi pobiegła je przywitać.

— Czy pójdziesz na pastwisko? — spytał dziadek, a Heidi podskoczyła wysoko z radości. — Ale przedtem trzeba się umyć. Inaczej słońce cię wyśmiej. Jest czyste i lśniące, więc nie lubi brudasów. Tam masz przygotowane, co trzeba!

Wskazał na wielki ceber<sup>6</sup>, pełny wody, stojący przed drzwiami w słońcu. Heidi pobiegła i dopóty się pluwała i myła, aż była czystuieńka. Tymczasem dziadek wszedł do chaty, mówiąc do Pietrka:

— Chodź no tu, kozi generale, i weź ze sobą plecak!

Zdumiony Pietrek wszedł i podał plecak, w którym miał swój chudy posiłek południowy, wzięty z domu.

— Otwieraj! — rozkazał dziadek, potem zaś włożył do środka wielki kawał chleba i sporo sera.

Pietrek wytrzeszczył oczy, bowiem to, co starzec włożył do plecaka, przewyższało dwukrotnie jego własne zapasy.

— Tak! Teraz jeszcze miseczka — rzekł dziadek. — Heidi nie umie pić jak ty, prosto z wymienia. Udoisz jej w południe dwie pełne miseczki, bo dziecko pójdzie z tobą i zostanie do wieczora. Uważaj, by nie spadło ze skał... rozumiesz?

W tej chwili wbiegła Heidi, wołając:

— Teraz już chyba słońce mnie nie wyśmiej, dziadku? — spytała żywo. Natarła twarz, szyję i ramiona grubym ręcznikiem, który dziadek położył obok cebra, tak silnie, że była czerwona jak rak.

Uśmiechnął się na ten widok i rzekł:

— Nie ma już powodu cię wyśmiewać. Ale gdy wrócisz, musisz się cała skąpać w cebrze, bo kto chodzi za kozami, brudzi sobie nogi. Teraz możecie iść.

Ruszyli wesoło w górę. Nocny wiatr zdmuchnął ostatnią chmurkę z nieba, które ciemnoszafirowe teraz, sklepiło się nad nimi, a pośrodku błyszczało słońce. Jego jasne promienie złociły zielen łąk, a niebieskie i żółte kwiatki rozwierały kielichy, patrząc wesoło w niebo. Heidi biegała na wszystkie strony, nie posiadając się z radości. W jednym miejscu kwitły czerwone, w innym błękitne lub żółte kwiatki i to całymi łanami, wabiąc ku sobie dziewczynkę, która wobec tych wspaniałości zapomniiała nawet o kozach i Pietrku. Wybiegała daleko naprzód, to znów zbaczała z drogi, zrywając masami kwiatki do fartuszka. Postanowiła je powtykać w siano swego legowiska, by wyglądało jak łąka. Pietrek musiał patrzeć na wszystkie strony, co było nie łatwym zadaniem, gdyż jego

Natura

<sup>6</sup>ceber — duże, drewniane naczynie wykonane z klepek. [przypis edytorski]

oczy, okrągłe niby kule, poruszały się dość powoli. Kozy także naśladowały Heidi, biegając tu i tam, toteż Pietrek gwizdał i nawoływał nieustannie, by zgromadzić rozbiegane zwierzęta.

— Gdzież się to znowu zapodziała, Heidi? — krzyczał trochę groźnym głosem.

— Tu jestem! — odpowiedziała skądś.

Pietrek nie mógł jej widzieć, gdyż siedziała na ziemi za małym pagórkiem porośniętym macierzanką. Powietrze przepajał zapach, jakiego Heidi dotąd nie знаła. Tkwiąc w tej gęstwie, wdychała woń pełną piersią.

— Chodźże, chodź! — wołał Pietrek. — Nie wolno ci spaść ze skały! Dziadek za-  
bronił, rozumiesz?

— A gdzie te skały? — spytała, nie ruszając się z miejsca, gdyż podobny do kadzidła zapach stawał się coraz to miłszy.

— Tam, wysoko, bardzo wysoko! Mamy jeszcze długą drogę przed sobą, więc chodź. Na szczycie skał siedzi drapieżny ptak i skrzeczy.

To pomogło. Heidi skoczyła na równe nogi i z fartuszkim pełnym kwiatów przybiegła do Pietrka.

— Masz już dość! — powiedział, wspinając się razem z nią wyżej. — Nie zrywaj więcej, bo ciągle będziesz zostawała w tyle, a zresztą zabraknie ci ich na jutro.

Ta ostatnia racja przekonała ją w zupełności. Zresztą fartuszek był niemal pełny. Szła zatem dalej z Pietrkiem, a kozy także szły w większym porządku, gdyż już z daleka zwęszyły smakowite zioła wyżynnych pastwisk i dążyły ku nim wytrwale. Zwyczajną, codzienną kwaterą Pietrka i pastwiskiem jego kóz była obszerna łąka u podnóża stromych skał, które, obrosłe w niższej części krzakami i kosodrzewiną<sup>7</sup>, dalej sterczały nagie i strome w niebo. Hala po jednej stronie opadała ostrym zboczem i dziadek miał słusność, ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Gdy tu dotarli, Pietrek zdjął plecak i troskliwie umieścił go w niewielkim zagłębieniu, z obawy, by silniejszy podmuch wiatru nie stoczył na dół tych skarbów. Potem położył się jak długi na oblanej słońcem trawie, wypoczywając po trudach wędrówki.

Heidi odwiązała fartuszek, zwinęła go starannie wraz z kwiatami, położyła obok Pietrkowego plecaka, potem zaś usiadła koło leżącego i zaczęła się rozglądać. Dolina, rozlśniona porankiem, leżała nisko w dole. Heidi miała przed sobą rozległe pole śniegowe, sięgające, zdało się, samego nieba, po lewej zaś stronie olbrzymi masyw skalny, uwień-  
czony jakby zębatymi wieżyczkami. Wyglądało to bardzo poważnie, tak że dziewczynka zamilkła i siedziała bez słowa wśród ogromnej ciszy. Lekki powiew wiatru muskał różyczki złotojeści<sup>8</sup>, które chwiały się wesoło na cienkich łodyżkach. Znużony Pietrek zasnął, a kozy wspinały się po skałach, ogryzając krzaki. Czegoś równie pięknego Heidi nigdy dotąd nie przeżyła. Wchłaniała promienie słońca i woń kwiatów, nie pragnąc niczego, tylko by zostać tu na zawsze. Minęło sporo czasu. Dziewczynka tyle razy spoglądała na strome skały, że nabrały one powoli wyglądu jakby rysów twarzy i patrzyły teraz na nią jak starzy dobrzy przyjaciele.

Nagle usłyszała nad sobą głośny, ostry wrzask i skrzeczenie. Spojrzawszy w górę, uj-  
rzała ogromnego ptaka, jakiego nie widziała w życiu. Unosił się na potężnych skrzydłach, krążąc tuż nad jej głową, zataczał wielkie koła, skrzecząc coraz głośniej.

— Pietrek! Pietrek! Zbudź się! — wykrzyknęła. — Patrz, patrz, przyleciał drapieżny ptak.

Zerwał się na to wołanie i oboje patrzyli na ptaka, który wznosząc się coraz wyżej w błękity, znikł wreszcie za szarą skałą.

— Gdzie poleciał? — zapytała Heidi, która przez cały czas z napięciem śledziła orła.

— Do domu, do gniazda — odpowiedział.

— To on tam wysoko mieszka? Jakże to piękne! A czemu tak przeraźliwie kracze? — pytała dalej.

— Bo musi — objaśnił chłopiec.

— Wiesz co, wyjdziemy tam i zobaczymy gniazdo — zaproponowała.

<sup>7</sup>*kosodrzewina* — gatunek sosny karłowatej, rosnącej na terenach górskich. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*złotojeść* — posłonek, roślina o złocistożółtych kwiatach kształtu małych różyczek, występująca w suchych, dobrze nasłonecznionych miejscach, takich jak łąki i południowe stoki górskie. [przypis edytorski]

— O! O! O! — wykrzyknął Pietrek z coraz to większą niechęcią za każdym „o”. — Tam nawet koza nie dojdzie, a zresztą dziadek zabronił ci spadać ze skał.

Nagle Pietrek zaczął wydawać gwałtowne okrzyki i przeraźliwie gwizdać. Heidi nie wiedziała, co to ma znaczyć, ale kozy widocznie zrozumiały, gdyż jedna po drugiej zaczęły zeskakiwać ze skał i niebawem cała trzoda zebrała się na łące. Zwierzęta chrupały wonną trawę, biegały lub z lekka bodły się dla rozrywki. Heidi gonila za nimi, skakała w zawody i zapoznawała się z każdą osobiście, bowiem każda miała odrębny wygląd i odmienne obyczaje. Tymczasem Pietrek otworzył plecak i rozłożył pięknie w kwadrat na ziemi cztery porcje jedzenia wydobyte z wnętrza: dwie większe po stronie Heidi, a dwie mniejsze po swojej, pamiętając dobrze, dla kogo to dostał. Potem wydoił z wymion Białuszki całą miseczkę świeżego mleka i postawił pośrodku kwadratu. Następnie przywołał Heidi. Nie poszło to tak łatwo, jak z kozami, gdyż dziewczynka, rozbawiona i uszczęśliwiona skokami nowych towarzyszek, prócz nich nie widziała i nie słyszała niczego wokoło. Pietrek zdołał jednak zwrócić na siebie jej uwagę, krzycząc tak, że huczało po skałach. Heidi nadbiegła w końcu i na widok zastawionej biesiady zaczęła skakać wokoło.

— Daj spokój! — napomniał ją Pietrek. — Teraz trzeba jeść, nie skakać. Siadaj i bierz, co twoje!

Heidi usiadła.

— Czy to moje mleko? — spytała, patrząc z upodobaniem na ponętny kwadrat z miseczką pośrodku.

— Twoje — odrzekł. — Twój jest też ten duży ser i chleb. Gdy wypijesz, dostaniesz drugą miseczkę mleka od Białuszki. Potem ja się napiję.

— A skąd weźmiesz mleka?

— Wydoję swoją kozę, tę krasą<sup>9</sup>. No, zaczynajże.

Heidi najpierw wypila mleko, a Pietrek powtórnie napełnił miseczkę. Heidi odłamała sobie kawałek chleba, resztę zaś, wraz ze sporą porcją sera, co razem było większe od całego zapasu Pietrka, z którym się już niemal załatwił, podała mu, mówiąc:

— Weź to sobie, ja mam już dość.

Pietrek spojrział na Heidi oniemiały, bowiem w ciągu całego życia nikt nigdy dotąd nie powiedział mu i nie zrobił dla niego czegoś takiego. Zawahał się, nie będąc pewny, czy to prawda, ale Heidi wzięła chleb z serem i położyła na kolanach chłopca. Przekonawszy się w końcu, że to sprawa na serio, skinął głową na znak podziękii i uznania, potem zaś wyprawił sobie ucztę niepamiętną od czasu, kiedy pasał kozy. Heidi patrzyła ustawicznie na kozy, potem zaś rzekła:

— Czy znasz ich imiona?

Pietrek znał je doskonale, a mógł to pomieścić w głowie tym łatwiej, że nie zawierała poza tym wielu innych zbytecznych zapasów. Wymienił bez omyłki wszystkie imiona, wskazując palcem każdą kozę z osobna. Heidi z zaciekawieniem słuchała wykładu i wkrótce nauczyła się nazywać je i odróżniać, bowiem każda posiadała łatwe do zapamiętania cechy. Trzeba było tylko uważnie patrzeć, a Heidi właśnie to robiła. Na przykład wielki Trykacz, o silnych rogach, usiłował ciągle bóść towarzyszy, a oni niemal zawsze uciekali, nie chcąc mieć do czynienia z grubianinem<sup>10</sup>. Tylko mała, zręczna kózka, Ziębulla, nie unikała napaści. Przeciwnie, często sama zaczepiała go po kilka razy, i to tak szybko i dzielnie, że wielki cap głupiał ze zdziwienia i nie napadał, widząc, jak wojowniczego ma przeciwnika i jak ostre są jego różki. Inna znowu kózka, Śnieżka, beczała ciągle tak uparcie i płaczliwie, że Heidi podbiegała do niej i tuliła jej głowę. I w tej chwili właśnie rozbrzmiał żaloszny głos młodej kózki, Heidi poskoczyła, otoczyła jej szyję ramieniem i spytała ze współczuciem:

— Cóż ci to, kochana? Czemu wzywasz ratunku?

Kózka przytuliła się do niej z zaufaniem i przestała beczeć. Pietrek, siedzący dotąd przy uczcie, wyjaśnił sprawę, przerywając jednak często, gdyż miał jeszcze co gryźć i popijać.

— Ona tęskni za starką! Sprzedano ją przedwczoraj do Mayenfeldu i już nie chodzi z trzodą na tę halę.

— Cóż to za starka?

<sup>9</sup>krasy (gw.) — o zwierzęciu gospodarskim: o sierści czarno-białej, łaciate. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>grubianin — człowiek nieokrzesany, nieuprzejmy. [przypis edytorski]

— Ba... oczywiście, jej matka.

— A gdzie babka?

— Nie ma babki.

— A dziadek?

— Nie ma dziadka.

— Biedna moja Śnieżko! — powiedziała Heidi, tuląc czule kózkę. — Ale nie płacz! Widzisz, ja tu będę przychodziła codziennie, więc nie zostaniesz sama i opuszczona. A jeśli ci coś dolegało, przyjdź do mnie.

Śnieżka potarła kilka razy głowę o ramię Heidi i przestała żałośnie beczeć. Tymczasem Pietrek skończył jeść i wrócił do swej trzody oraz do Heidi, która znowu poczyniła dużo spostrzeżeń.

Białuszka i Buraska były bezsprzecznie najpiękniejszymi i najschludniejszymi kozami całego stada. Miały pewną godność w zachowaniu, trzymały się na uboczu, a zwłaszcza natrętnego Trykacza traktowały wzgardliwie i odpychająco.

Zwierzęta zaczęły znowu sięgać po krzaki, a każde robiło to na swój sposób. Jedne kozy biegły na przełaj, skacząc przez wszystko, co napotykały, inne szły rozważnie, chwytając po drodze upatrzone, smakowite ziółka, a Trykacz próbował, jak zawsze, napadać na każdą. Białuszka i Buraska wspinały się po skałach zręcznie, lekko, wybierały co najpiękniejsze krzaki i ogołacały je wprawnie z liści. Heidi założyła ręce za plecy i przyglądała się wszystkiemu z wielką uwagą.

— Pietrku! — powiedziała po chwili do leżącego chłopca. — Białuszka i Buraska to najpiękniejsze kozy z całego stada, prawda?

— Oczywiście — odparł. — Halny Dziadek myje je, czesze, daje im sól i ma najlepszą obórkę.

Nagle Pietrek skoczył na równe nogi i w ogromnych susach popędził w ślad za kozami, a Heidi za nim. Coś się widocznie stało, nie mogła więc zostać na miejscu. Pietrek gnał przez sam środek stadka w kierunku skalnego zbocza, ku któremu biegła w podskokach lekkomyślna kózka. Jeszcze parę kroków, a mogła spaść i połamać sobie nogi. Była to zuchwała Ziębulka. Pietrek dopadł na miejsce w ostatniej chwili, chciał ją złapać za rogi, ale upadł i zdołał tylko chwycić nogę kozy. Ziębulka zabeczwała z gniewu i zdumienia, że przeszkadza jej skakać dalej wesoło, i wrywała się uporczywie naprzód. Pietrek zaczął wołać Heidi na pomoc, gdyż Ziębulka z całej siły szarpała nogą. Dziewczynka przybiegła i zrozumiałwszy od razu grozę położenia, zerwała garść wonnych ziół, podsunęła pod nos kozy i zaczęła przemawiać do niej łagodnie:

— Miejże rozum, Ziębulko! Widzisz przecież, że tam jest przepaść. Łatwo spaść i złamać nogę, a to bardzo boli!

Kózka zwróciła ku niej głowę i zaczęła jeść z ręki Heidi. Pietrek tymczasem wstał i chwycił sznur, otaczający szyję Ziębulki, na którym wisiał dzwonek, Heidi ujęła sznur z drugiej strony i oboje odprowadzili buntowniczkę do trzody. Mając ją w swej mocy, Pietrek podniósł bat, chcąc przykładowo ukarać Ziębulkę, a ona cofnęła się trwożnie, przewidując, co nastąpi. Ale Heidi krzyknęła:

— Nie bij jej, Pietrku! Widzisz przecież, jak się boi!

— Zasłużyła na karę! — odparł Pietrek, zamierzając się.

Heidi chwyciła go za ramię, wołając:

— Nie bij! To boli! Puść ją!

Pietrek zdumiał się na ten rozkazujący ton Heidi, widząc przy tym, jak jej oczy błyszczą, bezwiednie opuścił bat i powiedział łagodnie:

— Zgoda, ale dasz mi jutro kawałek sera.

Chciał mieć, oczywiście, jakieś odszkodowanie za strach.

— Dam ci jutro i każdego dnia cały ser i chleb! — przystała Heidi. — Nie chce mi się jeść. Ale za to nie wolno ci bić Ziębulki ani Śnieżki, ani żadnej innej kozy.

— Wszystko mi jedno! — mruknął Pietrek, co znaczyło, że się zgadza. Puścił Ziębulkę, a kózka w podskokach dołączyła do towarzystwa.

Dzień minął niepostrzeżenie, a słońce zaczęło się chylić do zachodu. Heidi siedziała znowu na ziemi, patrząc w milczeniu na błękitne gencjany<sup>11</sup> i żółte różyczki złotojeści.

<sup>11</sup>gencjana — tu: goryczka (łac. *Gentiana*), roślina zielna. [przypis edytorski]

Kwiatki płonęły w słonecznej poświacie, a całą trawę wokół złościły promienie zachodu. Heidi zauważyła, że skały zaczynają lśnić i błyszczeć. Skoczyła na równe nogi, wołając:

— Pietrku! Pietrku! Pali się! Palą się góry, śnieg i niebo! Patrz! Skały są rozpalone do czerwoności. Płonie śnieg. Płoną jodły. Wszystko wokół się pali!

— Codziennie tak jest! — zauważył spokojnie, manipulując przy bacie. — To zresztą nie jest ogień!

— A cóż to jest? — pytała Heidi, skacząc po łące i rozglądając się wokół. — Cóż to jest, Pietrku?

— Tak sobie bywa samo z siebie... — odpowiedział.

— Spójrz tam! — wołała podniecona. — Wszystko stało się różowe, śnieg i wysokie skały. Jak się one nazywają?

— Skały nie nazywają się nijak!

— Jakże piękny jest ten różowy śnieg. Patrz! Na skałach jest mnóstwo, mnóstwo cudnych róż. Szarzeją teraz. O, o! Wszystko gaśnie! Już koniec! — Heidi usiadła na trawie smutna i zmieszana, jakby istotnie nastąpił koniec świata.

— Jutro będzie znowu tak samo! — oświadczył Pietrek. — Wstawaj! Czas nam wracać.

Zaczął gwizdać, kozy złączyły się w stadko i rozpoczęły drogę powrotną.

— Czy naprawdę codziennie bywa tak pięknie na pastwisku? — pytała Heidi pożądliwie, czekając potwierdzenia i idąc żwawo obok towarzysza.

— Przeważnie! — odparł.

— A jutro będzie tak samo? Prawda?

— Pewnie, pewnie... — zaręczył Pietrek.

Heidi była zachwycona wrażeniami, a w jej głowie snuło się dużo różnych myśli. Ciącha, zadumana doszła do chaty dziadka. Zastała go pod jodłami, na ławce, gdyż i tu tak samo postawił ławkę. Czekał na wracające kozy. Heidi zaraz do niego przybiegła, a za nią Białuska i Buraska, bowiem kozy znały dobrze swego pana i obórkę. Pietrek zaś zawołał:

— Przyjdę po ciebie jutro! Dobranoc! — Zależało mu bardzo, by Heidi poszła na pastwisko.

Podbiegła do niego, podała mu rękę, zapewniła, że jutro się zobaczą, potem zaś weszła w zabierającą się do drogi trzódkę, objęła za szyję Śnieżkę i powiedziała jej poufnie:

— Śpij spokojnie! Bądź pewna, że się jutro spotkamy, i nie becz tak żałośnie!

Śnieżka spojrzała na Heidi wesoło, z wdzięcznością, i poszła ze stadkiem w stronę osiedla.

Heidi wróciła pod jodły.

— Dziaduniu! — wołała już z daleka. — Jakże pięknie było na pastwisku! Ogień i róże na skałach, błękitne i żółte kwiatki! Patrz, co ci przynoszę!

To rzekłszy, wysypała przed nim z fartuszka cały swój kwiatny skarb. Ach, jakże wyglądały teraz biedne kwiatki! Nie mogła ich rozpoznać. Podobne były do siana, a wszystkie kielichy pozamykały się.

— Dziadku! — zawołała przerażona. — Co się stało z tymi kwiatkami! Czemu tak wyglądają?

— Ich miejsce jest na łące, w słońcu, a nie w fartuszku — odpowiedział.

— Już ich nie będę zrywała — oświadczyła Heidi. — Ale czemu drapieżny ptak tak głośno skrzeczał i krakał, powiedz, dziaduniu!

— Teraz musisz się wykąpać, a ja pójdę do obórki po mleko. Potem spotkamy się w izbie, zjemy kolację i odpowiem ci na to, o co zapytasz.

I tak się stało. Niedługo potem Heidi siedziała na swoim wysokim stołku, obok dziadka, mając przed sobą miseczkę z mlekiem. Ponowiła zaraz pytanie:

— Powiedz, dziadku, czemu drapieżny ptak tak krzyczy i kracze nad głową człowieka?

— Chce w ten sposób wyrazić swą wzdąłość ludziom, którzy tłoczą się po wsiach i wiodą ze sobą spory. Powiada: „Lepiej by wam było rozejść się i żyć z osobna”.

Słowa dziadka brzmiały ostro, niemal dziko i przypominały Heidi dokładnie wrzask drapieżnego ptaka, który teraz zapamiętała jeszcze lepiej.

— A dlaczego skały nie mają nazw? — spytała znowu.



— Mają nazwy! — rzekł dziadek. — Opisz mi którąś z nich, tak bym poznał, a powiem ci, jak się zowie.

Heidi opisała wymownie stromą ścianę skalną, zwieńczoną wieżycami i wrębami, a zadowolony z jej bystrości dziadek objaśnił:

— Bardzo dobrze! Ta góra skalna nazywa się Falknis. Czy widziałas jeszcze inną?

Heidi opisała górę z wielkim polem śniegowym, które pałało<sup>12</sup> o zachodzie, potem poróżnowiało, a w końcu zaś zagasło i stało się całkiem szare.

— Znam tę górę — rzekł dziadek — to Cezaplana. Więc podobało ci się, widzę, wszystko na pastwisku?

Heidi opowiedziała swe wrażenia z całego dnia, opisała wspaniałą czerwoną lunę wieczorną i spytała, skąd się to bierze, bo Pietrek nie umiał wyjaśnić.

— Widzisz — rzekł dziadek — to robi słońce. Żegna w ten sposób na noc góry, posyła im ostatnie promienie, by pamiętały, że wróci do nich rano.

Spodobało się to Heidi tak bardzo, że zapragnęła doczekać ranka, żeby pójść na pastwisko i zobaczyć, jak to słońce żegna góry. Tymczasem jednak trzeba było iść spać. Przez całą noc spała smacznie na swym legowisku z siana, marząc o lśniących, różowych górach i skaczącej wesoło kózce Śnieżce...

## ROZDZIAŁ CZWARTY. U BABKI

Nazajutrz znowu wzeszło jasne słońce, przyszedł Pietrek z kozami, poszli oboje na pastwisko i tak się działo dzień po dniu. Heidi ogorzała na brązowo, nabrała sił i zdrowia, tak że nic jej nigdy nie dolegało. Życie płynęło jej wesoło i przyjemnie jak ptaszkom w koronach drzew. Nastala jesień, zza gór zaczął wiać ostry wiatr. Pewnego wieczora dziadek rzekł:

— Jutro zostaniesz w domu, Heidi. Wicher może takie maleństwo jak ty lada podmuchem zwiać w przepaść.

Rano dowiedział się o tym Pietrek i popadł w rozpacz, gdyż ujrzał przed sobą czarną przyszość. Bez Heidi nudził się teraz straszliwie na pastwisku, ponadto miał utracić obfity posiłek, a w dodatku kozy, nawykłe do obecności dziewczynki, stawiały opór i rozbiegały się na wszystkie strony, tak że miał dużo z nimi zachodu. Ale Heidi nie czuła się wcale nieszczęśliwa i zawsze miała coś interesującego do obserwowania. Oczywiście, lubiła bardzo chodzić z kozami i pasterzem na halę do kwiatków i drapieżnego ptaka, ale ciekawiła ją także domowa krzątająca dziadka, który ciągle coś przybijał lub sporządzał i naprawiał sprzęty. Heidi wpadała w zachwyt, patrząc, jak zawiąwszy rękawy, robi w wielkim kotle okrągłe serki z koziego mleka. Nie nudziła się nigdy, przesiadując w domu. Głównie pociągał ją szum wichru w koronach starych jodeł. Wybiegała ku nim raz po raz. Ten tajemniczy, głęboki szum wydawał się jej najpiękniejszą muzyką. Heidi stała nieraz długo pod drzewami, spoglądając w górę i dziwiąc się sile wichru. Słońce nie dogrzewało teraz tak, jak latem, a dziewczynka musiała odszukać w szafie i przywdziać pończochy, trzewiki, oraz spódnice, gdyż było coraz chłodniej. Gdy stała pod jodłami, wiatr przewiewał ją na wskroś, niby cienki listek, mimo to jednak biegała tam ciągle, nie mogąc wysiedzieć w izbie, gdy wiało.

Niebawem zrobiło się porządnie zimno i Pietrek każdego ranka chuchał w dłonie. Wreszcie spadł obfity śnieg, cała hala pobielala i jak okiem sięgnąć, nie było nigdzie widać bodaj jednego zielonego listeczka. Pietrek nie przychodził już teraz z kozami, a Heidi patrzyła z zachwytem przez małe okienko na padający ciągle śnieg. Nagromadziło się go tyle, że zaspas sięgnęła samego okienka, potem zaś wzrosła jeszcze wyżej, tak że nie można go było otworzyć, i w końcu wszystko zatoneło w śniegu. Rozradowana tym widokiem biegała od jednego okienka do drugiego, chcąc widzieć, co się stanie. Pewna była, że chata zostanie zupełnie przykryta śniegiem i trzeba będzie w jasny dzień świecić lampę. Ale do tego nie doszło. Nazajutrz, kiedy śnieg ustał, dziadek wziął łopatę i odkopał dom wokół, robiąc duże śnieżne wały i góry. Dzięki temu zostały oswobodzone okna i drzwi, co bardzo ucieszyło Heidi. Siedziała raz popołudniu, wraz z dziadkiem przy ognisku, każde na swym trójnogu... gdyż dziadek zrobił jej już dawno mały trójnózek... gdy nagle ktoś zaczął tupać nogami na progu i w końcu otworzył drzwi. Był to Pietrek-koźlarz. Narobił tyle hałasu nie przez brak grzeczności, ale dlatego, by otrząsnąć śnieg z trzewików, i tak

<sup>12</sup>pałać — płonąć, jarzyć się. [przypis edytorski]

zresztą nim pokrytych. Śnieg okrywał także całego Pietrka, który musiał przebrnąć wiele zasp, zanim tu doszedł. Mróz był tego dnia ostry, toteż śnieg utworzył na chłopcu twardą, grubą skorupę. Nie zraziło go to jednak do przyjscia, skoro nie widział Heidi już od całego tygodnia.

— Dobry wieczór! — powiedział, wchodząc. Zbliżył się do ogniska i zamilkł. Ale jego twarz rozpromienił uśmiech wielkiego zadowolenia.

Heidi patrzyła na niego z podziwem, gdyż tający, a coraz bardziej widoczny Pietrek podobny był do małego wodospadu.

— Jak się masz, generale? — powiedział dziadek. — Postradałeś armię i musisz teraz gryźć rysik<sup>13</sup>.

— Czemu musi gryźć rysik? — spytała ciekawie Heidi.

— Musi przez całą zimę chodzić do szkoły! — objaśnił dziadek. — Uczy się czytać i pisać, co nie jest rzeczą łatwą. Gryzienie rysika pomaga trochę, nieprawdaż, generale?

— Prawda! — potwierdził Pietrek.

Rozciekawiona tym Heidi jęła zadawać pytania o szkołę, o wszystko, co tam można widzieć i słyszeć, a Pietrek opowiadał. Jak każda, tak i ta rozmowa z nim zajęła sporo czasu, toteż wysechł pięknie, od dołu do góry. Zawsze trudno mu było swoim myślom nadać formę słów, a Heidi wprost zasypywała go pytaniami, które wymagały całych zdań.

Dziadek milczał przez całą tę rozmowę, ale kąciki ust raz po raz drgały mu wesoło, co było znakiem, że słucha.

— Generale, byłeś w porządnym ogniu armatnim — powiedział — musisz się więc pokrzepić.

Wstał, wyjął z szafy jedzenie, a Heidi przysunęła krzesło do stołu. Pod ścianą była przybita do niej ławka. Mając teraz towarzystwo, dziadek sporządził kilka stołków, gdyż Heidi zawsze chciała siedzieć obok niego, toteż nie uczyli we troje braku. Oczywiście Pietrkowi na wierzch, gdy zobaczył ogromny kawał ślicznie wysuszonego mięsa, który dziadek położył mu na grubej kromce chleba. Dawno nie miał takiej uczy. Gdy skończył jeść, nastał właśnie mrok, a Pietrek musiał wracać. Powiedział:

— Dobranoc! Bóg zapłać!

Potem obejrzał się ponownie po izbie i rzekł:

— Przyjdę znowu w niedzielę, to jest za tydzień. — Będąc już pod drzwiami, zawrócił i rzekł: — A ciebie, Heidi, zaprasza do nas babka, przyjdź, kiedy chcesz.

Było to dla dziewczynki wielką nowiną, że ma w ogóle do kogoś pójść. Utkwiło jej w głowie i zaraz nazajutrz rano powiedziała:

— Dziadku! Powinam chyba iść dzisiaj do babki. Czeka na mnie.

— Śnieg za duży! — odrzekł niechętnie.

Myśl odwiedzin nie ustępowała jednak z główki Heidi i każdego dnia pytała po kilka razy:

— Muszę już chyba iść! Babka czeka na mnie bardzo długo.

Czwartego dnia mróz był ostry, trzeszczało pod nogami, powłoka śnieżna stwardniała, a jasne słońko słało promienie wprost na krzesło Heidi, siedzącej z dziadkiem przy obiedzie. Dziewczynka podjęła znowu swe nieustanne:

— Dzisiaj muszę już chyba, dziadku, iść do babki. Ona się niecierpliwi, czekając tak długo.

Na te słowa dziadek wstał, poszedł na strych i zniósł gruby wór, służący Heidi za koldrę. Potem zaś rzekł:

— Chodźże więc!

Dziewczynka wybiegła w radosnych podskokach na lśniący od śniegu świat. Stare sosny stały teraz bez ruchu, na konarach i gałęziach leżała gruba warstwa śniegu, który błyszczał przepięknie, a wszystko wokoło wyglądało tak wspaniale, że Heidi podskakiwała z zachwytu, wołając raz po raz:

— Wyjdz, dziadku, wyjdz! Jodły pokrywa srebro i złoto!

<sup>13</sup>rysik — dawniej zestaw złożony z rysika i lupkowej, ścieralnej tabliczki służył do nauki pisania i rachowania uczniom początkowych klas w szkołach elementarnych (podstawowych); zeszytów oraz maczanych w atramencie piór używano dopiero w następnych latach nauki. [przypis edytorski]

Dziadek poszedł do szopy i przyniósł szerokie sanki. Miały z przodu długą żerdkę, a z niskiego siedzenia można było wyciągnąć nogi naprzód i opierając o śnieg jedną, to drugą, kierować jazdą. Heidi skłoniła dziadka, by wraz z nią podziwiał jodły, potem zaś dziadek usiadł na sankach, wziął ją na kolana, wsadził w worek, by nie przemarzła, i przycisnął ją mocno lewą ręką, gdyż jazda wymagała tej ostrożności. Następnie ujął żerdkę prawą dłonią i odbił się nogami. Sanki ruszyły zaraz na dół i to tak szybko, że Heidi miała wrażenie, że lecą w powietrzu niby ptak. Wydawała okrzyki radości i ani się spostrzegła, gdy sanki stanęły przed chatą Pietrka-koźlarza. Dziadek postawił ją na śniegu, wydobyl z worka i rzekł:

— Idź teraz. Ale gdy się zacznie robić ciemno, musisz wyjść przed dom, gdyż po ciebie przyjadę.

To rzekłszy, obrócił sanki i zaczął je ciągnąć pod górę.

Heidi otworzyła drzwi i weszła do małej izdebki. Była czarna, w kącie widniało ognisko i kilka miseczek na półce. Heidi poznała, że to jest kuchnia. Otworzyła przeciwległe drzwi i znalazła się w równie ciasnej izbie. Chata dziadka miała tylko jedną obszerną izbę, zajmującą całą przestrzeń, a nad nią strych, jednak w tym bardzo starym domku wszystko było ciasne, wąskie i nędzne. Zaraz po wejściu Heidi natrafiła na stół. Matka Pietrka siedziała tu, latając znany jej dobrze kaftan koźlarka. W kącie siedziała skulona staruszka i przędła na kołowrotku<sup>14</sup>. Heidi od razu wszystkiego się domyśliła, podeszła więc do niej i rzekła:

— Dzień dobry, babko! Przyszłam do ciebie. Pewnie ci się długie wydało czekanie?

Staruszka podniosła głowę i przez chwilę szukała wyciągniętej na powitanie dłoni dziewczynki, potem obmacała ją starannie i rzekła:

— Czy ty jesteś dziewczynką od Halnego Dziadka, czyś ty Heidi?

— Tak, tak. Dziadek przywiózł mnie przed chwilą sankami.

— Trudno, doprawdy, uwierzyć. Masz ciepłą rękę. Brygido, czy naprawdę sam Halny Dziadek przywiózł dziecko?

Brygida wstała od roboty, obejrzała z zaciekawieniem Heidi od stóp do głowy i rzekła:

— Nie wiem, matko, czy Halny Dziadek przywiózł tę małą. Musi jej się tylko zdawać.

Heidi spojrzała na nią wymownie, jak ktoś, co się nie myli, i odparła:

— Wiem dobrze, kto mnie okrył workiem i przywiózł tutaj. To był dziadek.

— Musi być zatem coś prawdy w opowiadaniu Pietrka z czasu letnich wypasów, chociaż nie chciałyśmy w to wierzyć. Sądziłam, że dziecko nie przeżyje tam trzech tygodni. Jakże ona wygląda, Brygido?

Brygida obejrzała Heidi ponownie i zdała matce sprawę.

— Jest zgrabna jak Adelajda. Włosy ma jednak ciemne, kędzierzawe, jak Tobiasz i ten stary na hali. Podobna do obojga rodziców.

Heidi nie próżnowała przez ten czas, ale badała wszystko, co tu można było zobaczyć. Po chwili rzekła:

— Babko, wiatr chwieje okiennicą. Dziadek wbiłby gwóźdź w tym miejscu i wszystko byłoby znowu w porządku. Jeśli się tego nie zrobi, okiennica na pewno rozbije szybę. O, patrz!

— Kochane dziecko! — odparła babka. — Nie mogę tego widzieć, ale słyszę doskonale. Nie tylko okiennica tłucze się na wietrze, ale cały dom trzeszczy i drga, gdy wicher zawieje. Zwłaszcza nocą, gdy oni śpią, strach mnie często zbiera, że wszystko spadnie na nasze głowy i zabije wszystkich troje. Nie ma nam jednak kto naprawić domu, Pietrek się na tym wcale nie zna.

— Czemuż to, babko, nie możesz widzieć, jak wiatr rusza okiennicą? O, popatrz, znowu to samo robi!

Heidi pokazała palcem.

— Drogie dziecko! Ja niczego nie widzę, nie tylko okiennicy! — powiedziała babka żałośnie.

— Wyjdę na dwór i otworzę całą okiennicę, a wówczas chyba zobaczysz światło, babko!

— Nie zobaczę, nikt mi już nie przywróci wzroku.

<sup>14</sup>kołowrotek — dawne urządzenie do wytwarzania przędzy z włókien. [przypis edytorski]

— Musisz chyba zobaczyć jasność, babko, gdy wyjdiesz na śnieg. Chodź, pokażę ci.  
— Ujęła babkę za rękę, chcąc wyprowadzić, bowiem zaczęło ją trwożyć to, że nie dostrzega jasności.

— Daj spokój, dziecko! — odparła babka. — Żadna już jasność nie przeniknie do moich oczu, biel śniegu ani promień słońca.

— Jak to? — ciągnęła Heidi dalej, z coraz to większym niepokojem szukając jakiegoś wyjścia. — Przecież latem słońce świeci tak jaskrawo, potem zaś żegna się na noc z górami, które oblewa czerwonym blaskiem, a żółte kwiatki połyskują. Wtedy chyba widzisz jasność, babko?

— Dziecko moje! — westchnęła. — Nie zobaczę już nigdy poczerwieniałych od zacho-  
dzu gór ani połyskliwych kwiatków, nikt mi już wzroku przywrócić nie zdoła.

Heidi wybuchnęła głośnym płaczem. Łkając żałośnie, powtarzała raz po raz:

— Któż ci zdoła przywrócić wzrok, babko? Czyż nikt? Czyż nikt, naprawdę?

Babka starała się ją uspokoić, nieprędko to jednak nastąpiło. Heidi płakała bardzo rzadko, ale popadłszy w rozżalenie, długo nie mogła się z niego otrząsnąć. Babka próbowała różności, gdyż bolało ją, że łka tak rozpaczliwie. W końcu rzekła:

— Chodź no tu, do mnie, dziecko! Ten, kto nie widzi, rad jest każdemu dobremu słowu. Bardzo mnie cieszy, gdy rozmawiasz ze mną. Usiądź przy mnie blisko i opowiedz, co robisz tam, na hali, i co robi dziadek. Znałam go dawniej dobrze, ale od kilku lat wiem tylko to, co powie Pietrek, a więc bardzo mało.

Heidi powzięła nową myśl. Szybko otarła oczy i rzekła:

— Nie trać nadziei, babko. Opowiem wszystko dziadkowi, on ci zapewne przywróci wzrok i naprawi dom, tak że się nie zawali i będzie jak nowy.

Babka milczała, a Heidi zaczęła z zapalem opowiadać, jak żyje razem z dziadkiem na hali, jak chodzi latem na pastwisko, a zimą przygląda się pracy dziadka, który zrobił z drzewa krzesła, ławki i piękne żłoby dla swych kózek na siano, nowe wiadro na wodę do letniej kąpieli, miseczki na mleko i łyżki. Z coraz to większym ożywieniem opisywała wszystkie te piękne rzeczy, które cudem jakby wychodzą z kawałka drzewa. Jej pragnieniem jej było z czasem nauczyć się tej sztuki. Babka słuchała z wielką uwagą, od czasu do czasu rzucając tylko:

— Czy słyszysz, Brygido, co ona opowiada o Halnym Dziadku?

Nagle opowiadanie przerwał głośny hałas u drzwi wejściowych. Po chwili wszedł do izby Pietrek, przystanął jednak u progu, na widok Heidi otworzył wylupiaste oczy, a gdy go powitała, wykrzywił twarz najuprzejmiejszym grymasem, na jaki go było stać.

— Jak to? Już wracasz ze szkoły? — zawołała babka tonem zdziwienia. — Od lat popołudnie nie zeszło mi tak prędko. Dobry wieczór, Pietruniu. Jakże tam z czytaniem?

— Tak jak dotąd — odparł.

— Tak, tak! — powiedziała babka, wzdychając z lekka. — Sądziłam, że z czasem nastąpi jakaś zmiana. Na świętego Marcina<sup>15</sup> skończysz już wszakże dwanaście lat.

— Czemuż to ma nastąpić zmiana, babko? — spytała Heidi z zaciekawieniem.

— Mógłby, sądzę, nauczyć się czytać. Mam tam na półce stary modlitewnik z pięknymi pieśniami. Dawno ich nie słyszałam, uleciały mi z pamięci. Miałam więc nadzieję, że gdy Pietrek nauczy się czytać, posłyszę czasem którąś z nich. Tymczasem nie może jakoś dać sobie rady z czytaniem.

— Trzeba by zaświecić lampę! — powiedziała Brygida, która przez cały czas naprawiała kaftan syna. — Ściemniło się całkiem. Popołudnie i dla mnie minęło niepostrzeżenie.

Heidi zerwała się ze stolka, wyciągnęła do babki rękę i rzekła:

— Dobranoc, babko, muszę wracać do domu, gdy się ściemni.

Pożegnała Brygidę, Pietrka i skierowała się ku drzwiom. Zatraskana o nią babka zaczęła wołać:

— Czekażże, Heidi! Nie możesz iść sama, Pietrek cię odprowadzi. Uważaj na nią, Piotrusiu, by nie upadła, a idźcie żwawo, gdyż inaczej zmarznie. Czy ona ma na sobie ciepłą chustkę?

— Nie mam chustki — wykrzyknęła od progu Heidi — ale wcale nie zmarznę.

Wybiegła tak żwawo, że Pietrek ledwo mógł nadążyć, a babką zawołała żałośnie:

<sup>15</sup>na świętego Marcina — 11 listopada. [przypis edytorski]

— Biegnijże za nią, Brygido! Dziecko zmarznie na pewno, idąc tak nocą! Weź moją chustkę i biegnij co żywo!

Brygida wyszła. Ale zaledwie dzieci uszły kilka kroków pod górę, ujrzały dziadka idącego dziarsko w ich stronę.

— Dobrze, że dotrzymałaś słowa, Heidi — powiedział, owiazał ją workiem, wziął na ręce i ruszył pod górę.

Brygida widziała wszystko doskonale i wróciwszy do izby, opowiedziała babce. Obie wielce się dziwiły, a babka rzekła w końcu:

— Dzięki trzeba Bogu złożyć za to, że on tak postępuje z Heidi! Chciałabym bardzo, by pozwolił jej znowu kiedyś przyjść do mnie. Sprawiała mi wielką ulgę! Ma dobre serce i umie tak ślicznie opowiadać.

Powtarzała te słowa raz po raz, a kładąc się spać, dodała:

— Ach! Żeby tylko przyszła! Mam teraz coś, na co się mogę cieszyć!

Brygida potakiwała za każdym razem, a Pietrek kiwał także głową, otwierał usta w radosnym uśmiechu i powtarzał:

— Wiedziałem dobrze, że tak będzie!

Tymczasem tkwiąca w worku Heidi nieustannie mówiła do dziadka. Ale jej głos nie mógł przeniknąć przez ośmiokrotnie złożone płótno, zatem nie rozumiał ani słowa.

— Zaczekaj — powiedział — aż będziemy w domu, a wszystko mi opowiesz.

Kiedy dotarli do izby, a Heidi wydostała się z worka, powiedziała zaraz:

— Musimy zaraz jutro zabrać młotek i gwoździe, by naprawić okiennicę w domu babki, a także powbijając wszędzie dużo gwoździ, gdyż wszystko tam chwieje się i trzeszczy.

— Musimy? Czemuż to musimy? Któż ci to powiedział?

— Nikt! Ale wiem to dobrze sama! — odparła. — Nic w tym domu nie jest w porządku, a babka nie sypia po nocach ze strachu, że dach runie im na głowę. Babce nikt nie może przywrócić wzroku, tak powiada, ale ty, dziadku, potrafisz tego, naturalnie, dokonać... nieprawdaz? Pomyśl, jak to smutno być ciągle w ciemności, jak strasznie i nieznośnie. Nikt jej, prócz ciebie, nie zdoła poradzić. Pójdziemy jutro i zaradzimy złemu. Prawda, że pójdziemy zaraz jutro?

Heidi uczepliła się go, patrząc mu w oczy z całkowitym zaufaniem. Starzec milczał przez chwilę, spoglądając na nią, potem zaś rzekł:

— Tak, Heidi, naprawimy jutro, co trzeba, nic nie będzie już trzeszczało ani się chwiało w domu babki. Tak, zrobimy to jutro.

Rozradowana dziewczynka zaczęła skakać i tańczyć po izbie, wykrzykując nieustannie:

— Zrobimy to jutro! Zrobimy to jutro!

Dziadek dotrzymał słowa. Nazajutrz po południu odbyła się taka sama jazda sankami. Podobnie jak poprzedniego dnia powiedział jej:

— Wejdz, a gdy mrok zapadnie, wróc do mnie tutaj.

To rzekłszy, położył wór na sankach i zaczął obchodzić dom wokół.

Ledwie Heidi otworzyła drzwi i wskoczyła do izby, staruszka wykrzyknęła, puszczając wążkę przędzy i wyciągając do niej obie ręce:

— Przyszło dziecko! Przyszło!

Heidi podbiegła do niej, przysiadła blisko na małym zydelku i zaczęła opowiadać różne nowości i zadawać pytania. Nagle rozległy się mocne uderzenia w ścianę domu. Babka drgnęła z przerażenia, niemal przewracając kołowrotek, i zawołała:

— Wielki Boże! Już po nas! Dom się wali!

Ale Heidi objęła jej ramię i rzekła uspokajająco:

— Nie bój się, babko. To dziadek przybył z młotkiem. Wszystko ponaprawia, tak że pozbędziesz się strachu.

— Czy to możliwe? Czyż mam wierzyć? Więc jeszcze Bóg nie całkiem nas opuścił? Czyś słyszała, Brygido? Czy słyszysz? Jeśli to naprawdę stary Halny Dziadek, poproś go, by wstąpił na chwilę. Chciałabym mu podziękować.

Brygida wyszła. Halny Dziadek wbijał właśnie z rozmachem nowe klamry w mur. Przystąpiła doń, mówiąc:

— Dobry wieczór, Halny Dziadku! Matka pozdrawia was także i prosi, byście łaskawie zajrzeli do nas. Chcemy podziękować za tę wielką przysługę. Nikt inny by tego, naprawdę, nie uczynił, chcemy więc obie podziękować...

— Dość pustych słów! — powiedział Halny Dziadek. — Wiem dobrze, co o mnie sądzicie. Wracaj do domu. Sam znajdę to, co trzeba naprawić.

Odeszła posłusznie, bo niepodobieństwem było się opierać, gdy Halny Dziadek coś rozkazał. Pukał i stukał po całym domu. Wszedł wąskimi schodkami pod sam dach, stukał i pukał dalej, dopóki nie wbił ostatniego z przyniesionych gwoździ. Tymczasem zapadł mrok, a ledwo, skończywszy pracę, wyciągnął sanki z za koziej stajenki, wyszła Heidi i została jak wczoraj zapakowana w worek. Dziadek niósł ją, ciągnąc sanki za sobą. Gdyby na nich siadła, spadłaby z niej cała osłona i przemarzłaby bardzo, albo i całkiem na dobre zamarzła. Dziadek dobrze o tym wiedział i tulił ją do siebie, tak że było jej całkiem ciepło.

Tak mijąca zima. Pozbawione wszelkiej radości życie ślepej staruszki po długich latach rozjaśnił promyk wesela. Jej dni nie wlokły się teraz jednostajnie i ponuro, żyła bowiem nadzieją. Od samego ranka nasłuchiwała drobnych kroczków Heidi i wyciągała do wbiegającej ręce, wołając:

— Jest, jest, przyszła!

Dziewczynka siadała blisko niej na zydelku i opowiadała o różnościach tak wesoło, że rozradowana babka zapominała o mijających godzinach. Nigdy, jak to zawsze bywało przedtem, nie pytała:

— Brygido, czy dzień się już skończył?

Teraz po odejściu Heidi mawiała raz po raz:

— Jak szybko minęło popołudnie, prawda, Brygido?

A Brygida odpowiadała:

— To prawda. Wydaje mi się, że dopiero co umyła talerze po obiedzie.

A babka dodawała:

— Oby tylko Bóg zachował w zdrowiu to dziecko i utrzymał życzliwość Halnego Dziadka! Czy wygląda zdrowo?

— Jest twardy i krzepki jak ziemniak! — zapewniała za każdym razem Brygida.

Heidi bardzo przywiązała się do babki i boleło ją, ile razy przyszło jej na myśl, że nikt, nawet Halny Dziadek, nie zdoła przywrócić wzroku staruszce. Ale babka zaręczała zawsze, że nie dolega jej to, gdy ma przy sobie Heidi, toteż dziewczynka korzystała z każdego pogodnego dnia i przyjeżdżała sankami. Dziadek zabierał często, nie mówiąc słowa, narzędzia, gwoździe i młotek i stukał zamasyżycie po domku kozłarzy. Miało to ten dobry skutek, że nic już nie trzeszczało i nie chwiało się, a babka mówiła niejednokrotnie, że może teraz sypiać po nocach tak smacznie, jak od całych lat nie sypiała, czego nie zapomni nigdy Halnemu Dziadkowi.

## ROZDZIAŁ PIĄTY. WIZYTA, POTE M ZAŚ DRUGA, MAJĄCA WIĘKSZE NASTĘPSTWA

Zima minęła szybko, jeszcze szybciej wesołe lato i oto skończyła się już druga zima. Heidi, wesoła jak ptaszek, radowała się na myśl, że niedługo ciepły wiatr zaszumi w jodłach, zmiecie śnieg, że potem słońce wywabi z ziemi błękitne i żółte kwiatki i że wreszcie nadejdzie pora wypasów, które były dla niej czymś najpiękniejszym na świecie. Heidi miała już ósmy rok. Dziadek wyuczył ją rzeźbić w drzewie różności, umiała radzić sobie doskonale z kozami, a Białuszka i Buraska biegały za nią jak pieski, becząc radośnie na sam dźwięk jej głosu. W ciągu ostatniej zimy nauczyciel dwukrotnie dał znać przez Pietrka, że Halny Dziadek powinien dziewczynkę, którą ma u siebie, przysłać do szkoły. Przekroczyła już nawet wiek szkolny i zesłej jeszcze zimy miała obowiązek rozpocząć naukę. Dziadek dwukrotnie kazał powiedzieć nauczycielowi, że jeśli ma do niego interes, zastanie go w domu, zaś dziecka do szkoły posyłać nie myśli. Pietrek powtórzył to słowo w słowo.

Marcowe słońce stopiło śnieg na zboczach gór, wyrzwały białe śnieżyczki w dolinie, a na hali jodły zrzuciły brzemię śniegu i powiewały znowu wesoło gałęzmi. Heidi biegała w wielkim rozradowaniu od drzwi wejściowych do obórki, stąd pod jodły i z powrotem do dziadka, by mu powiedzieć, o ile powiększył się zielony szmat murawy pod drzewami. Wybiegała za chwilę znowu, nie mogąc się doczekać, kiedy wszystko będzie znowu zielone, a cudne lato zaściele trawą i kwiatami całą halę.



Pewnego słonecznego marcowego dnia, biegając tak z dziesiąty już może raz, przeskoczyła próg, gdy nagle omal nie padła na wznak z przerażenia. Tuż przed nią stał stary, czarno ubrany mężczyzna i spoglądał poważnie. Zauważywszy przestraszoną dziewczynkę, rzekł dobrotliwie:

— Nie bój się! Bardzo kocham dzieci. Podaj mi rękę! Jesteś zapewne Heidi. A gdzież dziadek?

— Siedzi przy stole i robi z drewna okrągłe łyżki — oświadczyła, otwierając z powrotem drzwi.

Przybył był proboszcz z osiedla, który dobrze znał Halnego Dziadka i sąsiedował z nim za czasu jego pobytu wśród ludzi. Wszedł do izby, zbliżył się do schylonego nad robotą starca i powiedział:

— Dzień dobry, sąsiedzie.

Halny Dziadek podniósł głowę, zdumiał się wielce, wstał i odparł:

— Dzień dobry, księżo proboszczu!

Potem podał mu krzesło, mówiąc:

— Proszę siadać, księżo proboszczu, chociaż krzesło, co prawda, twarde.

Proboszcz usiadł i rzekł po chwili:

— Dawno już was nie widziałem, sąsiedzie.

— I ja także nie widziałem dawno księdza proboszcza! — odpowiedział Halny Dziadek.

— Przyszedłem tutaj dziś pomówić o pewnej sprawie! — zaczął proboszcz. — Domyślcie się zapewne, drogi sąsiedzie, co mam na myśli i w czym pragnę dojść do porozumienia.

Umilkł i spojrział na stojącą w progu Heidi, która uważnie badała nową, nieznaną postać.

— Idź do kóz, dziecko! — polecił dziadek. — Weź trochę soli i zostań z nimi, aż przyjdę.

Heidi znikła natychmiast.

— Dziewczynka powinna była uczęszczać do szkoły już poprzedniej zimy, a tym bardziej ostatniej — ciągnął proboszcz dalej. — Nauczyciel dwukrotnie udzielił napomnienia, a wy, sąsiedzie, wcale się nie usprawiedliwiliście. Cóż zamierzacie zrobić z dzieckiem?

— Zamierzam nie posyłać dziewczynki do szkoły! — odparł Halny Dziadek.

Proboszcz spojrział wielce zdumiony na starca, który siedział na ławce z założonymi na piersiach rękoma i miał minę nieustępliwą.

— Cóż chcecie zrobić z dziecka? — spytał znowu.

— Nic! Rośnie, chowa się, bawi z kozami i ptakami, jest jej dobrze, a niczego złego od zwierząt nauczyć się nie może.

— Ależ dziecko nie jest kozą ni ptakiem, tylko człowiekiem. Nie uczy się wprawdzie od swych towarzyszy niczego złego, ale nie uczy się też niczego zgoła. A przecież dziewczynka powinna się uczyć, bo już czas po temu. Przyszedłem, sąsiedzie, umyślnie zawczasu, byście mogli w ciągu lata rzecz rozważyć i przygotować. To ostatnia zima, podczas której Heidi nie pobierała żadnej nauki. Najbliższej zimy musi, i to codziennie, chodzić do szkoły.

— Nie poślę jej, księżo proboszczu! — oświadczył Halny Dziadek stanowczo.

— Czy myślicie, sąsiedzie, że nie ma środka doprowadzenia was do rozumu i złamania uporów? — powiedział proboszcz nieco żywiej. — Zwiedziłeś pan przecież kawał świata, nabierając różnych wiadomości. Sądziłem, że znajdę u was, sąsiedzie, więcej rozwagi.

— Tak? — odparł Halny Dziadek, również z pewnym rozdrażnieniem w głosie. — Sądzi więc ksiądz proboszcz, że będę następnej zimy posyłał wątłe dziecko, bez względu na burzę i śnieg, o dwie godziny drogi, po to, by wracało samo o zmierzchu, kiedy dmie taki wicher, że nieraz silnemu mężczyźnie zagraża niebezpieczeństwo? Pamięta zapewne ksiądz proboszcz matkę Heidi, Adelajdę? Była także wątła, i w dodatku lunatyczka. Czyż ta dziewczynka ma skutkiem przemęczenia popaść w to samo? Ciekawym bardzo, kto mnie zmusi? Stanę przed każdym sądem, a zobaczymy, czy mnie któryś ukarze.

— Macie słusność, sąsiedzie! — rzekł proboszcz łagodnie. — Istotnie, stąd dziecka do szkoły posyłać nie sposób. Kochacie jednak, widzę, małą Heidi, więc zróbcie dla niej to, coście powinni być już dawno zrobić. Sprowadźcie się z powrotem do osiedla i żyjcie

pośród ludzi! Cóż to za życie w tej pustce, z sercem zatwardziałym względem Boga i świata? Któż by wam pospieszył z pomocą w razie jakiegoś wypadku? Pojąć nie mogę, sąsiedzie, że nie zamierzacie na śmierć w porze zimowej w tej chacie i że dziecko znosi te warunki.

— Dziecko ma młodą krew i dobrą koldrę, księżu proboszczu. Poza tym wiem ja dobrze, gdzie jest drzewo i kiedy je gromadzić. Proszę zajrzeć do mojej szopy, jest pełna. W izbie pali się przez całą zimę nieustannie. Ale o tych przenosinach nie ma mowy. Ludzie mną gardzą, a ja nimi, lepiej dla mnie i dla nich, że się nie stykamy.

— Nie lepiej, nie lepiej! — zaprzeczył proboszcz serdecznym tonem. — Zaręczam, że odnośnie do tej wzgardy przesadzacie, sąsiedzie drogi. Pogódźcie się tylko z Bogiem, poproście o przebaczenie, o ile to uznacie za potrzebne, wróćcie między ludzi, a przekonacie się, że was polubią i że wam będzie dobrze z nimi!

Proboszcz wstał, ujął dłoń starca i powtórzył raz jeszcze serdecznie:

— Spodziewam się, drogi sąsiedzie, że zobaczymy was w osiedlu tej zimy i że zostaniemy z powrotem dobrymi sąsiadami. Wielką by mi sprawiło przykrość, gdyby musiano zastosować do was przymus. Dajcież mi rękę na znak, że wróćcie między ludzi i pogodzicie się z nimi oraz z Bogiem!

Halny Dziadek podał proboszczowi dłoń i rzekł dobitnie:

— Ksiądz proboszcz ma jak najlepsze zamiary, czuję to, ale nie zrobię, czego się spodziewa. Mówię otwarcie i szczerze. Nie pošlę Heidi do szkoły i nie wrócę do osiedla.

— Niechże was więc, sąsiedzie, Bóg ma w swej opiece! — powiedział proboszcz smutno, potem zaś opuścił chatę i ruszył ku osiedlu.

Halny Dziadek stracił humor. Gdy Heidi zapytała nazajutrz, czy pójdzie do babki, odrzekł:

— Dzisiaj nie pójdziemy.

Przez całe poobiedzie nie wyrzekł słowa, gdy zaś Heidi ponowiła dnia następnego pytanie, powiedział oschle:

— Zobaczymy!

Zjedli oboje obiad, zanim jednak zdolali odstawić miseczki, wszedł niespodzianie nowy gość, mianowicie ciotka Deta. Miała na głowie piękny kapelusz z piórami, a długą suknią zamiatła wszystko, co leżało na podłodze. Wiadomo zaś, że w góralskim szala się jest mnóstwo rzeczy nieodpowiednich dla modnej toalety damskiej. Halny Dziadek obejrzał ją od stóp do głowy i nie rzekł nic. Ciotka Deta była w doskonałym humorze i wszczęła przyjacielską rozmowę. Oświadczyła, że Heidi wygląda doskonale, tak iż ledwo ją poznała. Musi jej być dobrze u dziadka. Nieustannie myślała o tym, by ją zabrać do siebie, gdyż jest, oczywiście, dziadkowi ciężarem. Dotąd nie mogła jednak wykonać swego zamysłu. Dniem i nocą rozmyślała, gdzieby ją umieścić, teraz jednak zaszło coś, co może stanowić o szczęściu Heidi na całe życie. Jedno dziecko na sto tysięcy spotyka tak świetny los. Krewny jej państwa, mówiła, właściciel najpiękniejszego domu we Frankfurcie, ma połowicznie sparaliżowaną córeczkę, która musi jeździć w wózku. Córeczka ta jest osamotniona, sama jedna pobiera naukę, nudzi się i rada<sup>16</sup> by mieć towarzyszkę zabawy. Wspomniał o tym podczas odwiedzin u jej państwa, ona zaś, dowiedziawszy się wszystkiego od gospodyni zarządzającej gospodarstwem owego bogacza, poczyniła odpowiednie kroki. Szło o znalezienie dziewczynki niewinnej, a nieprzeciętnej, jak tyle innych. Przyszła jej zaraz na myśl Heidi. Opowiedziała zatem o niej wszystko, co wiedziała, a zarządczyni domu zgodziła się bez wahania. Sytuacja jest obecnie taka, że wprost nie wiadomo, jak wielkie szczęście czeka Heidi, bo jeśli bogacz ją polubi, a własnej jego córce coś się stanie... mój Boże, jest wszakże tak słaba... jeśli w dodatku nie zechce zostać bez dziecka... może nastąpić coś niesłychanego!

— Czyś już skończyła? — zapytał dziadek, który dotąd nie zdołał wtrącić słowa.

— Ba! — odparła Deta, zadzierając głowę. — Zachowujecie się, Halny Dziadku, tak jakbym wam gadała brednie, a nie ma przecież w całym Prättigau człowieka, który by nie dziękował Bogu, gdybym mu przyniosła taką wieść.

— Przynoś ją, komu chcesz. Mnie nic po tym! — powiedział Halny Dziadek oschle.

Deta wybuchnęła teraz jak rakietka.

<sup>16</sup>rada (daw.) — zadowolona; chętna. [przypis edytorski]

— Jeśli tak sądzicie, Halny Dziadku, to powiem wam swe zdanie. Dziewczyna ma już osiem lat, a nic nie umie i niczego się nie uczyła, dlatego że nie chcecie do tego dopuścić. Nie posyłacie jej ani do szkoły, ani do kościoła. Powiedziano mi to w osiedlu. A Heidi jest przecież jedynaczką mojej siostry. Na mnie spoczywa odpowiedzialność, a jeśli dziecko może osiągnąć takie szczęście, jak obecnie Heidi, dlaczego się temu sprzeciwiacie? Nie ustąpię! Mówię otwarcie. Mam za sobą wszystkich mieszkańców osiedla, a jeśli chcecie sądu, to radzę wam dobrze się namyślić. Są pewne sprawy, które by można odgrzać przy sposobności. Kiedy się raz zacznie z sądami, nie wiadomo nigdy, na czym się rzecz skończy, a to niezbyt przyjemne.

— Milcz! — huknął Halny Dziadek, a oczy mu rozgorzały. — Bierz ją i zniwecz! Nie pokazujcie mi się obie nigdy na oczy! Nie chcę widzieć twego kapelusza z piórami i słuchać twoich słów!

Rzekłszy to, wyszedł z izby.

— Rozgniewałaś, ciotko, dziadka! — powiedziała Heidi, luskając niezbyt przyjaźnie czarnymi oczyma w kierunku Dety.

— Udobrucha się z czasem. Teraz chodź! — nalegała Deta. — Gdzie są twoje sukienki?

— Nie pójdę! — zaprotestowała Heidi.

— Jesteś, widzę, uparta jak koza — powiedziała Deta. — Wszak słyszałaś wyraźnie — ciągnęła dalej z pozorami łagodnie, a jednocześnie z gniewem — słyszałaś chyba wyraźnie, że dziadek zabronił nam obu pokazywać mu się na oczy. Będzie ci dobrze, nie wiesz nawet, jak bardzo dobrze!... — Podeszła do szafy, wydobyla rzeczy Heidi i spakowała je w tobołek, potem zaś rzekła: — Włóż na głowę kapelusik! Nie jest ładny, ale na drogę wystarczy. Chodźmy teraz!

— Nie pójdę! — powtórzyła Heidi.

— Nie bądźże głupia i uparta jak koza. Nauczyłaś się tego, widzę, od tych zwierząt. Przecież dziadek się gniewa i nie chce nas widzieć na oczy. Życzy sobie nawet, bym cię zabrała. Nie drażnij go, Heidi. Pojęcia nie masz, jak pięknie jest we Frankfurcie. Jeśliby ci się jednak nie spodobało, możesz wracać w każdej chwili. Tymczasem dziadek udobrucha się na pewno.

— Czy mogę być tam jeszcze dziś i wrócić do domu wieczorem? — spytała Heidi.

— Cóż za gadanie! Powiadam ci, że możesz w każdej chwili wrócić do domu. Dziś dojdziemy do Mayenfeldu, jutro rano wsiądziemy do pociągu. Nie wiesz chyba, że jadąc koleją żelazną, można być w krótkim czasie, gdzie się chce.

Ciotka Deta wzięła pod pachę zawiniątko z rzeczami Heidi, ujęła ją za rękę i ruszyła żwawo w kierunku osiedla.

Nie nastał jeszcze czas wypasów, zatem Pietrek chodził, a raczej miał chodzić do szkoły. Czasem robił sobie jednak wakacje. Na cóż się może przydać umiętność czytania, rozumował. Natomiast wędrówka w celu uzyskania długich leszczynowych kijów do wędek jest sprawą ważną i praktyczną. Właśnie tego dnia mu się powiodło. Wracał do domu z dużym pękiem długich, grubych żerdeń. Na widok Heidi i Dety przystanął, gdy go zaś mijaly, zapytał:

— Dokąd to idziesz?

— Muszę pojechać na krótko z ciotką do Frankfurtu! — odpowiedziała Heidi. — Ale wstąpię jeszcze do babki, gdyż czeka na mnie.

— Ani mowy! Już późno! — powiedziała żywo ciotka Deta, przytrzymując dziewczynkę silnie za rękę. — Pójdiesz tam, wracając do domu. — Potem pociągnęła Heidi dalej i nie puszczała jej z obawy, że wróci i się rozmyśli, a babka poprze jeszcze upór dziecka.

Pietrek wpadł do domu i trzasnął pękiem leszczynowych drążków tak mocno, że się wszystko zatrzęsło, a babka wstała od kołowrotka i zaczęła biadać. Pietrek musiał dać wyraz swemu podnieceniu.

— Cóż się stało? Cóż to znaczy? — spytała trwożnie babka, a siedząca przy stole łagodna i pobłażliwa Brygida dorzuciła:

— Co cię znowu opętało, Pietrusiu?

— Ona zabrała Heidi! — powiedział.

— Kto, kto? Dokąd? — spytała babka ponownie, jeszcze trwoźniejszym tonem. Zaraz domyśliła się wszystkiego. Córka zawiadomiła ją poprzednio, że Deta idzie na halę, w kierunku chaty starego Halnego Dziadka. Drżąc z pośpiechu, staruszka otworzyła okno i zawołała błagalnie:

— Deto! Deto! Nie zabieraj nam dziecka! Nie zabieraj Heidi!

Obie słyszały doskonale jej głos, a domyślając się słów, Deta ścisnęła silniej rękę Heidi i przyspieszyła kroku. Heidi zaczęła się opierać, mówiąc:

— Babka woła! Muszę iść do niej!

Ciotka nie dopuściła do tego, tłumacząc dziewczynce, że mogłyby się spóźnić, a więc nie wyjechałyby nazajutrz. Zaręczała przy tym, że Frankfurt ją zachwyci i nie zechce wyjeżdżać z miasta. Jeśliby jednak miało być inaczej, nikt jej nie zabroni wracać natychmiast, a w dodatku przywiezie babce coś, co ją ucieszy. Ta nadzieja uradowała bardzo Heidi i biegła teraz bez wahania obok ciotki.

— Co mam przywieźć babce? — spytała po chwili.

— Coś dobrego! — odparła Deta. — Na przykład piękne, miękkie, białe bułeczki. Będą jej smakowały, bo jak wiesz, już nie może jeść twardego, czarnego chleba.

— To prawda. Daje zawsze chleb Pietrkowi, mówiąc, że dla niej zbyt twardy. Sama to widziałam! — potwierdziła Heidi. — Idźmy więc prędko, ciotko. Dziś jeszcze może będziemy we Frankfurcie i zaraz wrócę z bułeczkami.

To rzekłszy, zaczęła Heidi biec tak szybko, że niosąca tobolek Deta została w tyle. Radował ją jednak ten pośpiech, gdyż wchodziły właśnie do osiedla, gdzie można się było spodziewać mnóstwa zapytań i różnej gadaniny, która by mogła zmienić zamiary Heidi. Biegła więc co sił w nogach, a dziewczynka ciągnęła ją jeszcze za rękę. Wszyscy widzieli, że śpieszy się, pod wpływem przynaglania Heidi. Na rozliczne pytania, dolatujące z okien i drzwi domów, odpowiadała niezmiennie:

— Widzicie przecież, że nie mogę się zatrzymać, dziecko nagli, a mamy jeszcze długą drogę przed sobą.

Od tego dnia począwszy, Halny Dziadek stał się bardziej jeszcze ponury. Gdy schodził do osiedla, nie odpowiadał na pozdrowienia i nic nie mówił. Z wypchanym serami koszem na plecach, ze ściągniętymi brwiami i grubym kijem w rękę wyglądał tak strasznie, że matki ostrzegały dzieci:

— Uciekajcie! Halny Dziadek może wam zrobić coś złego!

Starzec nie zadawał się z nikim w osiedlu, szedł dalej w dolinę, sprzedawał sery i zapatrywał się w mięso, chleb i inne konieczne rzeczy. Mieszkańcy osiedla przystawali grupami, gdy przeszedł i robili uwagi. Zgodzono się ogólnie na to, że teraz jest jeszcze dzikszy niż przedtem, nie zwraca na nikogo uwagi i że wielkie szczęście spotkało Heidi. Dziewczynka przynaglała do pośpiechu, bojąc się widocznie, by jej nie doścignął i nie zmusił do powrotu na halę. Jedną tylko ślepa babka stała wytrwale po stronie Halnego Dziadka. Ile razy ktoś zachodził do niej z przędzą lub po odbiór przędziwa, opowiadała, jak dobry był dla dziecka i jak naprawił jej domek, który bez jego przysługi zapadłby się już dawno. I te wieści krążyły po osiedlu, ale ludzie powiadali sobie, że staruszka nie wie, co gada, albowiem nie widząc, zapewne nie może także słyszeć.

Halny Dziadek nie zachodził teraz do domku koźlarzy. Na szczęście wszystko zrobił, jak się należy, i dom był zabezpieczony na długo. Ślepa staruszka wzdychała znowu po całych dniach, żaląc się:

— Ach! Wraz z tym dzieckiem znikła cała radość mego życia i dni stały się znowu smutne i puste. Czyż usłyszę kiedy jeszcze przed śmiercią głos Heidi?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY. NOWY ROZDZIAŁ I SAME NOWE RZECZY

Klara, chora córeczka pana Sesemanna z Frankfurtu, siedziała przez cały dzień w wygodnym wózku, który przetaczano z pokoju do pokoju. W tej właśnie porze zatrzymała się w tak zwanej pracowni, obok wielkiej jadalni. Nagromadzono tu dużo różnych przedmiotów umilających pobyt. Istotnie w pokoju tym spędzała Klara większą część dnia. Wielka szafa o szklanych drzwiach, pełna książek, nadawała nazwę pokojowi, gdzie sparaliżowana córka bogatego Sesemanna pobierała codzienną naukę.

Klara miała bladą, szczupłą twarzyczkę, w której tkwiły łagodne, błękitne oczy. W tej chwili oczy te skierowane były na wielki zegar ścienny, który dzisiaj szedł jakoś bardzo powoli. Spokojna, zazwyczaj cicha Klara powiedziała z pewną niecierpliwością:

— Czy długo jeszcze trzeba czekać, panno Rottenmeier?

Panna Rottenmeier siedziała wyprostowana przy stoliku i haftowała. Z jej ramion spływała tajemnicza opończa, coś w rodzaju fałdzistej peleryny, co nadawało jej postaci niezwykłą powagę, którą podnosiła jeszcze fryzura, podobna do wysokiej kopuły. Panna Rottenmeier od kilku lat, to jest od śmierci żony pana Sesemanna, zarządzała jego domem i miała nadzór nad służbą. Pan Sesemann ciągle podróżował, oddał więc wszystko w ręce panny Rottenmeier, z tym zastrzeżeniem, że córka ma mieć swoje zdanie i nic nie może się dziać wbrew jej życzeniom.

W tej właśnie chwili, kiedy Klara zapytała po raz drugi, czy długo ma jeszcze czekać, stanęła pod bramą domu Deta, trzymając za rękę Heidi, i zapytała stangreta Jana, czy może się dziś jeszcze widzieć z panną Rottenmeier.

— To nie moja rzecz — mruknął. — Proszę zadzwonić na Sebastiana. Jest w korytarzu.

Deta zadzwoniła i niebawem po schodach zszedł lokaj w liberii, z wielkimi, krągłymi, jak jego własne oczy, guzikami.

— Chciałabym wiedzieć, czy mogę dziś jeszcze widzieć się z panną Rottenmeier? — spytała Deta.

— To nie moja rzecz — odparł lokaj. — Proszę zadzwonić na Tinete. Tam jest drugi dzwonek.

To rzekłszy, odszedł bez dalszych objaśnień.

Deta zadzwoniła po raz drugi. Po chwili zjawiła się na schodach Tineta, ze lśniąco białym stroikiem na czubku głowy i drwiącym wyrazem twarzy:

— Cóż tam takiego? — spytała, nie schodząc.

Deta powtórzyła wszystko raz jeszcze. Tineta znikła, wróciła jednak niebawem, wólając z wysokości schodów:

— Proszę! Czekamy właśnie!

Deta wprowadziła Heidi po schodach i weszły obie do pracowni. Deta zatrzymała się skromnie przy drzwiach, nie puszczać jednak ręki Heidi, bowiem trudno było przewidzieć, co dziewczynka zrobi w danej chwili, w tym obcym sobie środowisku.

Panna Rottenmeier wstała powoli od roboty i podeszła do przyszłej towarzyszk zabaw panny Sesemann, by się jej dokładnie przyjrzeć. Rezultat oględzin nie był dodatni: Heidi miała codzienną, bawełnianą sukienkę i pognieciony, słomiany kapelusik, spod którego żywymi, czarnymi oczyma wpatrywała się z niesłychanym zdumieniem w niebotyczną fryzurę panny Rottenmeier.

— Jak ci na imię? — spytała dama po długim badaniu dziewczynki, która nie spuszczała z niej oka.

— Heidi! — odparła wyraźnym, dźwięcznym głosem.

— Jak to? Czy istnieje tego rodzaju chrześcijańskie imię? Jakie dostałaś na chrzcie? — badała dalej dama.

— Nie wiem — odrzekła Heidi.

— Ładna odpowiedź — zauważyła panna Rottenmeier, potrząsając głową. — Moja Deto, czy ta dziewczyna jest naiwna, czy może lubi kpinki?

— O ile łaskawa pani zezwoli, odpowiem za nią, gdyż brak jej wszelkiego doświadczenia w stosunkach z ludźmi! — powiedziała Deta, dając jednocześnie Heidi szturchańca za niewłaściwą odpowiedź. — Nie jest wcale naiwna ani też skłonna do kpin. Mówi wprost, co myśli. Po raz pierwszy w życiu znajduje się w pańskim domu i nie zna manier towarzyskich. Ma jednak dużo dobrych chęci i jest bardzo pojętna. Raczy wielmożna pani okazać jej pobłażliwość. Na chrzcie dano jej imię Adelajda, a jest córką mojej nieboszczki siostry.

— A, to co innego! — zauważyła panna Rottenmeier. — To imię można przynajmniej wymówić. Ale, moja Deto! Ta dziewczynka wydaje mi się za małą na swój wiek. Zawiadomiłam przecież, że towarzyszk zabaw panny Klary musi być w równych z nią latach, by pobierać tę samą naukę i dzielić jej zajęcia. Panna Klara ukończyła właśnie dwunasty rok życia. Ileż ma ta mała?

— Za pozwoleniem wielmożnej pani — zaczęła Deta wymownie — sama nie wiem dokładnie, ile ona ma lat. Jest istotnie trochę młodsza, niewiele, jak mi się zdaje, ma tak około dziesięciu lat, a może więcej.

— Mam osiem lat! Tak powiedział dziadek! — oświadczyła Heidi.

Ciotka szturchnęła ją znowu, ale nie wiedząc, za co ją to spotkało, dziewczynka wcale się nie zakłopotowała.

— Co? dopiero osiem lat? — wykrzyknęła panna Rottenmeier z oburzeniem. — O cztery lata za mało! Cóż z tym począć? A czegożes się uczyła i z jakich książek?

— Nie uczyłam się wcale — powiedziała Heidi.

— Co? Jak? Skądże więc umiesz czytać? — badała dalej dama.

— Nie umiem czytać, a Pietrek także nie umie — oświadczyła Heidi.

— Wielki Boże! Nie umiesz czytać? Naprawdę nie umiesz? — wykrzyknęła z przetrachem dama. — Czyż to możliwe? A czegoż cię uczono?

— Niczego — zeznała Heidi zgodnie z prawdą.

— Moja Deto — rzekła panna Rottenmeier, opanowawszy się po pewnym czasie — umowa była całkiem inna. Jakżeś mogła przywieźć mi tę dziewczynę?

Ale Deta nie ustąpiła tak łatwo i rzekła rezolutnie:

— Dziewczynka ta, za pozwoleniem wielmożnej pani, odpowiada w zupełności jej życzeniom. Wielmożna pani powiedziała, że chce coś odmiennego od innych, coś, co by było całkiem *apart*<sup>17</sup>, powinna ją więc wielmożna pani wziąć, gdyż starsze w naszej okolicy nie są wcale tak bardzo *apart*. Ona jest właśnie taka, jak wielmożna pani opisała. Teraz muszę już iść do moich państwa, którzy na mnie czekają, ale za pozwoleniem moich państwa niedługo wrócę dowiedzieć się, co słychać.

Deta dygnęła nisko, podeszła do drzwi i zbiegła szybko po schodach. Panna Rottenmeier stała przez chwilę w osłupieniu, potem zaś pobiegła za Detą. Przypomniała sobie, że powinna omówić z nią mnóstwo rzeczy, jeśli dziewczynka miała naprawdę zostać. Tymczasem wszystko spełzło na niczym, bowiem takie było silne postanowienie ciotki.

Heidi nie ruszyła się przez cały czas spod drzwi. Klara słuchała dotąd i patrzyła na wszystko ze swego wózka. Teraz przywołała Heidi skinieniem:

— Chodź do mnie!

Heidi podeszła do niej.

— Czy wolisz zwać się Heidi, czy Adelajda? — spytała Klara.

— Jestem Heidi i na tym koniec! — odrzekła.

— Tak cię więc będę nazywała. To imię jest całkiem odpowiednie dla ciebie. Nie słyszałam go dotąd i nie widziałam podobnej do ciebie dziewczynki. Czy zawsze miałaś takie krótkie, kręte włosy?

— Oczywiście! — odrzekła Heidi.

— Czy chętnie jechałaś do Frankfurtu?

— Nie. Ale jutro wrócę do domu i przywiozę babce białe bułeczki — oświadczyła Heidi.

— Dziwna z ciebie dziewczynka — zauważyła Klara. — Sprowadzono cię umyślnie do Frankfurtu, byś pozostała ze mną i uczyła się tego, co ja, ty zaś nie umiesz czytać! To świetne! To zabawne! Przynajmniej będzie jakaś odmiana w lekcjach. Dotychczas nudziły mnie strasznie i nie mogłam się doczekać, by minął ranek. Musisz wiedzieć, że co dzień z rana przychodzi pan profesor i lekcja trwa aż do drugiej. Pan profesor często podnosi książkę do samych oczu, jakby nagle stał się krótkowidzem. Ale ja wiem dobrze, że za książką ziewa straszliwie. Panna Rottenmeier raz po raz zakrywa twarz chustką, niby to wzruszona tym, co czytamy, ale wiem, że także ziewa okropnie. I mnie się często chce ziewać, ale tłumię to, bo inaczej, gdy tylko raz ziewnę, panna Rottenmeier idzie zaraz po flaszkę z tranem, mówiąc, że znowu jestem osłabiona. Zżywanie tranu, wierz mi, to najokropniejsza rzecz w świecie i wolę już nie ziewać. Teraz nastanie coś weselszego i będę mogła słuchać, jak ty się uczysz czytać.

Na wzmiankę o czytaniu Heidi potrząsnęła nieufnie głową.

— Tak, tak, Heidi — przekonywała ją Klara — musisz się nauczyć czytać, każdy musi umieć czytać. Pan profesor jest bardzo dobry, nigdy się nie gniewa, ale wszystko objaśnia

<sup>17</sup>*apart* (fr.) — szczególnie. [przypis edytorski]



najdokładniej. Tylko, widzisz, im bardziej objaśnia, tym się mniej rozumie. W takich razach trzeba milczeć, bo inaczej zaczniesz objaśniać od nowa. Dopiero potem, gdy się sama czegoś nauczysz, rozumiesz te objaśnienia.

W tej chwili do pracowni wróciła panna Rottenmeier. Nie zdołała odnaleźć Dety. Gniewała ją, że jej nie może wyklarować, iż nie wszystko się stało według umowy, a zupełna niemożność cofnięcia faktu wzburzała ją jeszcze bardziej, zwłaszcza iż sama była powodem całej historii. Biegała po pracowni, wychodziła do jadalni, wracała zaraz i szła z powrotem do jadalni, rzucając szorstkie słowa Sebastianowi, który spoglądał wylupiającymi oczyma po nakrytym stole, badając, czy czegoś nie zapomniał.

— Niech Sebastian skończy jutro swe wielkie myśli. Niech się ruszy, bo czas na kolację!

Potem przebiegła koło lokaja i zawołała Tinete tonem tak mało zachęcającym, że pokojówka przybiegła drobniejszym niż zazwyczaj kroczkiem. Ale minę miała tak drwiącą, że pannie Rottenmeier nie starczyło odwagi, by ją ofuknąć. Wzburzenie jej obróciło się więc do wewnątrz.

— Należy uporządkować pokój przybyłej, Tineto! — rozkazała, siląc się na spokój. — Trzeba zetrzeć kurz z mebli!

— Istotnie, to konieczne — zadrwiła Tineta i poszła.

Sebastian otworzył tymczasem drzwi pracowni, i to dość głośno. Był zły, a nie śmiał wyrazić tego słowami przy pannie Rottenmeier. Potem przystąpił spokojnie do wózka, by go zatoczyć do stołu. Kiedy nastawiał tylną rękojeść, która trochę się rozkręciła, Heidi podeszła do niego, stanęła w pobliżu i nie spuszczała z niego oka. Spostrzegłszy to, burknął szorstko:

— I cóż w tym jest tak dziwnego? — Nie pozwoliliby sobie na taki ton, gdyby widział, że panna Rottenmeier stoi w progu i wchodzi właśnie w chwili odpowiedzi Heidi:

— Jesteś całkiem podobny do Pietrka!

Dama klasnęła rozpaczliwie dłońmi.

— Czyż to możliwe? — jęknęła półgłosem. — Mówi do lokaja „ty”! Tej istocie brak wszelkich zasadniczych pojęć.

Wózek dotarł do stołu, a Klara usiadła z pomocą Sebastiana na swoim krześle.

Panna Rottenmeier zajęła miejsce obok niej, skinęła na Heidi, by usiadła naprzeciwko. Prócz nich nie było nikogo, siedziały więc z dala od siebie i Sebastian miał pod dostatkiem miejsca na podawanie potraw. Obok talerza Heidi leżała piękna, biała bułeczka. Dziewczynka patrzyła na nią z radością. Podobieństwo do Pietrka, jakie odkryła w Sebastianie, obudziło w niej wielkie zaufanie do niego. Siedziała cichuteńko, aż do chwili kiedy podszedł z półmiskiem, podając jej smażone rybki. Wskazała palcem bułkę, pytając:

— Czy mogę to wziąć?

Sebastian skinął głową i spojrzał na pannę Rottenmeier, zdziwiony wrażeniem, jakie wywarło na niej to pytanie. Heidi natychmiast chwyciła bułkę i schowała do kieszeni. Sebastian skrzywił się straszliwie, by nie wybuchnąć śmiechem, co było surowo zabronione. Stał w milczeniu, bez ruchu, nie mogąc ani mówić, ani odejść przedtem, zanim Heidi weźmie potrawę. Dziewczynka patrzyła na niego przez chwilę w zdumieniu, a potem spytała:

— Czy mam to jeść?

Sebastian skinął głową ponownie.

— Więc daj mi — powiedziała, patrząc spokojnie na swój talerz. Sebastian jeszcze bardziej wykrzywił twarz, a półmisek zadrżał mu niebezpiecznie w rękach.

— Niech Sebastian postawi półmisek na stole i przyjdzie potem — powiedziała panna Rottenmeier, robiąc surową minę.

Sebastian znikł niezwłocznie.

— Adelajdo! — rzekła dama. — Widzę, że muszę ci wpajać najpierwotniejsze zasady! Przede wszystkim pokażę ci, co się robi, siedząc przy jedzeniu.

Potem zaczęła pokazywać dobitnie wszystko, co miała robić Heidi.

— A teraz, pamiętaj, że nie wolno ci rozmawiać z Sebastianem, z wyjątkiem kiedy masz mu dać jakieś zlecenie albo zadać konieczne pytanie. W takim razie masz mu mówić przez trzecią osobę, a więc: „niech on” lub „niech Sebastian” i tak dalej. Nie chcę

słyszeć, byś miała przemawiać inaczej. Tak samo masz się odzywać do Tinety. Mnie będziesz tytułować, jak to robią wszyscy, zaś odnośnie do Klary, pozostawiam to waszemu porozumieniu.

— Oczywiście, Klaro! — powiedziała zaraz chora panienka.

Nastąpiło wyliczenie mnóstwa przepisów zachowania przy wstawaniu z łóżka, kładzeniu się, wchodzeniu i wychodzeniu, trzymaniu rzeczy w porządku, zamykaniu drzwi itd. Heidi długo słuchała, potem jednak opadły jej powieki. Wstała tego dnia o piątej rano i odbyła daleką podróż. Oparła się o poręcz krzesła i zasnęła. Panna Rottenmeier mówiła jeszcze długo, wreszcie rzekła:

— Zapamiętaj to sobie, Adelajdo! Czyś zrozumiała wszystko?

— Heidi śpi od dawna! — zauważyła Klara z uśmiechem. — Kolacja miała dziś niebywale zabawny przebieg.

— Rzecz niesłychana, co trzeba przeżyć z tym dzieckiem! — wykrzyknęła panna Rottenmeier i zaczęła dzwonić tak gwałtownie, że Sebastian i Tineta wpadli razem do jadalni. Hałas ten nie zbudził jednak Heidi. Z niemalym trudem ocucono ją na tyle, by dała się zaprowadzić do swego pokoju, który był za pracownią, sypialnią Klary i sypialnią panny Rottenmeier, a stanowił narożnik domu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY, PANNA ROTTENMEIER PRZEŻYWA NIESPOKOJNY DZIEŃ

Nazajutrz wczesnym rankiem Heidi otworzyła oczy i zupełnie niczego nie mogła zrozumieć. Przetarłszy je raz jeszcze silnie, spojrzała po raz drugi i zobaczyła wokół siebie to samo. Siedziała na wysokim, białym łóżku, mając przed sobą duży, jasny pokój. Okna, skąd płynęło światło, miały długie, białe firanki, pod oknami stały dwa krzesła pokryte tkaniną w wielkie kwiaty, pod ścianą taka sama kanapa, przed nią stół, a w kącie umywalnia z mnóstwem przedmiotów, zupełnie jej nieznanych. Nagle przypomniała sobie, że jest przecież we Frankfurcie i wróciło jej z pamięci wszystko, co przeżyła poprzedniego dnia, nawet nauki panny Rottenmeier, o ile je zasłyszała. Zeskoczyła z łóżka, ubrała się, potem zaś podeszła do jednego i drugiego okna, chcąc zobaczyć niebo i ziemię, gdyż firanki nadawały pokojowi wygląd klatki. Nie mogąc ich odsunąć, weszła za nie do samego okna. Ale było tak wysokie, że ledwo głową sięgała szyby i dlatego wysiłki zobaczenia tego, czego szukała, były daremne. Chodziła od okna do okna, ale widziała same tylko mury i przeciwległe okna, i znowu okna i mury. Przygnębiło ją to bardzo. Było jeszcze wcześniej, bo Heidi nawykła wstawać niemal o świcie i wybiegać zaraz na świat, by zobaczyć, czy niebo pogodne, czy słońce świeci, czy żółte kwiatki otwarły już kielichy, posłuchać szumu jodeł. Jak ptaszek świeżo wsadzony do klatki próbuje się przecisnąć przez druty i skacze wokoło, tak samo biegała Heidi od okna do okna, próbując je otworzyć. Musiało tam przecież być coś jeszcze prócz okien i murów, a więc ziemia, trawa i topniejące resztki śniegu na zboczach gór, za czym tęskniła bardzo. Ale okna były dalej szczelnie zamknięte, mimo że szarpała ramy, a nawet usiłowała wetknąć od spodu swój mały paluszek, by je wyważyć siłą. Daremnie, ani drgnęły. Zmieniwszy więc plan, zaczęła rozważać, czy nie wyjść z domu i obszedłszy go wokoło, dostać się wreszcie do trawy. Pamiętała dobrze bowiem, że wczoraj szła do bramy frontowej po kamieniach. Rozległo się pukanie i zaraz wetknęła głowę Tineta, mówiąc krótko:

— Śniadanie podano.

Heidi nie uznała tego za zaproszenie. Drwiąca twarz Tinety wyrażała raczej ostrzeżenie, by się do niej nie zbliżać, niż życzliwą zachętę. Heidi wyczytała to wyraźnie i zastosowała się do tego. Wyciągnęła spod stołu niski taboret, siadła w kącie i czekała cicho, co nastąpi. Po pewnym czasie nadeszło coś dość hałaśliwego. Była to panna Rottenmeier, na nowo wzburzona.

— Cóż to znowu, Adelajdo?! — krzyknęła, stając w progu. — Czyż nie wiesz, co znaczy śniadanie? Chodź zaraz!

Heidi zrozumiała teraz wszystko i poszła za nią. W jadalni Klara siedziała już od dawna na swoim miejscu i wesoło pozdrowiła Heidi. Cieszyła się na myśl, że dzień ten niezawodnie przyniesie znowu coś nowego. Śniadanie minęło bez wypadku. Heidi zjadła przyzwoicie chleb z masłem, potem zatoczono Klarę z powrotem do pracowni, a pan-

na Rottenmeier kazała Heidi zostać z Klarą aż do przyjścia pana profesora i rozpoczęcia lekcji. Gdy zostały same, Heidi zaraz spytała:

— Co trzeba zrobić, by wyrzeć i zobaczyć ziemię na dole?

— Trzeba otworzyć okno — odparła Klara wesoło.

— Ach! Okna nie można otworzyć — zauważyła ze smutkiem dziewczynka.

— Można, można — pocieszyła ją. — Tylko ty sama nie dosięgniesz klamki, a ja ci także nie mogę pomóc, ale powiedz Sebastianowi, a on na pewno otworzy.

Odetchnęła z ulgą. Myśl, że można stąd wyrzeć i zobaczyć ziemię, zmniejszyła uczucie niewoli, jakiemu uległa w swym pokoju. Klara zaczęła wypytywać o szczegóły jej dotychczasowego życia, a Heidi opowiadała z zapałem o halach, kozach, pastwiskach i wszystkim, co kochała.

Tymczasem przyszedł pan profesor, a panna Rottenmeier nie wprowadziła go, jak zazwyczaj, wprost do pracowni, ale chcąc się wynętrzyć, poszła z nim do jadalni, usiadła i drżąc z podniecenia, skreśliła wymownie całą fatalną sytuację oraz przyczyny, z jakich powstała.

Doniosła mianowicie niedawno panu Sesemannowi, przebywającemu właśnie w Paryżu, że córka jego życzy sobie stałej towarzyszkę nauki i zabawy, która by z nią razem mieszkała, przy tym wyraziła zapatrywanie, że towarzyszka taka byłaby dla Klary skutecznym bodźcem w nauce, a miłą rozrywką w zabawie. Dla samej panny Rottenmeier było to również pożądane, bo uzyskiwałyby wyrękę w pielęgnowaniu chorej, co często ją nużyło. Pan Sesemann odpisał, że godzi się na życzenie Klary z tym jednak warunkiem, że towarzyszka ta traktowana będzie tak samo jak jego własna córka, gdyż nie chce, by w jego domu dręczono dzieci. Panna Rottenmeier uznała tę ostatnią uwagę za całkiem zbyteczną, któż by bowiem chciał dręczyć dzieci. Potem opisała straszliwe przejścia, jakie miała od wczoraj z Heidi, przytoczyła dowody zupełnego braku zasadniczych podstaw i bezzmysłności, tak że pan profesor musiałby rozpocząć naukę dosłownie od alfabetu, a ponadto ona sama byłaby zmuszona wpajać najprymitywniejsze początki wychowania. Ta fatalna sytuacja dopuszcza jeden tylko środek ratunku, mianowicie wszystko zostanie rozplątane, jeśli pan profesor oświadczy, że nie sposób uczyć razem dwu tak odmiennych istot bez wielkiej szkody dla bardziej zaawansowanej. Byłby to dla pana Sesemanna wystarczający powód wycofania się ze wszystkiego, a dziewczynkę można by odesłać do domu. Bez jego zgody nie miała odwagi tego zrobić, zwłaszcza że został zawiadomiony o przyjęciu małej.

Ale pan profesor był ostrożny i bezstronny w swych poglądach. Pocieszał długo, a wymownie pannę Rottenmeier i wyraził zapatrywanie, że jeśli wiejska dziewczynka posiada braki z jednej strony, to tym bardziej może być zaawansowana z drugiej, a to doprowadzi do równowagi systematyczna nauka. Panna Rottenmeier przekonała się, że pan profesor nie chce jej popierać, wstała więc, wpuściła go do pracowni, szybko zamykając za nim drzwi, sama jednak tam nie poszła, gdyż zaczynanie wszystkiego od początku wielce ją przerażało. Zaczęła chodzić wielkimi krokami po jadalni, gdyż musiała rozważyć, jak ma służyć tytułować Adelajdę. Pan Sesemann napisał, by była traktowana jak jego własna córka, a uwaga ta dotyczyła niezawodnie jej stosunku do służby. Niedługo jednak miała spokój na rozmyślenia. W pracowni rozległ się straszliwy łomot spadających przedmiotów i wołanie, by Sebastian pospieszył na ratunek. Wpadła do pracowni i ujrzała coś strasznego. Na posadzce leżała kupa przyborów naukowych, książek, zeszytów, kałamarz, na tym zaś wszystkim dywan, spod którego przez całą szerokość pokoju sączył się strumyk atramentu. Heidi znikła.

— Okropność! — wykrzyknęła panna Rottenmeier, załamując ręce. — Dywan, książki, koszyk z robotą, wszystko w atramencie! Nigdy się jeszcze nie wydarzyło coś podobnego! To pewnie sprawa tej nieszczęsnej Adelajdy... nieprawdaż?

Pan profesor patrzył z przerażeniem na szczątki i musiał przyznać, tym razem jednostronnie, że katastrofa ma tylko jedną stronę i to smutną. Klarę natomiast wyraźnie cieszyły te niezwykle wydarzenia, więc rzekła tytułem objaśnienia:

— Istotnie zrobiła to Heidi, ale nie rozmyślnie, więc karać jej nie trzeba. Bardzo się spieszyła, szarpnęła dywan i wszystko spadło. Przejeżdżało kilka pojazdów, jeden za drugim, więc pobiegła, by je zobaczyć. Pewnie dotąd w życiu nie widziała dorożki.

— Czyż nie miałam racji, panie profesorze? — spytała panna Rottenmeier. — Brak zasadniczych pojęć! Ta pierwotna istota nie wie, co znaczy lekcja, nie wie, że trzeba siedzieć spokojnie i słuchać. Gdzież się jednak podział ten diabeł? Gdyby uciekła, miałabym ładną historię z panem Sesemannem...

Wybiegła z pokoju, a potem szybko minęła schody. W otwartej bramie domu stała Heidi i rozglądała się bacznie po ulicy.

— Cóż to jest? Co ci wpadło do głowy? Czy chcesz uciekać? — ofuknęła małą.

— Usłyszałam szum jodeł, ale nie wiem, gdzie rosną, i już nie słyszę szumu — odparła Heidi, rozglądając się wokoło z wyrazem rozczarowania. Turkot pojazdów, teraz ścichły, wydał się jej szumem wiatru w koronach drzew, tak że zdjęta radością pobiegła w ślad za nim.

— Jodły? Czyż jesteśmy w lesie? Cóż za pomysły? Wróć i zobacz, coś zrobiła!

Panna Rottenmeier zaczęła wchodzić z wolna na górę, Heidi szła za nią, a wszedłszy do pracowni, stanęła zdumiona katastrofą, którą wywołała tym, że chciała posłuchać szumu jodeł.

— Pamiętaj, że po raz drugi nie ujdzie ci to płazem! — powiedziała panna Rottenmeier, pokazując posadzkę. — Podczas nauki trzeba siedzieć spokojnie i uważać. Jeśli tego nie potrafisz, każę cię przywiązać do krzesła! Rozumiesz?

— Rozumiem — odparła. — Będę siedziała, jak przyrośnięta do krzesła.

Zrozumiała teraz, że podczas lekcji trzeba siedzieć spokojnie.

Sebastian i Tineta zajęli się porządkowaniem, a pan profesor odszedł, bowiem w tych warunkach o lekcji nie było mowy. Tego dnia na ziewanie zabrakło czasu.

Po obiedzie Klara przez pewien czas odpoczywała, a Heidi, jak ją pouczyła panna Rottenmeier, mogła zająć się, czym chciała. Zadowolona, że może wykonać swój zamiar, stanęła w korytarzu przed jadalnią, by przyłapać pewną osobę, potrzebną do pomocy w przedsięwzięciu. Niedługo, jak się spodziewała, nadszedł Sebastian. Niósł z kuchni na wielkiej tacy umyte srebra stołowe, by je schować do kredensu. Heidi podeszła do niego i rzekła bardzo wyraźnie:

— „Niech” czy przez trzecią osobę?

Sebastian wytrzeszczył oczy i odparł dość szorstko:

— Cóż to ma znaczyć, panienko?

— Chciałabym o coś zapytać, ale nie ma w tym nic złego jak dziś rano — ciągnęła dalej tonem uspokajającym, gdyż zauważyła, że Sebastian jest rozgoryczony przygodą z atramentem.

— Tak? A czemuż to ma się do mnie mówić „niech” lub przez trzecią osobę? — odparł równie szorstko.

— Tak musi być — zapewniła. — Panna Rottenmeier kazała.

Sebastian wybuchnął tak głośnym śmiechem, że Heidi zdumiała się wielce. Przeciwnie w jej słowach nie było nic śmiesznego. Sebastian zrozumiał nagle rozkaz panny Rottenmeier i rzekł wesoło:

— Proszę mówić dalej, panienko.

— Nie nazywam się panienka, ale po prostu Heidi — zauważyła z pewnym niezadowolaniem.

— Wiem, wiem — odparł — ale ta sama osoba rozkazała, bym mówił „panienko”.

— Rozkazała? Muszę się więc tak nazywać — powiedziała z rezygnacją i dodała, wzdychając: — Mam teraz już trzy imiona!

— O co chciała zapytać mała panienka? — rzekł Sebastian, który wszedł tymczasem do jadalni i zaczął układać srebra w kredensie.

— Jak się otwiera okno, Sebastianie?

— Całkiem po prostu! — oświadczył, otwierając.

Heidi podeszła, ale była zbyt niska, by coś zobaczyć, głową sięgała zaledwo do gzymsu.

— Zaradzimy na to — powiedział, przysuwając drewniany zydeł. — Teraz może panienka wyglądać wedle upodobania.

Uradowana Heidi wskoczyła i spojrzała w ulicę, co było jej marzeniem. Po chwili cofnęła się jednak, bardzo rozczarowana.

— Widać tylko kamienną ulicę i nic więcej — rzekła z żalem. — A gdyby się obeszło dom wokoło, coż by tam można widzieć, Sebastianie?

— To samo.

— Gdzież więc trzeba iść, jeśli się chce objąć spojrzeniem duży widnokrąg, całą dolinę?

— Trzeba wyjść na wieżę, tak wysoką, jak na przykład tamta, ze złotą kulą na szczycie. Patrząc stamtąd, widać bardzo daleko wokoło.

Heidi zeskoczyła spiesznie z zydła, wybiegła, minęła schody i dopadła ulicy. Ale nie poszło to tak łatwo, jak się spodziewała. Wieża, bardzo bliska, gdy na nią patrzyło się z okna, znikła z chwilą, kiedy dziewczynka znalazła się w ulicy. Szukając tej wieży, biegła aż do zakrętu, weszła w ulicę drugą, potem trzecią, ale wieży nigdzie nie było. Mijało ją mnóstwo ludzi, ale spieszyli się tak, że nie śmiała pytać! Dopiero na następnym zakręcie ujrzała wyrostka, kataryniarza, z katarynką na plecach i jakimś dziwnym zwierzęciem na ramieniu. Podbiegła do niego i spytała:

— Gdzie jest wysoka wieża ze złotą kulą na szczycie?

— Nie wiem — odrzekł.

— Kto mi ją wskaże?

— Nie wiem.

— A może wiesz, gdzie jest inny kościół z wysoką wieżą?

— Wiem.

— Zaprowadź mnie tam!

— A co mi dasz? — spytał, wyciągając dłoń.

Heidi zaczęła szukać po kieszeniach i po chwili wydobyła obrazek z pięknie wymalowanym wiankiem róż, który jej dała Klara. Z pewnym żalem patrzyła na niego przez chwilę, potem zaś rzekła:

— Masz!

Chłopiec cofnął dłoń i potrząsnął przecząco głową.

— Czegoż chcesz? — spytała, chowając z zadowoleniem obrazek do kieszeni.

— Pieniądzy.

— Nie mam pieniędzy, ale Klara je ma i na pewno mi da. Ile chcesz?

— Dwadzieścia fenigów<sup>18</sup>.

— Chodźmy!

Ruszyli przed siebie długą ulicą, a Heidi spytała, co ma na plecach. Objął ją, że jest to przykryta sukniem katarynka, która prześlicznie gra, gdy kręci korbą. Po chwili stanęli przed starym kościołem z wysoką wieżą. Chłopiec zatrzymał Heidi, mówiąc:

— Tutaj!

— I jakże się tam dostać? — spytała, widząc, że brama zamknięta.

— Nie wiem.

— Może by zadzwonić, jak na Sebastiana?

— Nie wiem.

Heidi znalazła dzwonek i zaczęła szarpać z całej siły.

— Ja wejdę na wieżę, a ty musisz tu zaczekać, inaczej nie trafię do domu — powiedziała.

— Co mi dasz?

— Znowu muszę ci płacić, a ile?

— Dwadzieścia fenigów.

Po chwili rozległ się z wnętrza zgrzyt otwieranego zamka, drzwi zaskrzypiały i wyjrzał z nich stary człowiek. Na widok dzieci zmarszczył brwi i krzyknął:

— Jak śmiecie dzwonić i sprowadzać mnie na dół? Przecież wyraźnie jest tu napisane, że dzwonek jest przeznaczony dla tych, którzy chcą wejść na wieżę!

Chłopak wskazał palcem na Heidi i nie rzekł ani słowa.

— Ja właśnie chcę wejść na wieżę — odpowiedziała.

— Po co? Czy cię ktoś przysłał?

— Nie — powiedziała spokojnie. — Chcę tylko popatrzeć z góry.

— Wynoście mi się zaraz i nie próbujcie po raz drugi żarcików!

Rzekłszy to, strażnik wieży obrócił się, chcąc zamknąć bramę.

Ale Heidi chwyciła połę jego długiego surduta<sup>19</sup> i powiedziała błagalnie:

<sup>18</sup>fenig — drobna moneta w krajach niemieckojęzycznych. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>surdut — część męskiej garderoby, przedłużana marynarka. [przypis edytorski]

— Tylko jeden, jedyny raz!

Spojrzał w oczy dziewczynki i ich wyraz od razu zmienił jego nastrój. Wziął ją za rękę, mówiąc:

— Jeśli ci tak bardzo na tym zależy, moje dziecko, to chodź ze mną.

Chłopiec usiadł na progu, gdyż nie chciał iść.

Prowadzona przez dozorcę Heidi musiała przebyć mnóstwo schodów, coraz to węższych, zanim się dostała na sam szczyt. Dozorca podniósł ją do wysoko umieszczonego okna.

— Patrz teraz! — powiedział.

Heidi zobaczyła mnóstwo dachów wież, kominów. Po chwili cofnęła się i rzekła tonem przygnębienia:

— Nie tego się spodziewałam!

— A widzisz! Takie dziecko jak ty nie ma pojęcia o widoku. Sprowadzę cię teraz na dół. Ale nie dzwoń już po raz drugi do żadnej wieży!

Postawił Heidi na podłodze i zaczął schodzić na dół, ona zaś szła za nim. W miejscu, gdzie schody się rozszerzały, była izdebka strażnika, o skośnym pułapie. Blisko progu stał spory kosz, przy nim zaś siedziała gruba, brura kotka i mruczała głośno. W koszu mieściły się jej dzieci, dlatego też ostrzegała w ten sposób przechodniów, by się nie wdawali w jej sprawy domowe. Heidi przystanąła, patrząc z podziwem na kotkę, tak wielką, jakiej dotąd nie widziała w życiu. W starej wieży żyło mnóstwo myszy, toteż kotka pożerała codziennie bez wielkiego trudu tuzin mysich pieczeni. Dozorca zauważył podziw dziewczynki i rzekł:

— Chodź! Ona nie zrobi ci nic złego. Obejrzyś młode kocięta.

Heidi podeszła do kosza i zaraz ogarnął ją zachwyty.

— Jakież śliczne kotki! — wykrzyknęła radośnie i zaczęła skakać wokoło, zaglądając raz po raz, by przyglądać się śmiesznym ruchom ośmiu kociąt, które bezustannie prze-  
walały się w koszu, wlażyły na siebie i znowu spadały.

— Chcesz może mieć jedno z nich? — spytał dozorca, który patrzył z zadowoleniem na radosne podskoki Heidi.

— Czy dostanę je na własność, na zawsze? — odparła, nie wierząc jeszcze w swoje szczęście.

— Oczywiście! Możesz wziąć więcej, nawet wszystkie, jeśli masz na nie miejsce — rzekł dozorca, zadowolony, że pozbędzie się kociąt bez topienia ich.

Heidi promieniała. W wielkim domu miejsca było aż nadto, a Klara będzie chyba bardzo zdziwiona i zadowolona z takiego nabytku.

— Jak ja je zabiorę? — zadumała się Heidi i sięgnęła po jedno. Ale gruba kotka skoczyła na nią i parsknęła tak groźnie, że musiała się cofnąć.

— Odniosę ci je, powiedz tylko dokąd — powiedział dozorca, głaszcząc kotkę, która była z dawien dawna jego przyjaciółką.

— Do pana Sesemanna, który mieszka w wielkim, szarym domu, gdzie jest u bramy złota psia głowa z pierścieniem w pysku i Sebastian.

Dozorca nie potrzebował aż tylu szczegółów. Spędził całe lata na wieży, znał każdy dom tej dzielnicy, a był ponadto zaprzyjaźniony z Sebastianem.

— Wiem już, wiem! — powiedział. — Komu jednak mam to posłać? Ty przecież nie jesteś członkiem rodziny pana Sesemanna?

— Nie, ale Klara jest jego córką. Będzie się bardzo cieszyła tymi kotkami.

Dozorca chciał ją sprowadzić na dół, ale Heidi nie mogła się oderwać od koszyka.

— Ach! — westchnęła. — Czy nie mogłabym wziąć bodaj dwu, dla siebie i dla Klary?

— Poczekaj! — rzekł dozorca, zaniósł ostrożnie starą kotkę do izby, postawił przed nią miseczkę z jedzeniem, potem zamknął drzwi i powiedział:

— Weź dwa kocięta.

Oczy Heidi rozbłysły radością. Wybrała kocię białe i biało-żółte, chowając każde do osobnej kieszeni. Dokonawszy tego, zesła z dozorcą na ulicę.

Kataryniarz siedział na stopniach. Gdy zamknięto bramę za Heidi, zwróciła się do niego, mówiąc:

— Którędy mamy wracać do domu pana Sesemanna?

— Nie wiem — odpowiedział.

Kot

Kot



Heidi zaczęła opisywać dom, bramę, okna i schody, ale chłopiec potrząsał głową i nie mógł się zorientować.

— Z jednego okna — mówiła Heidi — widać wielki, bardzo wielki, szary budynek z takim dachem...

Zakreśliła w powietrzu zygzakowatą linię.

Kataryniarz zerwał się w tej chwili. Podobne szczegóły i jemu także wskazywały drogę w zupełnie nieznanym mieście. Ruszył żwawo przed siebie, Heidi za nim i niebawem stanęli pod domem z wielkim, mosiężnym dzwonkiem w kształcie zwierzęcej głowy. Heidi zadzwoniła. Sebastian otworzył bramę, a ujrawszy ją, zawołał nagle:

— Prędko! Prędko!

Heidi przeskoczyła próg, a lokaj zatrzaskał drzwi, nie dostrzegłszy wcale małego kataryniarza, który stał zaskoczony tym wszystkim.

— Prędko, mała panienko! — nalegał Sebastian. — Wprost do jadalni! Siedzą już przy stole, a panna Rottenmeier wygląda jak nabita armata. Czemuż to mała panienka ucieka z domu?

Kiedy Heidi weszła do jadalni, panna Rottenmeier nawet na nią nie spojrzała. Klara także milczała. Zapadła niesamowita cisza. Sebastian podsunął jej krzesło. Usiadła, a wówczas panna Rottenmeier powiedziała surowo, patrząc na nią przenikliwie:

— Adelajdo! Potem się rozmówimy, teraz powiem ci tylko, żeś popełniła czyn karygodny, wychodząc z domu bez zawiadomienia i włócząc się po ulicach do wieczora. Jest to postępek wprost bezprzykładny.

— Miau! — zabrzmiało w odpowiedzi.

Dama rozgorzała gniewem.

— Jak to, Adelajdo! — krzyknęła głośno. — Śmiesz w dodatku stroić sobie żarty? Ostrzegam, że nie wyjdzie ci to na dobre!

— Ależ to nie ja... — zaczęła ale Heidi, jednocześnie rozległo się znowu miauczenie.

Sebastian rzucił półmisek na stół i wybiegł.

— Dość tego! — panna Rottenmeier chciała wymówić te słowa, ale zabrakło jej głosu.

Po chwili rzekła: — Wstań, Adelajdo, i wyjdź stąd!

Heidi wstała przerażona i zaczęła się tłumaczyć:

— Ależ...

— Miau! Miau! — zabrzmiało raz jeszcze.

— Droga Heidi — przemówiła Klara — czemu pobudzasz do gniewu pannę Rottenmeier, czemu ciągle miauczysz?

— To nie ja, to koty! — zdołała nareszcie powiedzieć.

— Co? Koty? Młode koty? — wrzasnęła panna Rottenmeier. — Sebastianie, Tineto, proszę odszukać te straszliwe zwierzęta i wyrzucić z domu!

Potem uciekła do pracowni i z ostrożności zamknęła drzwi na klucz, gdyż młode koty były dla niej czymś najstraszniejszym w świecie. Sebastian stał w korytarzu, zanosząc się od śmiechu. Podając Heidi potrawę, zobaczył głowę kociaka, wyglądającą z jej kieszeni, a przewidując wybuch awantury, uciekł, ledwo mając czas postawić półmisek na stole. Teraz, kiedy przebrzmiały już rozpaczliwe okrzyki damy, wszedł i ujrzał Klarę z kociakiem na kolanach, przy niej zaś klęczała Heidi i obie bawiły się zwinnymi zwierzątkami.

— Sebastianie! — odezwała się na jego widok Klara. — Proszę nam dopomóc. Trzeba znaleźć miejsce dla tych kociąt, gdyż panna Rottenmeier się ich boi. Kiedy będziemy same, pobawimy się z nimi. Gdzieby je umieścić?

— O, ja to już załatwię, panno Klaro! — powiedział z wielką gotowością. — Uścielę im w koszyku miękkie łóżeczko i schowam tam, gdzie nie sięgnie spojrzenie bojaźliwej damy!

Wziął się zaraz do roboty, parszkając co chwila śmiechem i mruczając pod nosem:

— Z tego będzie jeszcze niejedna heca!

Sebastiana bawiło trochę, gdy panna Rottenmeier wpadała w gniew.

Minęło sporo czasu i nadeszła już pora spania, gdy dama uchyliła drzwi i spytała przez szparę.

— Czy wyniesiono już te szkaradne zwierzęta?

— Tak jest! Oczywiście! — odpowiedział Sebastian, który krzątał się po jadalni w oczekiwaniu tego pytania. Wziął szybko kociaki z kolan Klary i wyszedł.

Panna Rottenmeier odłożyła na później długie, karcące kazanie, jakie usłyszeć miała Heidi. Gniew, niepokój i oburzenie, których to uczuć mimowolnie Heidi została przyczyną, wyczerpały siły czcigodnej damy. Wycofała się w milczeniu do sypialni, a w ślad jej obie dziewczynki, wielce zadowolone, że kotki mają wygodne legowisko.

## ROZDZIAŁ ÓSMY. W DOMU PANA SESEMANN PANUJE CIĄGŁY NIEPOKÓJ

Nazajutrz rano Sebastian otworzył bramę profesorowi i zaprowadził go do pracowni. Nagle ktoś zadzwonił ponownie, i to z taką siłą, że Sebastian skoczył po schodach galopem. W ten sposób zwykł dzwonić tylko sam pan Sesemann. Spiesznie otworzył drzwi i zobaczył obdartego wyrostka z katarynką na plecach.

— Cóż to znaczy?! — wrzasnął. — Jak śmiesz tak szarpać za dzwonek! Czegóż chcesz?

— Widzieć się z Klarą — odparł chłopiec.

— Ty oberwańcze! — wykrzyknął Sebastian. — Mówi się: panna Klara! A cóż to za interes masz do panny Klary?

— Winna mi jest czterdzieści fenigów.

— Oszalełeś chyba? Skąd wiesz zresztą, że tu mieszka panna Klara?

— Wczoraj pokazałem jej drogę, to jest dwadzieścia fenigów, potem przyprowadziłem do domu, to znowu dwadzieścia, czyli razem czterdzieści fenigów.

— Głupstwa pleciesz. Panna Klara nie chodzi nigdy po ulicach, nie może nawet chodzić, wynoś się więc, zanim cię wyrzucę!

Chłopiec nie zmieszał się tym przyjęciem, ale rzekł dobitnie:

— Widziałem ją na ulicy i wiem, jak wygląda. Ma krótkie, kręte, czarne włosy, czarne oczy, brunatną suknię i nie mówi tak jak my.

„Oho!” — pomyślał Sebastian, omal nie wybuchając śmiechem. „To mała panienka coś znowu namotała”. Wciągnął chłopca do sieni i rzekł:

— No dobrze, już, dobrze. Chodź za mną i zaczekaj pod drzwiami, aż wrócę. Gdy cię wpuszczę, zaraz zacznij grać, nasza panienka lubi bardzo muzykę.

Zapukał do pracowni i wszedł.

— Czeka tutaj w korytarzu jakiś chłopiec! — zameldował. — Chce się koniecznie widzieć z panną Klarą.

Wydarzenie bardzo uradowało chorą.

— Proszę go przyprowadzić — powiedziała. — Prawda, panie profesorze? Ma do mnie jakiś osobisty interes.

Chłopiec wszedł tymczasem i zaczął stosownie do polecenia grać na katarynce. Celem uniknięcia abecadła Heidi, panna Rottenmeier przechadzała się po jadalni. Nagle nastawiła uszu. Cóż to? Katarynka gra na ulicy? Nie, dużo bliżej! Czyżby w pracowni? Istotnie! Przebiegła pędem długą jadalnię, szarpnęła drzwi i ujrzała oberwańca, który z wielkim zapalem kręcił korbą. Pan profesor robił rozpaczliwe wysiłki, by coś powiedzieć, ale nie było go słychać. Klara i Heidi, widocznie rozradowane, delectowały się muzyką.

— Dość tego! Dość! — krzyknęła, ale muzyka zagłuszyła jej wołanie. Podbiegła do chłopca, ale nagle poczuła coś między nogami. Po posadzce pełzał straszliwy, czarny potwór, zmierzając prosto do jej nóg. Był to żółw. Przerażona śmiertelnie wykonała skok taki, jakiego chyba od lat dziewczęcych nie próbowała, i wrzasnęła z całej siły:

— Sebastianie! Sebastianie!

Kataryniarz przestał nagle grać. Tym razem krzyk przeniknął przez muzykę. Sebastian stał w korytarzu, ślaniając się od śmiechu, gdyż widział przez uchylone drzwi skok czcigodnej damy. Po chwili wszedł i zastał pannę Rottenmeier na pół żywą, leżącą w fotelu.

— Precz! Precz! Niech Sebastian wyrzuci tego człowieka i to zwierzę!

Sebastian usłużnie wypchnął za drzwi chłopca, który wziął pod pachę swego żółwia. Gdy obaj wyszli, wetknął mu w dłoń pieniądze, mówiąc:

— Czterdzieści fenigów od panny Klary, a czterdzieści za granie. Dobrześ to zrobił, chłopcze!

Potem zamknął za nim bramę. Lekcja potoczyła się dalej, a panna Rottenmeier trwała na stanowisku, by swą obecnością uniemożliwić tego rodzaju okropności. Postanowiła, że dopiero po lekcji rozpocznie śledztwo i surowo ukarze winnego.

Po chwili rozległo się ponowne pukanie, wszedł Sebastian i zameldował, że przyniesiono spory kosz dla panny Klary, z poleceniem wręczenia jej niezwłocznie.

— Dla mnie? — spytała zdumiona i bardzo zaciekawiona. — Proszę przynieść i pokazać, jak wygląda.

Sebastian przyniósł zamknięty pokrywą kosz i oddalił się szybko.

— Rozpakujemy go, sądzę, dopiero po lekcji! — zauważyła panna Rottenmeier.

Klara nie umiała sobie wyobrazić, co jej przyniesiono. Spojrzała pożądliwie na kosz, potem zaś, przerywając deklinowanie<sup>20</sup>, zwróciła się do pana profesora, pytając:

— Czy nie mogłabym zobaczyć, co tam jest? Potem wzięlibyśmy się zaraz do dalszej lekcji.

— Pod jednym względem byłoby to możliwe, pod innym niekorzystne! — powiedział jak zawsze bezstronnie. — Z jednej strony można by na poparcie żądania panny Klary przytoczyć fakt, że jeśli jej uwagę przykuwać będzie ten przedmiot...

Nie mógł skończyć wywodu. Pokrywa kosza była założona luźno. Nagle z wnętrza wyskoczyło małe kocię, potem drugie, trzecie, słowem niezliczone, zdawało się, mnóstwo kociąt. Zaczęły biegać i skakać po całej pracowni tak szybko, że dwoiły się i troiły w oczach, jakby cały pokój pełen był kotów. Skakały przez trzewiki pana profesora, drapały jego spodnie, wspinały się po sukni panny Rottenmeier i płały pod jej nogami, wskakiwały na wózek Klary, piszcząc, miaucząc i wyprawiając najrozmaitsze figle. Klara wykrzykiwała raz po raz:

— Cóż za śliczne stworzonka! Jak wesoło skaczą! Heidi, popatrz na tamtego kociaka!

Heidi biegała za kociętami z kąta w kąt pokoju, śmiejąc się głośno. Pan profesor stał wielce zakłopotany, podnosząc to jedną, to drugą nogę, by uniknąć niemile drapiących pazurków. Panna Rottenmeier zrazu siedziała niema z przerażenia w fotelu, potem zaczęła krzyczeć z całej siły.

— Tineto! Tineto! Sebastianie! Sebastianie!

Nie ruszała się z miejsca, w obawie, by te potwory nie skoczyły na nią.

Na kilkakrotne wołanie zjawili się Sebastian i Tineta, pochwytili kocięta, włożyli z powrotem do kosza i zanieśli na strych, dołączając je do dwu poprzednich.

Dopiero późnym wieczorem, odpocząwszy należycie po przeżytych utrapieniach, panna Rottenmeier przywołała do pracowni Sebastiana i Tinetę w celu przeprowadzenia surowego śledztwa. Wyszło teraz na jaw, że wszystko to były skutki wczorajszej wycieczki Heidi. Panna Rottenmeier zrazu milczała, z oburzenia nie mogąc mówić, potem, oddalwszy znakiem służbę, powiedziała surowo do Heidi, stojącej obok wózka Klary:

— Adelajdo! Dla osoby tak barbarzyńskiej jak ty mam karę, którą odczujesz chyba dotkliwie. Oto zostaniesz zamknięta w ciemnej piwnicy, gdzie są szczury i jaszczurki. To cię zapewne odczy podobnych wybryków.

Heidi wysłuchała tego wyroku z wielkim zdumieniem. W chacie dziadka była także piwnica, gdzie leżały gotowe sery i stały garnki z mlekiem. Było to jednak miejsce raczej wesołe i ponętne niż przerażające. Szczurów ani jaszczurek nie widziała dotąd wcale.

Na te słowa Klara podniosła żalony protest:

— Nie, nie, panno Rottenmeier! Trzeba poczekać na ojczulka. Przecież pisał, że niedługo wróci. Opowiem mu wszystko, a on postanowi sam, co zrobić z Heidi.

Wobec takiej apelacji do władzy wyższej, panna Rottenmeier musiała ustąpić, tym bardziej, że pan domu miał w istocie przybyć niebawem.

Wstała gniewna i odrzekła:

— Dobrze, Klaro! Ale i ja pomówię z panem Sesemannem.

Potem wyszła z pokoju.

Parę dni minęło spokojnie, ale panna Rottenmeier była ciągle wzburzona. Nie schodziło jej z myśli, jak bardzo się zawiodła na Heidi, której sama obecność zniweczyła cały porządek domu, który przepadł na zawsze. Klara przeciwnie, była wielce zadowolona i nigdy się nie nudziła, bo jej towarzyszka wyprawiała różne figle nawet podczas lekcji. Nie

<sup>20</sup>deklinowanie — odmienianie słowa przez przypadki i liczby. [przypis edytorski]

umiała rozróżnić liter, gdy zaś pan profesor dla zobrazowania porównywał je np. z „rozkami” albo „dzióbkiem”, Heidi wykrzykiwała:

— To jest istna koza! A to drapieżny ptak.

Te porównania budziły w jej głowie najrozmaitsze wyobrażenia, nie pomagając jednak wcale w poznaniu liter. W godzinach popołudniowych Heidi opowiadała Klarze o halach, górach i życiu w ojczystych stronach, a to rozbudzało w niej na nowo chęć powrotu, tak że kończyła stale słowami:

— Tak, tak, muszę wracać! Jutro z całą pewnością pojedę!

Klara uspakajała ją, udowadniając, że musi zostać aż do powrotu ojca, który wszystko załatwi jak najlepiej. Heidi w końcu godziła się na to, radując się nawet tym, iż z dniem każdym wzrasta jej zapas białych bułeczek dla babki. Co dnia przybywały dwie, w południe i wieczór. Nie jadłaby ich za żadną cenę, wiedząc, że stara babka ma tylko twardy chleb. Po obiedzie przesiadywała samotnie w swym pokoju, nie wybiegając na świat, jak ongiś na halę, gdyż wiedziała już teraz, że w Frankfurcie jest to wzbronione. Nie mogła także rozmawiać z Sebastianem w jadalni, skutkiem zakazu panny Rottenmeier, zaś od Tinety stroniła, z zachowania pokojówki poznając dobrze, iż z niej drwi. Siedziała zatem samotnie i rozmyślała, jak też może teraz wyglądać hala, jak lśnią w słońcu żółte kwiatki i wszystko wokół, śnieg, góry i doliny, a w takich chwilach paliło ją dotkliwie pragnienie powrotu. Pamiętała dobrze obietnicę ciotki, że może w każdej chwili wracać. Toteż pewnego dnia, nie mogąc dłużej wytrzymać, spakowała bułki w wielką czerwoną chustkę, wdziała kapelusz i ruszyła w drogę. U samej jednak bramy napotkała wielką przeszkodę w postaci panny Rottenmeier, wracającej z miasta. Stała w osłupieniu na widok Heidi, obejrzała ją od stóp do głowy, najdłużej zaś oczy jej spoczywały na wypchanej, czerwonej chustce.

— Cóż to znaczy? Co robisz? — spytała po chwili. — Zabroniłam ci przecież surowo waleśać się po ulicach, i w dodatku w tym ubraniu, które ci nadaje wygląd włóczęgi!

— Nie chciałam się waleśać, ale iść do domu! — odrzekła przerażona Heidi.

— Co? Jak to do domu? — wykrzyknęła panna Rottenmeier, klaskając w dłonie z oburzenia. — Chcesz uciekać? O, gdyby to wiedział pan Sesemann! Uciekać z jego domu? Biada ci, jeśli się dowie! Czegóż ci tu brak? Wszyscy cię traktują znacznie lepiej, niż na to zasługujesz! Czyż nie masz tu, czego dusza zapagnie? W całym życiu nie żywiłaś się tak, nie mieszkalaś i nie miałaś takiej obsługi! Prawda, że nie?

— Prawda — przyznała Heidi.

— Oczywiście! — wykrzyknęła jeszcze głośniejsza dama. — Masz wszystko, ale jesteś niewdzięcznym dzieckiem, a dobrobyt przewrócił ci całkiem w głowie.

Wszystko, o czym rozmyślała Heidi, przyszło jej teraz na myśl, tak że musiała wypowiedzieć się głośno:

— Chcę wracać. Już tak dawno, jak wyjechałam. Śnieżka beczy pewnie żałośnie, babka czeka, Ziębulla dostaje baty, bo Pietrek zły jest, że nie dostaje sera. Tutaj nie widać, jak słońce żegna góry, a gdyby drapieżny ptak przyleciał nad Frankfurt, krakałby głośniejsze jeszcze ze złości na ludzi, którzy siedzą na kupie i dokuczają sobie nawzajem, zamiast iść w góry, gdzie tak dobrze!

— Wielki Boże! Ona ma bzika! — wrzasnęła panna Rottenmeier i ruszyła pędem po schodach. Zetknęła się tu z Sebastianem, schodzącym właśnie na dół.

— Proszę zabrać natychmiast tę wariatkę! — rozkazała, trąc czoło, gdyż zderzenie było niezwykle silne.

— Dobrze, dobrze, dziękuję uprzejmie! — odparł Sebastian, trąc także czoło, gdyż otrzymał cios jeszcze dotkliwszy.

Heidi stała na tym samym miejscu, oczy jej pały i drżała całym ciałem od wewnętrznego wzburzenia.

— Ha? Znowu jakiś figielek, panienko? — spytał Sebastian wesoło, spojrzawszy jednak z bliska na nieruchomą dziewczynkę, dotknął przyjaźnie jej ramienia i dodał: — Ba! Nie trzeba sobie tego wszystkiego brać do serca, panienko. Najważniejsze to wesołość. Omal mi dziury w głowie nie wybiła, ale to nic, uszy do góry! No, no, chodźmy na górę. Ona kazała.

Heidi wstąpiła na schody, idąc powoli i cicho, co nie było jej zwyczajem. Żal się jej zrobiło Sebastianowi, toteż pocieszał, jak umiał:

— Nie trzeba się poddawać smutkowi, panienko. Uszy do góry! Panienska jest rozsądna, nie płakała ani razu, odkąd jest u nas, a dzieci w tym wieku płaczą dziesięć razy na dzień. Koty wesołe, skaczą po całym strychu jak szalone. Pójdziemy tam kiedyś do nich, gdy dama wyniesie się do miasta... dobrze?

Heidi skinęła z lekka głową, ale tak smutno, że Sebastiana zabolalo serce. Patrzył za nią, aż doszła powolnym krokiem do swego pokoju.

Przy kolacji panna Rottenmeier nie wyrzekła ani słowa, spoglądała natomiast bacznie z obawy, że Heidi lada chwila zrobi coś niesłychanego. Ale dziewczynka siedziała cicho, nie jedząc ani nie pijąc, schowała tylko czym prędzej do kieszeni swą białą buleczkę.

Gdy nazajutrz przyszedł pan profesor, panna Rottenmeier dała mu tajemniczy znak, by wszedł do jadalni, i zwierzyła mu się ze swych obaw, że zmiana powietrza, nowy sposób życia i niezwykle wrażenia pozbawiły dziecko rozumu. Opowiedziała mu o próbie uciezki i przytoczyła jej słowa, o ile je jeszcze pamiętała. Ale pan profesor uspokoił ją, zapewniając, że poczynił pewne spostrzeżenie i jest pewny, iż z jednej strony Heidi objawia pewną ekscentryczność<sup>21</sup>, z drugiej jednak posiada zdrowy rozsądek, a przy odpowiednim postępowaniu niezawodnie nastąpi równowaga, co właśnie ma na celu. Ważniejsza wydała mu się zupełna nieudolność w zakresie rozpoznawania liter, przez co nie robi żadnych postępów w nauce.

Panna Rottenmeier odetchnęła z ulgą i zwolniła pana profesora, który rozpoczął lekcję. Około wieczora przypomniała sobie nieudaną próbę uciezki i postanowiła zastąpić ubranie Heidi sukienkami Klary, zanim przybędzie pan Sesemann. Klara zgodziła się chętnie, rada podarować Heidi mnóstwo przedmiotów toaletowych, sukienek, chustek i kapeluszy. Panna Rottenmeier poszła więc do pokoju Heidi, żeby przejrzeć jej odzież. Zaraz jednak wróciła, robiąc gesty obrzydzenia.

— Odkryłam coś okropnego! Adelajdo, jakże mogłaś to zrobić! Rzecz niesłychana! W twojej szafie na suknie, mówię wyraźnie, w dolnej części szafy na suknie znalazłam mnóstwo suchych bułek! Bułki w szafie na suknie, wyobraź sobie, Klaro! Cała sterta bułek! Tineto! — zawołała, zwracając się ku jadalni. — Proszę wyrzucić zeschłe bułki z szafy panny Adelajdy, a także usunąć ze stołu pognieciony kapelusz.

— Nie! Nie! Ten kapelusz jest mi potrzebny! A bułki chowałam dla babki! — Heidi chciała wybiec za Tineta, ale panna Rottenmeier powstrzymała ją.

— Zostaniesz tutaj, a cały ten kram będzie usunięty! — rzekła rozkazująco.

Na te słowa Heidi padła na ziemię, tuż przy wózku Klary, i zaczęła płakać, coraz to głośniejszym i rozpaczliwiejszym, a poprzez łkanie wołała zbolalym głosem:

— Babka nie dostanie już teraz białych buleczek! Chowałam je dla niej! Zabrali wszystko! Wszystko!

Płakała, jakby jej miało pęknąć serce. Panna Rottenmeier uciekła, a Klarze zrobiło się bardzo nieswojo.

— Heidi! — prosiła. — Przystań płakać! Słuchajże! Przyrzekam ci, że gdy będziesz wracała do domu, dostaniesz dużo bułek dla babki, bardzo dużo. A będą świeże i miękkie, nie zaś twarde, jak te, któreś zebrała w szafie. Chodźże do mnie, Heidi, i przestań płakać.

Długo jeszcze Heidi nie mogła opanować łkania, ale zrozumiała pociechę Klary i uczerpiła się jej. Inaczej płakałaby chyba bez końca. Chcąc się upewnić, spytała, łkając jeszcze:

— Czy dostanę tyle, ile mi zabrali?

— Dostaniesz na pewno, nawet jeszcze więcej — zaręczyła Klara — tylko przestań płakać.

Na kolację Heidi przyszła z czerwonymi od płaczu oczyma. Na widok buleczki załkała raz jeszcze, ale pohamowała się, wiedząc, że przy stole trzeba siedzieć spokojnie. Tego wieczora Sebastian, ile razy się zbliżył do Heidi, robił jakieś dziwaczne gesty. Pokazywał na swoją, to znów na jej głowę, kiwał głową i mrużył oczy, jakby chciał powiedzieć:

— Nie martw się, wszystko w porządku!

Gdy Heidi wróciła do siebie i chcąc wejść do łóżka, odwinęła kołdrę, znalazła pod nią swój stary kapelusik. Pogniotła go z radości jeszcze bardziej, owinęła chustką od nosa

<sup>21</sup>ekscentryczność — dziwactwo, odbieganie od przyjętych zwyczajów towarzyskich. [przypis edytorski]

i ukryła w najdalszym zakątku szafy. Kapelusz schował pod kołdrę Sebastian. Będąc w jadalni razem z Tineta, usłyszał błagalne, żalose okrzyki Heidi. Poszedł więc za pokojówką do jej pokoju, a gdy wynosiła naręcze suchych bułek, zobaczył na wierzchu kapelusik, zdjął go więc co prędzej, mówiąc:

— Ja to sam wyrzucę!

Uratował w ten sposób skarb i chciał pocieszyć Heidi znakami podczas kolacji.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. PAN DOMU DOWIADUJE SIĘ RÓŻNYCH NIEZNANYCH DOTĄD RZECZY

W kilka dni potem panował w domu pana Sesemanna wielki ruch i ciągła bieżanina po schodach, gdyż właśnie pan domu wrócił z podróży, a Sebastian i Tineta wynosili z naładowanego pojazdu niezliczone paczki i paki. Przywoził on zawsze ze świata dużo pięknych rzeczy.

Zaraz po przyjeździe poszedł wprost do pokoju córki, by ją powitać. Został tam Heidi, gdyż o tej porze dnia zawsze bywały razem. Powitanie ojca z córką było nader serdeczne, gdyż kochali się bardzo. Potem pan Sesemann wyciągnął rękę do stojącej w kątku Heidi i rzekł:

— To jest więc nasza mała Szwajcareczka! Zbliź się, moje dziecko, i podaj mi łapkę. Tak, dobrze! Powiedź mi, czy się lubicie z Klarą. Źle jest jeśli się ktoś kłóci, gniewa, płacze, potem godzi i zaczyna wszystko na nowo od początku.

— O nie! Klara jest zawsze bardzo dobra dla mnie! — odparła Heidi.

— Heidi ani razu nie próbowała się ze mną kłócić, ojczulku! — rzekła Klara spiesźnie.

— Cieszy mnie to bardzo — powiedział, wstając. — Teraz jednak, droga Klarciu, muszę coś przekąsić. Prawie nic dzisiaj nie jadłem. Potem wrócę tu i zobaczysz, com przywiózł dla ciebie.

Pan Sesemann wszedł do jadalni, gdzie panna Rottenmeier wodziła badawczym spojrzeniem po stole nakrytym do kolacji. Usiadł, a panna Rottenmeier zajęła miejsce naprzeciwko. Spozrzegłszy, że wygląda jak samo nieszczęście, zapytał:

— Cóż to znaczy, panno Rottenmeier? Wita mnie pani taką ponurą miną? Cóż się stało? Klarcia wygląda doskonale.

— Proszę pana — zaczęła dama z naciskiem i powagą. — Również Klarę dotyka to, co się stało. Zostaliśmy strasznie oszukani.

— Jak to? — spytał spokojnie, pijąc wino.

— Postanowiliśmy, jak panu wiadomo, wziąć do domu towarzyszkę zabaw dla Klary. Wiedząc, jak bardzo panu zależy na tym, by otoczenie córki składało się wyłącznie z tego, co dobre i szlachetne, powzięłam zamiar sprowadzenia dziewczynki ze Szwajcarii, ponieważ, jak wiem z książek, istoty te, zrodzone w przeczystym powietrzu górskim, rzecz można, nie tykając ziemi, idą przez życie...

— Sądzę — zauważył pan Sesemann — że mieszkańcy Szwajcarii muszą także dotykać ziemi, jeśli chcą iść. Inaczej mieliby skrzydła, nie zaś nogi.

— Ach! Pan mnie chyba dobrze rozumie! — ciągnęła dalej. — Mam na myśli owe znane, żyjące w wysokich sferach górskich, czyste postacie, płynące w dal jak wiew idealu...

— Na cóż Klarci takiego wiewu ideału, proszę pani?

— O, ja wcale nie żartuję! Sprawa jest dużo poważniejsza, niż pan sądzi. Zostałam strasznie, okropnie oszukana!

— Na czymże polega ta groza? Dziecko wcale nie wygląda strasznie — zauważył spokojnie.

— A więc, niech pan wie o choćby jednej rzeczy. Istota ta wprowadziła do pańskiego domu strasznych ludzi i zwierzęta!

— Zwierzęta? Cóż to znaczy? Jak mam to zrozumieć?

— Właśnie zupełnie się tego nie da zrozumieć! Zachowanie tej istoty może chyba tłumaczyć fakt, że ma chwilami zupełne pomieszanie zmysłów.

Pan Sesemann nie brał dotąd sprawy poważnie, słysząc jednak o napadach pomieszania zmysłów, zastanowił się. Mogło to być brzemiennie w najgorsze skutki dla Klary. Obejrzał

dokładnie pannę Rottenmeier, jakby ją podejrzewał o bzika. W tej chwili otwarto drzwi i zjawił się pan profesor.

— Ach! — zawołał pan Sesemann. — Oto nasz profesor! Chodźże pan i siadaj przy mnie! — podał mu rękę i dodał: — Pan profesor wypije z nami filiżankę czarnej kawy, panno Rottenmeier. Siadajże pan, siadaj, nie potrzeba mi komplementów. Powiedz pan od razu, co sądzisz o towarzysze mojej córki? Cóż to za zwierzęta, które sprowadziła do domu, i czy jest naprawdę szalona?

Pan profesor wyraził przede wszystkim radość swoją z powodu szczęśliwego powrotu pana Sesemanna, potem zaś zaczął odpowiadać na zapytanie w sposób szczegółowy:

— Mając wydać opinię o tej młodej dziewczynie, muszę na wstępie zwrócić uwagę czcigodnego pana na tę okoliczność, iż chociaż z jednej strony niedostateczny stan rozwoju, wywołany zaniedbanym wychowaniem, czyli lepiej powiedzmy, spóźnionym kształceniem i odosobnieniem, które, jakkolwiekbyśmy je sądzili, podkreśla raczej zalety dziecka, to jednak zbyt długi pobyt w Alpach, bardzo skuteczny, o ile nie przekracza pewnego określonego czasu...

— Drogi profesorze! — zawołał pan domu. — Zadajesz sobie pan całkiem niepotrzebny trud. Powiedz pan, proszę, tylko, czy i pan zostałeś przerażony zwierzętami, jakie sprowadziła ponoć do domu, i co pan sądzisz o jej obcowaniu z moją córką?

— Nie chciałbym, zaprawdę, uczynić krzywdy tej dziewczynie — zaczął pan profesor — bowiem, o ile z jednej strony brak towarzyskiego doświadczenia, związany mniej lub więcej z niekulturalnym sposobem życia, jakie wiodła aż do chwili przesiedlenia jej do Frankfurtu, które to przesiedlenie było przełomem w rozwoju tego, rzecz można, całkiem lub po większej części nierozwiniętego, ale z drugiej strony, zaletami nie do pogardzenia wyposażonego dziecka, należałoby przypuścić, że oględne i staranne nauczanie...

— Przepraszam! Mów pan dalej, drogi profesorze! — zawołał pan domu wstając. — Ja zajrzę tylko na chwilę do córki!

Rzekłszy to, wybiegł i nie wrócił. Usiadł w pracowni przy wózku Klary. Heidi wstała. Zwrócił się w jej stronę i rzekł:

— Droga Heidi, proszę cię, przynieś mi... zaraz, zaraz... — zawahał się, czego ma żądać, by ją oddalić na chwilę — przynieś mi szklankę wody!

— Świeżej? — spytała.

— Tak, tak, świeżej. Całkiem świeżej. — odparł, a Heidi wybiegła natychmiast.

— Droga Klarciu! — rzekł ojciec, przysuwając się całkiem blisko i biorąc ją za rękę. — Powiedźże mi krótko i wyraźnie, jakie to zwierzęta sprowadziła do domu twoja towarzyszka i co dało powód panie Rottenmeier do powątpiewania w jej zdrowy rozum.

Przestraszona dama zwierzyła się ze swych obaw także i Klarze, więc dziewczynka mogła dobrze zrozumieć i oceniła jak trzeba słowa ojca. Opowiedziała więc historię z grakiem, żółwiem i kociętami oraz objaśniła to, co mówiła przyjaciółka, a co tak bardzo przeraziło czcigodną damę. Pan Sesemann śmiał się długo i serdecznie.

— A więc nie chcesz, Klarciu, bym ją odesłał do domu, nie znudziła cię? — spytał.

— O nie, ojczulku! — zaprotestowała Klara. — Nie czyn tego! Od kiedy jest tu Heidi, co chwila dzieje się coś śmiesznego i wesołego. Przedtem było nudno i nic się nie działo. Przy tym Heidi opowiada mi różne rzeczy.

— Dobrze. Dobrze, drogie dziecko — zgodził się ojciec. — Oto twoja towarzyszka! No i cóż, czy woda całkiem świeża? — spytał, biorąc szklankę z ręki Heidi.

— Prosto ze studni! — zapewniła.

— Nie chodziłaś, sądzę, do studni sama? — spytała Klara.

— Chodziłam i to dość daleko! Przy pierwszej studni było dużo ludzi. W końcu ulicy znalazłam drugą studnię i także dużo ludzi czekało, musiałam więc zaczerpnąć wody aż w trzeciej. Jakiś pan z siwymi włosami przesyła pozdrowienie panu Sesemannowi.

— To, widzę, cała ekspedycja! — powiedział pan domu ze śmiechem. — Ale cóż to za pan?

— Przechodził koło studni, stanął i rzekł: „Masz szklankę, widzę, daj mi się więc napić, moje dziecko. Dla kogóż to przysłaś po wodę?”. Odpowiedziałam, że dla pana Sesemanna. Roześmiał się w głos, polecił mi zanieść pozdrowienie i dodał na końcu: „Smacznego panu Sesemannowi!”.

— Któż to może być? Jak wyglądał? — spytał pan domu.

— Śmiał się bardzo przyjemnie, miał gruby, złoty łańcuszek, na którym wisiało coś złotego, z wielkim, czerwonym kamieniem, a w ręku trzymał laskę z końską głową.

— To pan doktor! To mój stary lekarz! — zawołali razem córka i ojciec.

Pan Sesemann zaśmiał się znowu na myśl o spostrzeżeniach przyjaciela na temat tak nowego sposobu zaopatrywania się w wodę.

Jeszcze tego samego wieczora pan Sesemann zasiadł w jadalni razem z panną Rottenmeier, żeby omówić różne sprawy domowe. Zaraz na wstępie powiedział:

— Towarzyszka mej córki pozostanie tu nadal. Dziewczynka jest zupełnie normalna, a Klarcia lubi ją bardzo, nie potrzeba więc innej. Pragnę, by — dodał z naciskiem — by oryginalnych cech usposobienia tego dziecka nie traktowano jako wybryków i by się z nim obchodzono życzliwie. Jeśli dla pani mimo wszystko jest trudno dać sobie z nią radę, to pospieszy jej z pomocą moja matka, która przybędzie niebawem na dłuższą wizytę. Moja matka zaś, jak pani wiadomo, umie wszystkiemu zaradzić.

— Wiem to dobrze — odpowiedziała panna Rottenmeier, nie czując jednak ulgi na wiadomość o bliskiej pomocy.

Pan Sesemann nie mógł i tym razem zażywać długo domowego wypoczynku. Po dwu tygodniach interesy przywołały go z powrotem do Paryża, a gdy Klara protestowała przeciw temu, pocieszył ją obietnicą rychłego przyjazdu babuni.

Istotnie, zaledwie odjechał, nadszedł list od pani Sesemann, zamieszkałej na wsi w Holsztynie<sup>22</sup>, z wiadomością, że przyjeżdża, i z życzeniem, by po nią wysłano powóz na stację kolejową.

Ucieszyło to bardzo Klarę i zaraz zaczęła opowiadać Heidi o babuni, tak długo i szczegółowo, że dziewczynka także zaczęła nazywać ją babunią. Panna Rottenmeier patrzyła na nią raz po raz karcąco, ponieważ jednak robiła tak zawsze, Heidi nie domyśliła się, o co chodzi. Odchodząc do swego pokoju, panna Rottenmeier przywołała do siebie dziewczynkę i oświadczyła, że nie wolno jej używać słowa „babunia”, ale ma mówić „wielmożna pani”. Heidi wydało się to bardzo dziwne, ale panna Rottenmeier popatrzyła na nią tak surowo, że nie śmiała pytać o wyjaśnienie, mimo że wcale nie zrozumiała tego tytułu.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. BABUNIA

Nazajutrz w domu pana Sesemanna robiono wielkie przygotowania, z czego było można wyciągnąć wniosek o znaczeniu i szacunku, jakiego tu zażywała oczekiwana osoba. Tineta przypięła do włosów świeży czepeczek, Sebastian zaś porozstawiał wszędzie mnóstwo podnóżków, by goście było wygodnie siedzieć wszędzie, gdzie zechce. Panna Rottenmeier chodziła sztywna i poważna, badając, czy wszystko w porządku, a wyraz jej twarzy świadczył wymownie, że mimo zbliżania się drugiej władczyni, jej władza wcale nie przysgasa.

Na koniec powóz stanął przed bramą, Sebastian i Tineta zbiegli po schodach, a za nimi poszła uroczyście panna Rottenmeier, wiedząc, że i ona powinna stawić się na powitanie. Heidi kazano czekać w swym pokoju, dopóki jej nie zawołają. Niedługo jednak Tineta wetknęła głowę i powiedziała jak zawsze oschle i krótko:

— Proszę iść do pracowni!

Heidi nie śmiała pytać ponownie panny Rottenmeier o nakazany sposób tytułowania pani Sesemann. Była pewna, że czcigodna dama pomyliła się tylko. Zawsze przecież mówić trzeba najpierw: „pan” albo „pani”, a potem dopiero imię czy nazwisko. Zastosowała to, oczywiście, w praktyce. Gdy otwarła drzwi pracowni, babunia wykrzyknęła życzliwym tonem:

— Otóż i ona! Chodźże tu, drogie dziecko, niech ci się przypatrzę!

Heidi weszła i powiedziała donośnie i wyraźnie:

— Dzień dobry, pani wielmożna!

— A to co? — zaśmiała się babunia. — Czy u was tak mówią? Czy słyszałaś to w domu?

— Nie — odrzekła Heidi poważnie — u nas nikt się tak nie nazywał!

<sup>22</sup>Holsztyn — historyczna kraina w północnych Niemczech. [przypis edytorski]



— U nas także nie! — powiedziała babunia ze śmiechem, gładząc jej policzek. — Daj więc temu spokój. Tutaj jestem po prostu babunią i tak mi mów. Zapamiętasz?

— O, naturalnie! Z początku tak nawet mówiłam, rozmawiając z Klarą.

— Rozumiem, rozumiem! — zapewniła babunia, kiwając wesoło głową. Potem przyjrzała się dobrze Heidi, kiwnęła głową ponownie, a dziewczynka nie mogła oderwać oczu od staruszki. Miała piękne, białe włosy, jej twarz otaczał koronkowy czepeczek, związany pod brodą szeroką wstążką, której końce fruwały ciągle w powietrzu, jakby lekki wietrzyk nieustannie płynął wokoło babuni. Spodobało jej się to bardzo.

— Jakże ci na imię, dziecko? — spytała babunia.

— Heidi, po prostu. Ale muszę się nazywać Adelajda. Będę uważać pilnie... — Heidi urwała, czując się trochę winna, gdyż dotąd częstokroć nie odpowiadała, ile razy panna Rottenmeier zawołała znienacka: „Adelajdo!”. Nie mogła od razu pojąć, że to jej dotyczy. W dodatku panna Rottenmeier stanęła właśnie w progu pracowni.

— Zechce zapewne czcigodna pani przyznać — wmieszała się — że musiałam znaleźć imię możliwe do wymówienia bez wstydu wobec samej siebie, choćby tylko ze względu na służbę.

— Droga Rottenmeier! — odparła pani Sesemann. — Skoro ktoś raz ma imię Heidi i przywyknął do tego, używam tego imienia i basta!

Bardzo zawstydziło pannę Rottenmeier, że babunia zwie ją po nazwisku, bez wszelkiej tytułatury. Nie było na to jednak rady, gdyż babunia miała swoje niezmiennie nawyki. Była żywa, spostrzegawcza, zupełnie zdrowa i zaraz na wstępie zauważyła, co się dzieje w domu.

Nazajutrz po przybyciu babunia po obiedzie usiadła przy wózkowi śpiącej Klary i zdrzemnęła się troszkę. Rychło jednak otwarła oczy i poszła do jadalni. Nie było tu nikogo. Podeszła do drzwi panny Rottenmeier i zapukała mocno. Po chwili wyjrzała czcigodna dama i cofnęła się zaraz, przerażona niezwykle odwiedzinami.

— Gdzie przebywa Heidi o tej porze dnia i co robi? — spytała pani Sesemann.

— Jest w swoim pokoju, gdzie mogłaby zająć się czymś użytecznym, gdyby w niej tkwiło bodaj trochę ochoty do tego. Ta dziewczyna myśli jednak tylko o głupstwach i dokonuje rzeczy, o których wspomnieć nie można w przyzwoitym towarzystwie.

— Robiłabym to samo, siedząc zamknięta w pokoju, i zaręczam, droga Rottenmeier, nie byłabyś w stanie o moich wybrykach opowiadać w przyzwoitym towarzystwie. Proszę mi ją zaraz przysłać do mego pokoju, gdyż chcę jej dać kilka ładnych książeczek, które przywiozłam.

— Ach! To właśnie największe nieszczęście! — wykrzyknęła czcigodna dama, zalamując ręce. — Cóż po książkach tej dziewczynie, która dotąd nie zna abecadła i nie rozróżnia liter? Dużo by mógł powiedzieć o tym pan profesor. Gdyby nie to, że posiada anielską cierpliwość, dawno by był przerwał naukę.

— Dziwna rzecz — zauważyła pani Sesemann. — Ta dziewczynka wcale nie robi wrażenia tepej. Proszę mi ją przysłać. Niech ogląda na razie obrazki.

Panna Rottenmeier chciała coś jeszcze powiedzieć, ale staruszka obróciła się na pięcie i ruszyła żwawo do siebie. Zdumiona wiadomością o braku zdolności Heidi, postanowiła zbadać sprawę. Ale nie przy pomocy pana profesora, którego cenila zresztą za charakter i zawsze mile witała, unikając tylko rozmowy, gdyż jego sposób wyrażania się był dla niej zbyt uciążliwy.

Heidi weszła do pokoju babuni i otworzyła szeroko oczy na widok wspaniałych, barwnych obrazków w przywiezionych książkach.

Nagle wydała głośny okrzyk w chwili, gdy babunia obróciła nową stronicę. Rozbłyśłym spojrzeniem patrzyła przez chwilę na obrazek, potem napłynęły jej łzy do oczu i zaczęła gwałtownie łkać. Heidi zobaczyła na obrazku piękne, zielone pastwisko z różnymi zwierzętami. Pośrodku stał, oparty na długiej lasce, pasterz i spoglądał wokoło. Wszystkie zalewała złota poświata, gdyż słońce zaczynało się chylić do zachodu.

Babunia wzięła ją za rękę i rzekła łagodnie:

— Cicho, cicho, drogie dziecko, nie trzeba płakać! Coś ci się, widać, przypomniało, patrz jednak, jest tutaj obok obrazka śliczna historyjka, którą ci wieczorem opowiem. Można w tej książce znaleźć jeszcze inne piękne historyjki i po przeczytaniu opowiadać innym. A teraz pomówimy sobie. Obetrzyj oczy, tak, stań przede mną, bym cię widziała jak należy, tak, bardzo dobrze. Rozpogódź się, Heidi.

Minęło jeszcze sporo czasu, zanim Heidi przestała łkać. Babunia wyczekała cierpliwie, potem zaś rzekła:

— Już po wszystkim! Wesołość wróciła, jak widzę.

Gdy się dziewczynka uspokoiła zupełnie, babunia rzekła:

— Powiedz mi teraz, co słyhać z lekcjami. Czy uczysz się pilnie i czy umiesz już coś?

— O, nie! — westchnęła Heidi. — Ale wiedziałam z góry, że się tego nie nauczę.

— Czegóż to się nie możesz nauczyć?

— Czytać. To zbyt trudne.

— Jak to? Skądże masz tę nowinę?

— Pietrek długo próbował i powiedział mi, że nie można się nauczyć, bo to jest za trudne.

— Tak? Dziwny jest ten Pietrek. Czyż można jednak wierzyć ślepo takiemu Pietrkowi? Trzeba spróbować samej. Pewnie dotąd nie skupiałaś myśli na tym, co mówi pan profesor, i nie patrzyłaś uważnie na litery?

— To daremne — zaręczyła tonem zupełnego pogodzenia się z koniecznością.

— Heidi, posłuchajże! — powiedziała babunia. — Dotąd nie mogłaś się nauczyć czytać, gdyż wierzyłaś Pietrkowi, teraz uwierz mnie. Zaręczam ci całkiem na pewno, iż wyuczysz się czytać, i to bardzo prędko, podobnie jak mnóstwo dzieci, które nie mają zakutej głowy, jak twój Pietrek. Widziałaś obrazek z pasterzem. Gdy będziesz czytała, dostaniesz książeczkę na własność, dowiesz się całej historii tego pasterza, zupełnie jakby ci ją ktoś opowiedział, co robił z owcami, kozami i jakie dziwne przechodził koleje losu. Chciałabyś to wiedzieć, Heidi, prawda?

— Słuchała uważnie, oczy jej się jarzyły, potem zaś rzekła, wdychając głęboko:

— Chciałabym umieć czytać!

— Nastąpi to bardzo prędko, przekonasz się, Heidi. Teraz muszę zajrzeć do Klarci. Chodźmy, a książki weźmiemy ze sobą.

To rzekłszy, babunia wzięła ją za rękę i obie poszły do pracowni.

W dziewczynce zaszła wielka zmiana od dnia, kiedy panna Rottenmeier przychwyciła ją na ucieczce i zburchała, mówiąc, że jest zła i niewdzięczna. Była zadowolona, że pan Sesemann o tym nie wie. Zrozumiała teraz, iż nie może wrócić do domu, kiedy zechce, ale musi zostać we Frankfurcie, długo, może na zawsze. Pan Sesemann, a pewnie także Klara i babunia uważaliby ją za złą i niewdzięczną, gdyby koniecznie chciała wracać. Toteż postanowiła nie mówić o tym nikomu, bowiem babunia mogłaby się pogniewać, tak jak panna Rottenmeier, a do tego dopuścić Heidi nie chciała. Ciężar ten, gniotący jej serce, wzrastał z każdym dniem, przestała jeść i bladła coraz to bardziej. Wieczorem długo nie mogła zasnąć, wspominając z utęsknieniem halę, słońce i kwiaty, śniła też o purpurowym zachodzie Falknisu i lodowych polach Cezaplany. Gdy chciała rankiem wybiec radośnie z chaty, spostrzegła, że leży w wielkim, białym łóżku we Frankfurcie, daleko od ojczystych stron, a wówczas kryła twarz w poduszki, płacząc długo, cicho, by nikt nie usłyszał.

Babunia zauważyła jej smutek. Postanowiła przeczekać parę dni, w nadziei, że przygnębienie minie, gdy jednak trwało dalej, a Heidi przychodziła na śniadanie z zapłakanymi oczyma, wzięła ją pewnego dnia do swego pokoju, postawiła przed sobą i spytała łagodnie:

— Powiedz mi, Heidi, co ci jest? Masz widocznie jakieś zmartwienie, prawda?

Ten właśnie łagodny ton babuni nie pozwolił Heidi okazać się niewdzięczną, toteż dziewczynka odparła smutnym głosem:

— Nie można tego powiedzieć.

— Nie? Nawet Klarze?

— O nie! Nikomu! — zaręczyła, a wyglądała w tej chwili tak nieszczęśliwie, że babunia uczuła wielką litość.

— Coś ci powiem, drogie dziecko — rzekła po chwili. — Jeśli ktoś ma zmartwienie, którego nie może nikomu powiedzieć, żali się Bogu, prosząc, by zdjął ciężar z jego serca. Rozumiesz, prawda? Modlisz się, jak sądzę, codziennie, dziękując za jego dary i prosząc, by cię strzegł od złego?

— O nie, nie modłę się nigdy! — odparła Heidi.

— Czy nigdy w życiu się nie modliłaś?

Modlitwa

— Z pierwszą babką modliłam się. Ale to już dawno, tak że zupełnie zapomniałam.  
— Dlatego właśnie jesteś smutna, droga Heidi, gdyż brak ci teraz wszelkiej pomocy. Ten, kto ma brzemień troski na sercu, może każdej chwili iść do Boga, zwierzyć mu się i prosić o ratunek, którego żaden człowiek dać nie jest w stanie. On jeden posiada moc zaradzenia wszystkiemu, co złe, i przywrócenia wesołości.

Oczy Heidi rozbłysły radością.

— Czy można mu powiedzieć wszystko? — spytała.

— Wszystko! Wszystko!

Dziewczynka wysunęła rękę z dłoni babuni, pytając pospiesznie:

— Czy mogę teraz odejść?

— Naturalnie! — odparła babunia, a Heidi pobiegła prędko do swego pokoju, siadła w kącie na zydlu, złożyła ręce, powiedziała Bogu wszystko, co miała na sercu, co ją smuciło, i prosiła gorąco, serdecznie, by jej pomógł powrócić do domu dziadka.

Minął tydzień z okładem, pewnego dnia zgłosił się do babuni pan profesor, prosząc o posłuchanie w ważnej sprawie. Babunia wyciągnęła do niego przyjaźnie rękę, mówiąc:

— Drogi panie profesorze, witam pana! Proszę usiąść tu, przy mnie! — podsunęła krzesło. — A teraz chciałabym wiedzieć, co pana do mnie sprowadza? Czyba nie usłyszę czegoś złego lub jakichś skarg, nieprawdaż?

— Wprost przeciwnie, czcigodna pani! — zaczął pan profesor. — Nastąpiło coś, czego się już nie spodziewał ani czego przypuścić nie mógł nikt wtajemniczony w uprzedni stan rzeczy, albowiem wszystkie przesłanki kazały przyjąć za fakt niemożliwość tego, co się jednak istotnie stało i to w sposób zgoła cudowny, sprzeczny z tym, czego logicznie spodziewać się należało...

— Czy może Heidi nauczyła się czytać? — spytała pani Sesemann znienacka.

Pan profesor oniemiał ze zdumienia i wytrzeszczył oczy.

— To wprost niepojęte! — rzekł po chwili. — Uczennica, która mimo gorliwych wysiłków i objaśnień z mej strony nie mogła tak długo rozróżniać liter, tak dalece, że chciałem zaprzestać nauki, porzucić zamysł nieosiągalny, ta właśnie uczennica posiadała, w ciągu jednej nocy, rzecz można, sztukę czytania i odczytuje całe zdania poprawnie, bezbłędnie, jak żadne z początkujących dzieci. Jednakże równie cudowny jest fakt, że czcigodna pani dobrodziejka przyjęła za możliwą ową tak odległą rzeczywistość.

— Dzieją się nieraz cuda na świecie! — potwierdziła pani Sesemann z uśmiechem. — Czasem schodzą się korzystne okoliczności, także zmiana metody nauczania wywołuje pożądane skutki. Cieszymy się zatem, kochany profesorze, z postępów tego dziecka i żyjemy najlepsze nadzieje na przyszłość.

To rzekłszy, wstała, odprowadziła profesora do drzwi i poszła szybko do pracowni, by się naocnie przekonać. Zastała Heidi przy Klarze. Dziewczynka czytała jej jedną z historyjek, z wyraźnym zdumieniem własnym i coraz to większym zapałem. Wkroczyła w nowy świat, a czarne litery przybrały postać ludzi i rzeczy, nabrały życia i przeistoczyły się w czarowne historyjki. Jeszcze tego samego wieczora, gdy Heidi przyszła na kolację, znalazła na swym talerzu wielką książkę z obrazkami, spojrzała na babunię, a babunia skinęła potakująco i rzekła:

— Jest twoja.

— Na zawsze? Nawet gdy wrócę do domu? — spytała, czerwona z radości.

— Na zawsze, na zawsze! — zapewniła babunia. — Jutro rozpoczynamy czytanie.

— Nie wrócisz, droga Heidi, do domu jeszcze przez długie lata! — wtrąciła Klara. — Babunia rychło odjedzie, więc tym bardziej musisz ze mną zostać.

Heidi obejrzała jeszcze swoją książkę przed snem i od tego dnia jej najmilszym zajęciem było siedzenie nad nią i ciągle odczytywanie prześlicznych historyjek z obrazkami. Babunia mówiła często wieczorem:

— Teraz Heidi nam coś przeczyta!

Uszczęśliwiała ją to, czytała płynnie, a słuchając samej siebie, jeszcze lepiej wnikała w treść, zwłaszcza że babunia dorzucała niejedno objaśnienie lub szczegół. Heidi z upodobaniem wracała do obrazka przedstawiającego pastwisko i wesołego pasterza, opartego na wysokiej lasce. Pasł trzodę ojca, jego baranki i kozy, i to go radowało wielce. Potem jednak uciekł daleko na obczyznę, musiał paść świnie, żywił się byle czym i bardzo wychudł.

Książka

Książka, Syn marnotrawny

Słońce nie świeciło już na tym pastwisku tak jasno, gdyż był to kraj szary i mglisty. Historia kończyła się jednak trzecim jeszcze obrazkiem. Stary ojciec wybiegał, rozpostarłszy ramiona, na spotkanie wracającego ze skrucą syna, który był obdarty, nieśmiały, chudy i miał podartą odzież. Tę ulubioną historyjkę odczytywała ciągle po cichu, to znów głośno, nad słuchując bacznie objaśnień babuni, która nigdy ich nie szczędziła. Książka zawierała jeszcze dużo pięknych historyjek. Dni mijały szybko na czytaniu i oglądaniu obrazków, aż nadszedł niepostrzeżenie kres wizyty babuni we Frankfurcie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY. HEIDI MA SIĘ Z JEDNEJ STRONY LEPIEJ, Z DRUGIEJ GORZEJ

Przez cały czas, który babunia spędziła we Frankfurcie, siadała ona po obiedzie przy śpiącej Klarze, zaś panna Rottenmeier zniknęła tajemniczo, spragniona widocznie wypoczynku. Nie trwało to jednak długo. Babunia wstawała z fotela, brała Heidi do siebie, dając jej różne zajęcia i rozmawiając z nią. Przywiozła kilka małych laleczek, ponieważ zaś miała dużo skrawków i płatków o świetnych barwach, pokazała Heidi, jak ma szyć sukienki i fartuszki, a dziewczynka pojęła w mig tę sztukę. Umiejąc czytać, czytywała teraz babuni historyjki, które były dla niej zawsze nowe i coraz to miłsze. Przeżywała sama losy osób tam opisanych, weszła z nimi bardzo bliskie i radosne w stosunki. Mimo to jednak Heidi nie była wesoła, a jej oczy przestały się śmiać.

Książka

Nadszedł ostatni tydzień pobytu babuni. Wezwała do siebie dziewczynkę, gdyż Klara właśnie spała. Gdy Heidi weszła z książką pod pachą, babunia skinęła, by podeszła blisko do niej, odłożyła książkę na bok i rzekła:

— Powiedz mi, drogie dziecko, czemu nie jesteś wesoła? Czy masz ciągle jeszcze to samo zmartwienie?

— Tak — skinęła głową.

— Przecież się wynętrzyłaś przed Bogiem?

— Tak.

— I modlisz się, jak sądzę, codziennie, prosząc, by wszystko się zmieniło na dobre i byś była wesoła?

— O nie. Już się wcale nie modlę.

— Cóż to, Heidi? Co mówisz? Dlaczego się nie modlisz, dziecko?

— To na nic! Bóg wcale nie dosłyszał mojej modlitwy, a wiem dlaczego! — i dodała z niejakim podnieceniem: — Co wieczór modli się w całym Frankfurcie tylu ludzi, że nie może sobie z nimi dać rady i oczywiście mnie nie słyszał.

— Jesteś tego pewna, Heidi?

— Modliłam się przez dobry tydzień, prosząc ciągle o to samo, a wszystko zostało po dawnemu.

Modlitwa

— Mylisz się, dziecko! Bóg jest dla nas dobrym ojcem i wie dobrze, czego nam trzeba, chociaż my sami o tym nie wiemy. Jeśli się domagamy czegoś, co dla nas nie jest korzystne, odmawia tego, dając rzecz lepszą, oczywiście, gdy się modlimy wytrwale i gorąco, a nie uciekamy od niego zaraz i tracimy zaufanie. To, o coś prosiła, nie jest, widać, na razie dla ciebie dobre. Nie bój się, on dobrze słyszał, słyszy wszystkich ludzi całego świata od razu, a to dlatego, że jest Bogiem, nie zaś człowiekiem, jak ty i ja. Pomyślał sobie: „Heidi otrzyma to, o co prosi, ale dopiero wówczas, gdy to będzie dla niej dobre i uszczęśliwi ją. Jeśli bowiem przychylił się do jej prośby, a ona spostrzeże później, że byłoby lepiej, gdybym jej nie wysłuchał, wówczas zacznie płakać, narzekając, że jej dał coś, co nie jest tak dobre, jak sądziła”. Patrzył na ciebie z góry, czy się modlisz żarliwie, codziennie, z zaufaniem, a tyś uciekła, zapominając o nim zupełnie. Nie słysząc czyjegoś głosu w tłumie zanoszących modły zapomina Bóg o tym człowieku i zostawia go własnym losom. Jeśli zaś potem człowiek narzeka, że mu nie pomógł, nie lituje się, ale powiada: „Przecież sam uciekłeś ode mnie!”. Czy chcesz, Heidi, by się tak z tobą stało? Radzę ci, proś zaraz Boga o przebaczenie tej ucieczki, módl się codziennie z zaufaniem, a zobaczysz, że uczyni wszystko, co trzeba, ty zaś odzyskasz wesołość i swobodę.

Heidi wysłuchiwała z uwagą, biorąc sobie do serca każde słowo babuni, do której miała pełne zaufanie.

— Pójdę zaraz, będę prosiła Boga o przebaczenie i nigdy już o nim nie zapomnę! — rzekła ze skruczą.

— Dobrze uczynisz, dziecko! Bóg ci dopomoże niezawodnie, gdy czas będzie na to, bądź pewna! — pochwaliła ją babunia, ona zaś pobiegła natychmiast do swego pokoju i jęła gorąco przeproszać Boga za to, że o nim zapomniała, błagając, by jej nie opuszczał.

Nadszedł dzień odjazdu, nader smutny, zarówno dla Klary, jak i Heidi. Babcia umiała go wprowadzić przemienić w dzień uroczysty, tak że się o smutku zapomniało, ale gdy dobrą staruszkę uniósł pojazd, zapadła w całym domu zupełna cisza i opustoszało wszystko, tak jak gdyby życie uleciało na zawsze. Siedziały obie do samego wieczora zadumane, nie wiedząc, co robić i co teraz nastąpi.

Nazajutrz po lekcji znalazły się znowu razem, a Heidi zaproponowała:

— Przeczytam ci coś, Klarciu, czy chcesz?

Klara zawsze była na to chętna. Ale czytanie nie trwało długo. Heidi zaczęła historię o umierającej babce i zaraz wydała rozpaczliwy okrzyk:

— Ach! Babka umarła!

Zaczęła lkać gwałtownie. Wszystko bowiem, co czytała, było dla niej przeżyciem osobistym.

— Umarła, umarła, nie dostawszy ani jednej bułki, a ja jej teraz już nie mogę przynieść!

Klara starała się wytłumaczyć płaczącej, że jest tu mowa o całkiem innej babce. Powiodło się to po dość długim perswadowaniu, ale chociaż dziewczynka uwierzyła w końcu, płakała dalej na myśl, że babka może umrzeć podczas jej, tak długiej, nieobecności, a dziadek także, i że gdy kiedyś wróci, po latach, na hali będzie pusto, cicho i zostanie sama jedna na świecie, pozbawiona wszystkich, których kochała.

Panna Rottenmeier weszła tymczasem do pracowni, słuchała przez pewien czas, jak Klara stara się uspokoić Heidi, gdy jednak dziewczynka lkała dalej, podeszła z oznakami niecierpliwości i rzekła surowo:

— Adelajdo! Jeśli choćby jeszcze raz rozplączesz się przy czytaniu jakiejś historyjki, zabiorę ci książkę i nie oddam wcale.

To wywarło wrażenie. Heidi umilkła, blednąc z przerażenia. Książka była jej największym skarbem. Otarła czym prędzej oczy i zaczęła tłumaczyć lkanie, tak by go nie było słyhać. Odtąd nie płakała nigdy przy czytaniu czegośkolwiek. Sprawiało jej jednak dużo trudności owo tłumienie łez i okrzyków, wykrzywiła się niemiłosiernie, tak że Klara pytała:

— Heidi, cóż to za miny? Nie widziałam jeszcze czegoś takiego!

Miny nie sprawiały hałasu, uchodziły uwadze panny Rottenmeier, a gdy dziewczynka otrząsnęła się z ataku smutku, na pewien czas wszystko wracało znowu do równowagi. Heidi straciła całkiem apetyt, nie jadła teraz nic, a schudła i pobladła tak, że Sebastian nie mógł na to patrzeć. Podając najsmaczniejsze potrawy, stale odsuwane przez nią, pochylał się, szepcząc:

— Panienko! Proszę brać, to doskonałe! Nie tyle! Całą łyżkę! Jeszcze jedną!

Udzielał jej różnych ojcowskich rad, ale wcale nie pomagały. Heidi przestała niemal całkiem jadać, a gdy kładła się wieczorem spać, stawało jej zaraz przed oczyma wszystko, co zostawiła w domu. Płakała cichutko, tęsknie, tuląc twarz do pościeli, by nikt nie usłyszał.

Czas płynął. Heidi nie wiedziała wcale, czy jest wiosna, czy zima, gdyż mury i okna miały ciągle ten sam wygląd, a na świat wyjeżdżała tylko wtedy, gdy Klara czuła się wyjątkowo zdrowa. Przejazdki te trwały jednak zawsze bardzo krótko, gdyż chora nie znosiła dalszych wycieczek. Toteż nie wydostawały się nigdy spośród murów i kamiennych ulic. Powóz zawracał rychło, toczył się z wolna szerokimi, pięknymi bulwarami<sup>23</sup>, gdzie nie było wysokiej trawy, kwiatków leśnych, gór ani jodeł. Pożądanie zobaczenia tych znanych z dawna rzeczy wzmogło się w niej do tego stopnia, że starczyło słowa przypomnienia w czytanych historyjkach, a następował zaraz atak bólu, z którym musiała ciężko walczyć. Tak przeminęła jesień, zima, słońce zaczęło jaskrawić białą ścianę przeciwnego domu, a Heidi rozmyślała o tym, że Pietrek wodzi już zapewne kozy na paszę, że żółte

<sup>23</sup>*bulwar* — szeroka, zadrzewiona ulica, służąca spacerom i konnym przejażdżkom. [przypis edytorski]

kwiatki lśnią w słońcu, a każdego wieczora góry płoną krwawą poświatą. Siedząc w kątku pokoju, zakrywała twarz dłońmi, nie chcąc patrzeć na oświetloną ścianę kamienicy. Siedziała tak długo, nieraz bez ruchu, walcząc z tęsknotą i czekając na wezwanie Klary, by do niej przyszła.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY. W DOMU PANA SESEMANNNA STRASZY

Od dni kilku panna Rottenmeier wędrowała po całym domu, pogrążona w głębokim milczeniu. Przechodząc o zmroku, zwłaszcza z pokoju do pokoju lub na korytarz, rozglądała się uważnie wokół i zaglądała we wszystkie kąty, jakby w obawie, że ktoś idący cicho z tyłu pociągnie ją znienacka za suknię. Sama odbywała przechadzki tylko po zamieszkałych częściach domu. Udając się na drugie piętro, gdzie były dostatnio umeblowane pokoje gościnne, albo na parter, do wielkiej sali, tętniącej echem kroków, z której ścian spoglądali poważnie rajcowie<sup>24</sup>, w wielkich białych kryzach, wymalowani w naturalnej wielkości, zabierała zawsze Tinetę, pod pozorem, że trzeba będzie może coś wynieść lub wnieść. To samo robiła Tineta. Mając coś tam załatwić, brała z sobą Sebastiana, pod tym samym pozorem przeniesienia czegoś, zbyt dla niej ciężkiego. O dziwo, Sebastian brał w podobnych okolicznościach stangreta Jana. Każde z nich było posłuszne takiemu wezwaniu, chociaż nigdy nie zachodziła potrzeba wnoszenia czy wynoszenia czegoś. Wśród domowników zapadła milcząca ugoda wzajemnej pomocy na wszelki wypadek. Na dole, w kuchni, stara kucharka stała przy garnkach i grzebała w nich zadumana, mrucząc pod nosem:

— Czego to człowiek nie dożył, miły Boże!

Od pewnego czasu w domu pana Sesemanna działy się dziwne rzeczy. Każdego ranka służba zastawała główną bramę otwartą na oścież, ale nigdzie nie było nikogo, kogo by można było posądzić o otwieranie. Zaraz na samym początku przetrząsnęto cały dom, by stwierdzić, czy czegoś nie brakuje, w przypuszczeniu, że złodziej wślizguje się co wieczór i nocą ucieka z łupem. Nic jednak nie zginęło. Ryglowano teraz bramę, zasuwając ponadto grubą belkę. Wszystko było daremne. Rankiem, choćby najwcześniejszym, służba zastawała bramę rozwartą na oścież. Wszędzie wokoło wszyscy jeszcze spali, a inne domy były szczelnie pozamykane. W końcu Sebastian i Jan zdobyli się na odwagę i pod wpływem namowy panny Rottenmeier postanowili spędzić noc w pokoju przylegającym do wielkiej sali, żeby zbadać przyczynę. Panna Rottenmeier wyposażyła ich w starą i nowszą broń rodziny Sesemannów i wręczyła Sebastianowi dużą butelkę likieru dla pokrzepienia sił przed spodziewaną walką.

Usiedli przy stole i zaczęli do siebie przepijać, co zrazu ich podnieciło, potem zaś zmorzyło, tak że obaj, rozparci w fotelach, usnęli. Stary zegar wieżowy wydzwonił północ. Sebastian otrzeźwiał i zaczął nawoływać towarzysza, ale Jan spał dalej, przekładając tylko głowę z poręczu na poręcz za każdym zawołaniem. Sebastian nastawił uszu, ale panowała głęboka cisza, zarówno w domu, jak i w ulicy. Nie zasnął na nowo, gdyż go zdjął lęk, teraz wołał na Jana półgłosem i potrząsał nim co chwila. W końcu wybiła pierwsza. Jan ocknął się, przypomniał sobie, dlaczego siedzi w fotelu, a nie leży w łóżku. Skoczył na równe nogi z wielką odwagą i zawołał:

— Sebastianie! Musimy przecież wyjrzeć do sieni i zobaczyć, co się dzieje! Przecież nie czujesz strachu? Idź za mną!

Jan otworzył z lekką przymkniętymi drzwiami wiodące do sieni. Silny przeciąg zgasił mu zaraz świecę. Stangret skoczył wstecz, porwał ze sobą Sebastiana, zatrzaskał drzwi i co tchu przekręcił klucz. Potem wydobył zapalki, zaświecił. Stojący za nim Sebastian nie wiedział, co się stało, nie odczuł też przeciągu. Spojrzawszy na Jana przy blasku świecy, wydał okrzyk przerażenia. Stangret był trupio błądy i drżał jak liść osiki.

— Co się stało? Coś zobaczył? — spytał ze współczuciem.

— Brama otwarta na oścież! — wyrzucił z trudem Jan. — A na schodach biała postać szła lekko, a potem znikła.

Sebastiana przeszły ciarki. Siedli obaj blisko siebie, nie ruszając się już wcale, aż do świtu. Gdy w ulicy zatętniło życie, wyszli razem, zamknęli otwartą dotąd bramę, potem

<sup>24</sup>rajca (daw.) — członek rady miejskiej. [przypis edytorski]

zaś udali się do panny Rottenmeier, żeby złożyć raport. Czekala już na nich mimo wczesnej godziny, gdyż tej nocy w żaden sposób nie mogła zasnąć. Usłyszawszy od naocznych świadków, co zaszło, napisała zaraz do pana Sesemanna list, jakiego chyba nie otrzymał dotąd w życiu. Wyczytał on tam, że przerażenie wprost paraliżuje jej rękę, wobec czego prosi, by niezwłocznie wracał do domu, gdzie się dzieje coś niesłychanego. W dalszym ciągu listu opisała cały przebieg sprawy, dodając, że ponieważ każdej nocy ktoś otwiera bramę, nikt w całym domu nie jest pewny życia, a fakt ten może wywołać nieobliczalne skutki. Pan Sesemann odpowiedział niezwłocznie, że nie może rzucić wszystkiego i wracać. Wyraził zdumienie co do owej historii z duchami i polecił zwrócić się do swej matki, która na pewno pospieszy z pomocą do Frankfurtu i szybko rzecz załatwi, tak że duchy przestaną niepokoić jego dom. Ton tego listu rozdrażnił pannę Rottenmeier, dla której sprawa przedstawiała się dużo poważniej. Napisała niezwłocznie do pani Sesemann, ale i od niej nie uzyskała żadnej pomocy. Przeciwnie, w jej odpowiedzi znalazła kilka przytyków. Staruszka oświadczyła, że nie opłaci jej się jechać z Holsztynu do Frankfurtu z tego tylko powodu, iż droga Rottenmeier ma wizje duchów. Poza tym nie widywano dotąd w domu Sesemannów żadnego ducha, jeśli zaś wcisnął się tam obecnie jakiś, musi to być żywy człowiek i łatwo się z nim porozumieć przy pomocy nocnego stróża.

Panna Rottenmeier, doprowadzona do ostateczności, postawiła wszystko na jedną kartę. Nie mówiła dotąd nic dziewczynkom o nocnych wydarzeniach, obawiając się złych skutków, teraz jednak udała się wprost do pracowni, gdzie były razem, i opowiedziała wszystko ze szczegółami. Klara krzyknęła, że za nic sama nie zostanie w domu i ojciec musi wracać niezwłocznie, ponadto panna Rottenmeier i Heidi przeniosą się na noc do jej sypialni, inaczej bowiem duch mógłby im zrobić coś złego. Postanowiła, że będą spały we trzy razem, nie gasząc światła. Tineta miała spędzać noc w przyległym pokoju, zaś Sebastian i Jan w korytarzu. Gdyby duch wszedł schodami, mieli spłoszyć go krzykiem i zaalarmować innych. Klara popadła w takie wzburzenie, że pannie Rottenmeier trudno ją było uspokoić. Przyrzekła, że niezwłocznie napisze do ojca, przeniesie swoje łóżko do jej pokoju i nie odstąpi na chwilę. Wszystkie trzy nie mogły się pomieścić razem, więc panna Rottenmeier zaproponowała, by Tineta spała w pokoju Heidi, ale dziewczynka bała się jej bardziej niż duchów, o których nie słyszała dotąd nic a nic, oświadczyła więc, że woli zostać sama. Potem panna Rottenmeier napisała list do pana Sesemanna z doniesieniem, że conocne dziwne wydarzenia tak dalece wstrząsnęły delikatnym organizmem Klary, że można się obawiać jak najgorszych skutków. Znane są przypadki, gdzie w takich warunkach występowała nagle epilepsja<sup>25</sup> lub obłąd. Toteż córce zagraża wielkie niebezpieczeństwo, jeśli nie ustanie panujące w domu ciągle napięcie nerwów.

To odniosło skutek. W dwa dni później pan Sesemann zadzwonił do swej bramy tak silnie, że zbiegli się wszyscy domownicy i zaczęli spoglądać po sobie w wielkim osłupieniu, byli bowiem pewni, że to rozzuchwalony duch przychodzi jeszcze przed nocą. Sebastian wyszedł na piętro i zajrzał ostrożnie spoza uchylonej okiennicy. W tej chwili szarpnięto za dzwonek tak silnie, że mogła tego dokonać tylko ludzka ręka. Sebastian rozpoznał ją, zbiegł, przewrócił się na schodach, wstał i wreszcie otwarł bramę. Pan Sesemann rzucił krótkie pozdrowienie i ruszył wprost do pokoju córki. Klara przywitała ojca okrzykiem radości, zaś jego czoło wyglądało się, gdyż Klara miała rześki wygląd i nie było w jej rysach żadnych śladów nerwowych przejść, a poweselał zupełnie, gdy córka powiedziała mu, że jest bardzo wdzięczna duchowi i jego figlom, bowiem to właśnie spowodowało powrót ojca.

— No, jakże się tam ten duch zachowuje? — spytał żartobliwie, zwrócony do panny Rottenmeier.

— Panie Sesemann — odrzekła — to nie są żarty! Jutro przekona się pan osobiście i przestanie śmiać. W tym domu zaszło w dawnych czasach coś strasznego, co zostało zatajone.

— Nic o tym nie wiem — zauważył. — Chciałbym jednak, by nie rzucano podejrzeń na mych czcigodnych przodków. Proszę mi zawołać do jadalni Sebastiana, pomówię z nim.

<sup>25</sup>epilepsja (med.) — choroba, w której występują napady drgawek i utrata przytomności. [przypis edytorski]

Pan Sesemann zauważył, że Sebastiana nie łączy z panną Rottenmeier wielka sympatia. Powziął zatem pewną myśl.

— Chodź no, chłopcze! — skinął na wchodzącego. — Powiedz z ręką na sercu, czy nie udawałeś czasami ducha, żeby rozweselić pannę Rottenmeier?

— Wielmożny panie! — odparł z całą uczciwością. — Proszę tak nie sądzić. Sam trochę się boję.

— Jeśli tak, to pokażę tobie i Janowi owego ducha w dziennym świetle. Wstydz się, chłopcze! Jesteś młody, silny, a uciekasz przed duchem? Idź natychmiast do mego starego przyjaciela, doktora Classena. Pozdrów go ode mnie i poproś, by tu przyszedł punktualnie o dziewiątej wieczór. Musi przez całą noc czuwać nade mną. Przybyłem z Paryża umyślnie na tę konsultację, gdyż bardzo źle się czuję. Niech się do tego zastosuje. Zrozumiałeś, chłopcze?

— O tak, wielmożny panie! Załatwię wszystko jak najlepiej! — odparł Sebastian, wychodząc, a pan Sesemann udał się do córki, by ją uspokoić zapewnieniem, że całą sprawę z duchem wyjaśni jeszcze tej nocy.

Punktualnie o dziewiątej, gdy dziewczęta zasnęły, a panna Rottenmeier także udała się na spoczynek, przyszedł doktor, siwowłosy, ale rumiany, czerstwy, o żywych, przyjaźnie błyskających oczkach. Zrazu miał minę zmartwioną, jednak zaraz po przywitaniu wybuchnął śmiechem i rzekł:

— Nie wyglądasz mi wcale, drogi przyjacielu, na człowieka, nad którym by trzeba czuwać po nocach.

— Cierpliwości! — odrzekł pan Sesemann. — Ten, nad którym masz czuwać, będzie wyglądał dużo gorzej, gdy go złapiemy.

— Jest więc w tym domu chory, którego trzeba łapać?

— Jeszcze gorzej, mój drogi! W tym domu mieszka duch, który straszy.

Doktor roześmiał się głośno.

— Ładne współczucie! — zauważył pan Sesemann. — Szkoda, że cię nie słyszy panna Rottenmeier. Jest przekonana, iż któryś z Sesemannów wałęsa się tu, pokutując za popełnione zbrodnie.

— Jakże się z nim zapoznała? — spytał wesoło lekarz.

Pan Sesemann opowiedział przyjacielowi, że służba co dzień o wczesnym poranku zastaje na oścież otwartą bramę domu, a stangret Jan widział raz na schodach białą postać. Żeby przygotować się na wszelki wypadek, kazał zanieść do pokoju wartowni na dole dwa nabite rewolwery. Jeśli to niepożądany żart ze strony któregoś ze znajomych służby, by straszyć mieszkańców pod nieobecność pana domu, to wcale nie zaszkodzi strzał w powietrze, który przestraszy straszaka. Jeśli zaś robią to złodzieje, którzy pod pozorem ducha chcą obezwładnić obronę, a sobie ułatwić działanie, wówczas broń także się przyda.

Po tym wyjaśnieniu obaj zajęli miejsca w tym samym pokoju, gdzie czuwali Sebastian z Janem. Na stole stało kilka butelek dobrego wina na pokrzepienie sił, gdyby przyszło czuwać przez całą noc. Tuż obok leżały dwa rewolwery i stały dwa trójramienne kandelabry<sup>26</sup>, gdyż pan Sesemann nie chciał czekać na ducha po ciemku.

Przymknęto drzwi prowadzące na korytarz, by go nie spłoszyć. Przyjaciele usiedli wygodnie w fotelach i zaczęli rozmawiać, popijając wino, i zanim się spostrzegli, wybiła północ.

— Duch pewnie nas zwęszył i dzisiaj nie przyjdzie — powiedział lekarz.

— Cierpliwości! Zjawia się podobno dopiero o pierwszej — odrzekł pan Sesemann.

Zaczęli znowu rozmawiać. Wybiła pierwsza. Wszędzie wokoło było cicho, a i z ulicy nie dolatywał żaden gwar. Nagle doktor podniósł palec.

— Pst! Czy słyszysz?

Nadstawili obaj uszu. Usłyszeli wyraźnie, że ktoś odsuwa belkę, przekręca dwa razy klucz w zamku i otwiera bramę. Pan Sesemann sięgnął po rewolwer.

— Przecież się nie boisz — rzekł doktor, wstając.

— Lepiej być ostrożnym — szepnął w odpowiedzi, ujął lewą ręką kandelabr, prawą rewolwer i ruszył za doktorem, który szedł pierwszy, mając także broń i światło. Wyszli na korytarz.

<sup>26</sup>kandelabr — ozdobny stojący świecznik o kilku ramionach. [przypis edytorski]



Brama była na oścież otwarta. Blask księżycy padał jasną smugą do sieni, a w tym świetle ujrzeli białą, nieruchomą postać stojącą na progu.

— Kto tam?! — krzyknął doktor, aż zahuczało w korytarzu, i obaj podeszli ze światłem i bronią do białej postaci. Obróciła się i wydała okrzyk. Była to Heidi, bosa, w samej tylko koszuli. Stała zmieszana widokiem światła i broni, drżąc całym ciałem jak listek w wietrze. Panowie spojrzeli po sobie, wielce zdumieni.

— Zdaje mi się, doprawdy, że to jest dziewczynka, która mnie napoiła! — rzekł doktor.

— Dziecko! Cóż to znaczy? — spytał pan Sesemann. — Co chciałaś zrobić? Po co zeszłaś na dół?

Śmiertelnie blada Heidi szepnęła niemal niedosłyszalnie:

— Nie wiem.

— To wkracza w mój zakres! — oświadczył doktor. — Zamknij bramę, przyjacielu, i wracaj na razie do swego fotela, ja tymczasem umieszczę to dziecko tam, gdzie być powinno.

Położył rewolwer na ziemi, wziął drżącą Heidi za rękę i prowadził po schodach, mówiąc łagodnie:

— Nie bój się, moja mała. Przyjdź do siebie. Trzeba być spokojną. W tym nie ma nic złego. No, no...

Dotarłszy do pokoju Heidi, postawił światło na stole, wziął ją w ramiona, położył do łóżka i okrył starannie kołdrą. Potem usiadł obok, czekając, aż się uspokoi i przestanie drżeć.

— Tak, już wszystko w porządku — rzekł po chwili. — Powiedź mi teraz, gdzie chciałaś iść?

— Nigdzie nie chciałam iść — zapewniła. — Nie zeszłam nawet sama, tylko nagle znalazłam się w bramie i ujrzałam obu panów.

— Tak, tak! A czyś miała w nocy jakiś sen, taki wyraźny, jasny sen?

— Każdej nocy śni mi się to samo. Jestem w domu u dziadka, słyszę szum jodeł, myślę sobie, że gwiazdy błyszczą, wybiegam z chaty, a wokół jest tak pięknie! Ale gdy się zbudzę, znajduję się znowu we Frankfurcie.

Heidi zaczęła walczyć z łkaniem, które wstrząsało nią raz po raz.

— Hm! A nie boli cię gdzieś? W głowie albo w plecach?

— Nie. Tylko tutaj cięży niby wielki kamień.

— Hm. Masz takie uczucie, jakbyś chciała zrzucić jedzenie?

— Nie. Mam uczucie, że chciałabym bardzo płakać.

— I płaczesz pewnie do woli?

— O nie! Panna Rottenmeier zabroniła mi płakać.

— Połykasz więc dalej łyż, prawda? A czy chętnie przebywałeś we Frankfurcie?

— O, tak! — powiedziała z cicha tonem, który przeczył wprost tym słowom.

— Hm. Dotąd żyłaś w domu dziadka?

— Tak, na hali, od dzieciństwa.

— Nie jest to chyba bardzo wesołe, ale raczej nudne życie.

— O nie! Tam tak pięknie!

To wspomnienie wyczerpało opór dziecka, łyż pocięły obficie, a gwałtowne łkanie zaczęło wstrząsać jej ciałem.

Doktor wstał, położył dłoń na głowie Heidi i rzekł:

— Wypłacz się, dziecko, potem śpij spokojnie. Jutro wszystko będzie dobrze.

To powiedziawszy, wyszedł.

Wrócił do wartowni, gdzie pan Sesemann czekał z ciekawością na wyjaśnienie.

— Słuchaj! — powiedział przyjacielowi. — Twoja wychowanka jest lunaticzką i całkiem nieświadomie grała rolę ducha, strasząc wszystkich domowników. Po drugie zjada ją tęsknota za domem, tak że wyszła niemal na szkielet. Tu trzeba doraźnej rady. Wielkie podniecenie nerwowe pogarsza wysoce pierwszą sprawę, a samo w sobie jest drugą poważną sprawą. Mam na jedno i drugie tylko jedną receptę. Trzeba to dziecko odesłać do domu, na rzeńskie, górskie powietrze.

Pan Sesemann wstał, zaczął biegać po pokoju i powtarzać raz po raz:

— Lunatyczka! Chora! Tęskni za domem! Wychudła u mnie! Czy sądzisz, że odeślę dziadkowi chore i wychudłe dziecko, które przybyło do mnie zdrowe i silne? Nie, nie, tego nie zrobię. Weź się do Heidi, lecz ją, rób, co trzeba, potem zaś ją odeślę, gdy ozdrowieje, teraz za nic!

— Przyjacielu! — odparł doktor poważnie. — Zważ, co chcesz zrobić! Dziecko nie zapadło na chorobę, którą by można leczyć proszkami i pigułkami. Jest odporna. Jeśli ją zaraz wyślesz na świeże, górskie powietrze, przyjdzie do zdrowia, jeśli tego nie uczynisz, wróci do dziadka chyba nieuleczalnie chora lub nie wróci wcale.

Pan Sesemann przystanął, przerażony, potem rzekł:

— Ha, wobec tej diagnozy należy działać niezwłocznie.

Wzięli się pod ręce i chodząc po pokoju, omawiali szczegóły. Potem doktor poszedł. Minęło już sporo czasu i brzask świtu oświetlił sien, gdy sam pan domu otworzył bramę przyjacielowi.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY. PODRÓŻ NA HALEŃ W LETNI WIECZÓR

Pan Sesemann wbiegł spiesźnie po schodach i wielce rozdrażniony zapukał tak mocno do sypialni panny Rottenmeier, że wydała okrzyk przerażenia i wyskoczyła z łóżka. Posłyszała głos pana domu:

— Proszę się pospieszyć! Czekam w jadalni. Trzeba przygotować wszystko do odjazdu.

Spojrzała na zegarek. Była piąta. Tak wcześnie nie wstawała dotąd w życiu. Cóż się mogło stać? Pod wpływem ciekawości i niepokoju chwytła niewłaściwe części odzieży, nie mogąc dojść do ładu. Mając już coś na sobie, szukała tego samego po całym pokoju.

Tymczasem pan Sesemann szedł korytarzami i dzwonił gwałtownie, tak że we wszystkich sypialniach domownicy jeden po drugim wyskakiwali z łóżek i ubierali się spiesźnie, a niezręcznie, w przekonaniu, że duch napadł na pana domu, który w ten sposób wzywa ratunku. Zjawiali się po kolei, coraz to dziwniej ubrani, stając przed chlebodawcą, który zupełnie zdrowy chodził rażno po jadalni, a nie było po nim widać, by doznał strachu z powodu ducha. Jan otrzymał polecenie, by doprowadził do porządku powóz i konie, a potem zajechał przed dom, Tineta miała zbudzić Heidi i przygotować ją do podróży, Sebastian miał czym prędzej pójść do chlebodawców Dety z wezwaniem, by stawiała się niezwłocznie. Panna Rottenmeier nadeszła jako tako ubrana, tylko czepek tkwił na jej głowie odwrotnie, co dawało wrażenie, że ma twarz zwróconą na plecy. Pan Sesemann, nie zważając na to, przystąpił niezwłocznie do rzeczy. Oświadczył czcigodnej damie, że ma bez straty czasu postarać się o duży kufer do spakowania wszystkich rzeczy małej Szwajcarki... tak ją bowiem zazwyczaj nazywał, nie mogąc nawyknąć do imienia Heidi... a oprócz tego polecił dodać sporo sukienek i drobiazgów Klary, by dziecko przywiozło coś porządnego do domu. Wszystko to stać się musiało zaraz, bez długiego namysłu.

Panna Rottenmeier osłupiała. Stała bez ruchu, zapatrzona w pana Sesemanna. Spodziewała się wstrząsającej historii z duchami i była jej nawet, teraz po dniu, ciekawa, zamiast tego jednak otrzymała mnóstwo niewygodnych zleceń. Tak szybko nie sposób było dać wszystkiemu radę. Stała zatem, czekając na dalsze wyjaśnienia.

Ale pan Sesemann ani o tym myślał. Obrócił się na pięcie i zapukał do pokoju córki. Przypuszczał, że już nie śpi, zbudzona niezwykłym ruchem i rozgwarem, i tak też było. Usiadł przy jej łóżku i opowiedział cały przebieg nocnej przygody. Dodał jeszcze, że zdaniem doktora stan Heidi jest dość groźny. Nocne wycieczki mogły przybrać rozmiary chodzenia po dachach, połączonego z wielkim niebezpieczeństwem. Postanowił więc odesłać ją niezwłocznie do domu, gdyż nie mógł brać na siebie tak wielkiej odpowiedzialności. Prosił córkę, by się nie opierała, gdyż inaczej być nie może.

Dotknęło to bardzo Klarę, próbowała różnych wybiegów, ale ojciec nie ustąpił. Przynajmniej jej tylko, że pojedą w przyszłym roku do Szwajcarii, jeśli będzie rozsądna i przestanie lamentować. Zgodziła się w końcu, żądając tylko, by przyniesiono do jej pokoju kufer Heidi. Chciała do niego włożyć to, co być musiało miłe dla Heidi. Ojciec przystał ochoczo, zachęcając ją nawet, by wyposażyla dostatnio przyjaciółkę. Tymczasem nadeszła ciotka Deta. Czekala niecierpliwie w przedpokoju, zaciekawiona niezwykłym o tej porze wezwaniem. Pan Sesemann objaśnił rzecz pokrótce, żądając, by dziś jeszcze odwiozła

Heidi do domu. Ta niespodziewana wieść wielce ją rozczarowała. Nie zapomniała wcale, że dziadek zabronił jej pokazywać mu się na oczy. Czuła, że przywożąc dziecko dziadkowi z powrotem, rozżłościłaby go srodze. Bez długiego zatem namysłu zaczęła wymownie dowodzić, że w żaden sposób nie może zaraz jechać, a w następnych dniach jeszcze trudniej jej się oddalić ze służby. Pan Sesemann zwrócił się więc do Sebastiana i rozkazał mu natychmiast przygotować wszystko do drogi. Jeszcze tego samego dnia jeszcze miał dotrzeć z Heidi do Bazylei<sup>27</sup>, nazajutrz zaś odwiedzić ją do domu. Potem miał zaraz wracać. Dziadkowi Heidi nie trzeba było nic mówić, gdyż list wszystko wyjaśni.

— Najważniejsza rzecz, Sebastianie, to punktualność! Znam pewien hotel w Bazylei. Pokażesz mój bilet wizytowy, a dadzą ci dla dziecka porządną pokój. Gdy się położysz, wejdiesz i zaryglujesz okna, tak by trzeba było do ich otwarcia wielkiej siły, potem zamkniesz z zewnątrz drzwi na klucz. Dziecko wędruje po nocach i mogłoby sobie zrobić coś złego, wychodząc z pokoju w nieznanym domu. Rozumiesz?

— Ach, ach! — zdumiał się wielce Sebastian. — Więc to ona była duchem?

Teraz zrozumiał wszystko.

— Tak, ona! Obaj z Janem jesteście tchórze i błazny!

Rzekłszy to, poszedł do swego gabinetu pisać list do dziadka Heidi.

Sebastian dumiał przez chwilę, powtarzając sobie w duchu:

— Czemuż dałem się cofnąć w głąb pokoju temu tchórzliwemu Janowi? Trzeba było podejść do białej postaci! Tak, zrobiłbym to niezawodnie!

Nabrał odwagi teraz, gdy słońce świeciło jasno.

Tymczasem ubrana w odświętną sukienkę Heidi czekała, nie wiedząc o niczym. Tinetta obudziła ją i pomogła ubrać się, nie mówiąc słowa. Robiła tak zawsze, gardząc nieposiadającą wykształcenia dziewczynką.

Pan Sesemann wszedł z listem w rękę do jadalni, gdzie już nakryto do śniadania i spytał:

— Gdzież dziecko?

Zawołano Heidi. Podeszła do pana Sesemanna, witając go na dzień dobry, on zaś spojrzął na nią pytająco i rzekł:

— Cóż sądzisz o tym wszystkim, moje dziecko?

Patrzyła na niego wielce zdumiona.

— A więc jeszcze nic nie wiesz? — roześmiał się. — Wracasz do domu, i to nawet zaraz.

— Do domu? — powtórzyła szeptem, pobladła strasznie i przez chwilę nie mogła odetchnąć, bo z wrażenia zamarło jej serce.

— A może nie chcesz jechać? — spytał ze śmiechem.

— O, chcę, chcę! — wyrzuciła, czerwieniejąc mocno.

— Ano, to dobrze! — powiedział, siadając, i dał znak, by zrobiła to samo. — Trzeba się porządnie najeść, potem do powozu i jazda!

Heidi nie mogła przelknąć kąska, mimo wysiłków, by być posłuszną. W tym podnieceniu nie wiedziała, czy śni, czy naprawdę przeżywa to wszystko. A może się znowu zbudzi, stojąc w bramie w nocnej koszulinie?

— Sebastian zabierze obfity zapas jedzenia i napitku! — powiedział pan Sesemann do wchodzącej właśnie panny Rottenmeier. — Dziecko, oczywiście, w tej chwili jeść nie może! Idź teraz do Klary — dodał łagodnie — zanim powóz podjedzie.

Pobiegła czym prędzej.

Pośrodku pokoju Klary stał otwarty olbrzymi kufer.

— Chodź, Heidi! Patrz, co dla ciebie kazałam spakować. Cieszysz się, prawda? — zawołała Klara.

Zaczęła wyliczać mnóstwo rzeczy: suknie, fartuszki, ręczniki, prześcieradła, chustki, przybory do szycia.

— A tu, popatrz, Heidi! — powiedziała, podnosząc koszyk.

Heidi zajrzała do niego i podskoczyła radośnie, gdyż było w nim dwanaście ślicznych, białych bułeczek, przeznaczonych dla babki. W tym rozradowaniu obie całkiem zapomniały, że nadchodzi chwila rozstania, nagle jednak rozległo się wołanie:

<sup>27</sup> *Bazylea* — duże miasto w Szwajcarii, przy granicy z Niemcami i Francją. [przypis edytorski]

— Powóz czeka!

Heidi pobiegła do swego pokoju po książkę otrzymaną od babuni. Nie rozstając się z nią w dzień ni w nocy, trzymała skarb swój pod poduszką. Nakryła książką bułeczki w koszu. Potem otworzyła szafę i zaczęła szukać czegoś, czego na pewno nie zapakowano do kufra. Znalazła starą czerwoną chustkę, która nie miała łaski w oczach panny Rottenmeier, owinęła w nią ten inny przedmiot, wydobyty z głębi szafy, i wróciwszy, położyła zawiniątko na wierzchu zamkniętego już kufra. Potem włożyła na głowę nowy, piękny kapelusik.

Pożegnanie z Klarą trwało krótko, gdyż pan Sesemann czekał już, by wsadzić Heidi do powozu. Panna Rottenmeier stała na szczycie schodów, chcąc tu pożegnać dziewczynkę. Ujrawszy czerwone zawiniątko, wzięła je i rzuciła na ziemię.

— Nie, Adelajdo! — rzekła karcąco. — Z tym nie możesz od nas wyjeżdżać. Zresztą, cóż ci po tej szmacie. Ano, bądźże zdrowa!

Wobec zakazu Heidi nie mogła podnieść zawiniątka, spojrzała tylko na pana Sesemanna tak żałośnie, jakby ją pozbawiono największego skarbu.

— O nie! — powiedział gospodarz domu stanowczym tonem. — Niechże to dziecko zabierze do domu wszystko, co mu sprawia przyjemność, choćby miała wieść ze sobą młode kocięta i żółwie. Nie gorszymy się tym, droga panno Rottenmeier!

Słyszając to, Heidi podniosła z ziemi swoje zawiniątko, a oczy jej zabłysły podzięką i radością. Wsadziwszy ją do powozu, pan Sesemann podał jej rękę, zapewniając, że ani on, ani Klara nigdy o niej nie zapomną. Życzył jej szczęśliwej podróży, a Heidi także podziękowała mu za wszystkie dobrodziejstwa, na końcu zaś rzekła:

— Zasiłam serdeczne pozdrowienie panu doktorowi i dziękuję mu stokrotnie!

Zapamiętała bowiem dobrze, jak ją zapewniał, że „jutro wszystko będzie dobrze”! Tak też dosłownie się stało.

Wsadzono Heidi do powozu, potem umieszczono koszyk, paczkę z zapasami i Sebastiana. Pan Sesemann zawołał raz jeszcze:

— Szczęśliwej drogi!

Potem powóz ruszył.

Heidi, siedząc w wagonie, trzymała koszyk na kolanach, gdyż za nic nie chciała się z nim rozstać nawet na chwilę. Były tam bułeczki dla babki, pilnowała ich więc troskliwie, co pewien czas zaglądając, czy nie zginęły. Przez kilka godzin siedziała jak trusia, teraz dopiero uświadamiając sobie dokładnie, że wraca do dziadka, na halę, do babki i Pietrka-koźlarza. Przed oczyma stanęło jej wszystko jak żywe, w głowie zaczęły krążyć nowe myśli, w końcu zaś spytała trwożnie:

— Sebastianie! Czy babka na hali nie zmarła podczas mojej tak długiej nieobecności?

— Nie, nie! — uspokajał ją. — Miejmy nadzieję, że żyje i zdrowa!

Heidi zamyśliła się znowu, czasem zaglądając do koszyka, gdyż główną jej chęcią było dowiedzieć bułeczki i położyć babce na stole. Po kilku godzinach odezwała się znowu:

— Sebastianie! Chciałabym bardzo wiedzieć na pewno, że babka jeszcze żyje.

— O tak, tak! — odparł rozespany Sebastian. — Żyje, zapewne... czemużby miała nie żyć?

Potem Heidi zasnęła. Ubiegła noc była wielce niespokojna, potem wstała wcześniej, toteż zapadła w głęboki sen i zbudziła się, dopiero gdy Sebastian zaczął nią potrząsać, wołając:

— Panienko! Panienko! Wsiadamy! To Bazylea!

Nazajutrz jechali dalej długo. Heidi ciągle trzymała na kolanach swój koszyk. Nie mówiła nic, a napięcie oczekiwania wzrastało w niej z każdą chwilą. Wreszcie, kiedy całkiem zapomniała o tym, gdzie wysiada, usłyszała okrzyk: „Mayenfeld!”. Skoczyła z ławki, a to samo zrobił Sebastian, również niespodziewający się, że są na miejscu. Wsiadli, kosz postawiono obok nich, pociąg zagwizdał i ruszył dalej. Sebastian posłał za nim żalosne spojrzenie, o ileż bowiem wygodniej było siedzieć na miękkiej ławce, niż iść pieszo po wertepach, a na końcu jeszcze wspinać się na jakieś tam skały, dzikie, jak ponoć wszystko w tym kraju. Rozejrzał się bacznie, szukając kogoś, kto by mu wskazał drogę do osiedla. Tuż pod dworcem stał niewielki wóz drabiniasty z chudym konikiem. Barczysty chłop ładował na niego kilka wielkich worów odebranych z kolei. Sebastian podszedł do niego i spytał o najbezpieczniejszą drogę do osiedla.

— U nas wszystkie drogi są bezpieczne! — odparł krótko wieśniak.

Sebastian zapytał teraz o najlepszą drogę, gdzie nie ma przepaści, a także w jaki sposób można by dostawić do osiedla kufer. Chłop zmierzył kufer oczyma, po chwili zaś oświadczył, że jeśli nie jest zbyt ciężki, zawiezie go, gdyż jedzie właśnie do osiedla. Zaczęli rozmawiać i nastąpiła ugoda, mocą której wieśniak miał za pewną zapłatą odwieźć kufer razem z Heidi do osiedla, skąd będzie mogła pod wieczór dostać się z kimś do domu.

— Pójdę sama! — oświadczyła, przysłuchując się układom. — Znam drogę doskonale!

Sebastianowi spadł ciężar z serca. Nie potrzebował już łązić po górach i skałach. Skinął tajemniczo, odprowadził Heidi na bok i wręczył jej ciężki rulon oraz list do dziadka, mówiąc, że rulon jest podarkiem pana Sesemanna i trzeba go włożyć na sam spód koszyka, pod bułki. Nie wolno zgubić tego rulonu, gdyż inaczej pogniewałby się strasznie i już nigdy w życiu nie udobruchał.

— Nie zgubię go na pewno! — oświadczyła Heidi stanowczo, wkładając oba przedmioty na spód koszyka.

Wkrótce na wozie znalazł się kufer, a potem Heidi wraz z koszykiem. Sebastian po dał jej na pożegnanie rękę i zaczął znakami przypominać, by strzegła zawartości kosza. Woźnica był w pobliżu, więc przez ostrożność nie chciał mówić. Nie czuł się wcale w porządku z sumieniem, bowiem miał osobiście odwieźć dziewczynkę na miejsce. Woźnica usiadł obok Heidi i wóz potoczył się w stronę gór, zaś Sebastian, wielce zadowolony, że zaoszczędził sobie wycieczki w góry, zajął miejsce na stojącej pod budynkiem stacyjnym ławce, w oczekiwaniu pociągu powrotnego.

Woźnicą był piekarz z osiedla. Przyjechał na stację po worki z mąką. Nie widział dotąd Heidi, znał jednak, jak wszyscy, dzieje wnuczki Halnego Dziadka. Znał ponadto jej rodziców, więc łatwo domyślił się reszty. Dziwiło go trochę, że wraca, wszczął więc rozmowę:

— Ty jesteś zapewne tą dziewczynką, która mieszkała u Halnego Dziadka?

— Tak.

— Żle ci było, widać, w mieście, skoro wracasz?

— Nie. Było mi we Frankfurcie dobrze, jak może nikomu w świecie.

— Czemuż więc wracasz?

— Dlatego, że mi pozwolił pan Sesemann.

— Ba! Mogłaś przecież zostać mimo pozwolenia!

— Wróciłam, gdyż nad wszystko wolę być u dziadka na hali!

— Zmienisz pewnie zdanie, gdy go teraz zobaczysz — mruknął do siebie.

Zaczął gwizdać, nic już nie mówiąc. Heidi rozglądała się wokoło i ogarnęło ją wewnętrzne drżenie na widok znanych drzew przy drodze lub szczyrbatych turni<sup>28</sup> Falknisu, witających ją jak starzy znajomi. Witała wszystko serdecznie, a z każdym krokiem wzrastało napięcie oczekiwania, tak że miała ochotę zeskoczyć z wozu i biec z wszystkich sił na górę. Biła właśnie piąta, gdy wjeżdżali do osiedla. Wokół wozu zaroilo się natychmiast od dzieci i kobiet, przyszedł też sąsiedzi, gdyż kufer i Heidi na wozie piekarza była to sprawa godna uwagi. Wszyscy pytali ciekawie. Piekarz zszedł dziewczynkę, a ona rzekła:

— Dziękuję! Dziadek zabierze kufer!

Potem chciała biec czym prędzej, a gdy ją przytrzymywano, zasypując pytaniami, przejechała się przez tłum tak porywczo, że bezwiednie robiono jej miejsce.

— Widzisz, jak się boi! — mówił ten i ów. — A ma do tego słuszne powody!

I opowiadali na nowo, że od roku Halny Dziadek stał się jeszcze gorszy, nie rozmawia z nikim i sroży<sup>29</sup> się tak, jakby chciał każdego zamordować, a gdyby to dziecko miało jakikolwiek przytułek na świecie, nie szłoby na pewno do tej smocznej jaskini. Piekarz wmieszał się do rozmowy, mówiąc tajemniczo, że wie dużo więcej od wszystkich innych. Jakiś pan odwiózł Heidi aż do Mayenfeldu, pożegnał ją serdecznie, zapłacił bez targu żadaną cenę za jazdę i nawet dał jeszcze napiwek. Jego zdaniem, dziecku było dobrze w mieście i samo chciało wracać do dziadka. Wywołało to wielkie zdziwienie. Wiadomość

<sup>28</sup>turnia — skalisty, stromy szczyt. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>srożyć się (przestarz.) — złościć się, gniewać, przybierać srogą, groźną minę. [przypis edytorski]

ta obiegła zaraz całe osiedle, a wszyscy powtarzali sobie, że Heidi porzuciła dobrobyt po to, by wrócić do dziadka.

Heidi biegła co sił w górę, przystając tylko czasem dla złapania tchu. Koszyk był dość ciężki, a droga coraz bardziej stroma. Trapiła ją teraz tylko jedna myśl, mianowicie, czy babka tymczasem nie zmarła i czy ją zastanie w kątku izby, przy kołowrotku. W końcu ujrzała małą chatkę w zagłębieniu skały, serce jej zabiło jeszcze mocniej i porwała się biec coraz to prędzej. Wreszcie stanęła u drzwi, ale skutkiem podniecenia z początku nie była w stanie ich otworzyć. Na koniec stanęła w izbie, bez tchu, nie mogąc wymówić słowa.

— Boże, mój Boże! — rozległo się z kątku. — Moja mała Heidi wbiegała takim właśnie krokiem! Ach, czyż ją jeszcze kiedy w życiu będę miała u siebie? Któż to wszedł do izby?

— To ja, babko! Wróciłam!

Przypadła do kolan staruszki, wzięła w dłonie jej ręce i nie mogła mówić z radości. Babka także zaniemówiła ze zdziwienia. Potem zaczęła gładzić włosy przybyłej i powtarzać:

— Tak, to jej włosy, to jej głos! Dzięki ci, Boże, żeś tego doczekała!

Kilka łez radości z jej ślepych oczu spadło na rękę Heidi.

— A więc naprawdę wróciłaś, naprawdę? — spytała.

— Całkiem naprawdę! — zapewniła dziewczynka. — Wróciłam, będę codziennie u ciebie, babko, i nigdy już nie odjadę. Nie potrzebujesz też jadać teraz suchego, twardego chleba. Masz tu, babko, coś lepszego!

To rzekłszy, ułożyła na kolanach babki dwanaście przywiezionych bułek.

— Dziecko drogie! Cóż to za przysmaki! — dziwowała się babka niezmierną ilością bułek. — Najlepsza jednak rzecz to ty sama!

Gładziła włosy i policzki dziewczęcia, prosząc:

— Mów coś jeszcze! Mów, niech cię słyszę!

Heidi zaczęła opowiadać, jak bardzo ją trapiła myśl, że babka mogła umrzeć podczas jej nieobecności, że nie dostanie białych bułeczek i że ona nie będzie mogła jej odwiedzać.

W tej chwili weszła matka Pietrka i ze zdziwienia stanęła w samym progu. Potem wykrzyknęła:

— Czy mnie oczy mylą? Przecież to Heidi we własnej osobie!

Heidi podała jej rękę na powitanie, a Brygida, pełna podziwu, obchodziła ją wokoło, mówiąc:

— Matko! Szkoda, że nie możesz jej widzieć. Ma prześliczną sukienkę i wygląda tak, że ją poznać trudno. Czy ten śliczny kapelusik, leżący na stole, też jest twoją własnością? Włóż go na głowę, bym widziała, jak ci w nim ładnie.

— Nie — zdecydowała Heidi. — Weź go sobie. Mnie już nie potrzebny, mam swój dawny.

Rozwinęła czerwoną chustkę i wydobyła stary kapelusik, który w ciągu podróży pomógł jej jeszcze bardziej. Nie zważała jednak na to wcale. Miała żywo w pamięci słowa dziadka, którymi pożegnał Detę i jej kapelusik z piórami, i dlatego chowała swój stary, by w nim do niego wrócić. Brygida namawiała ją, by się przez naiwność nie pozbawiła tak pięknego kapelusika. Można go było przecież sprzedać córeczce nauczyciela w osiedlu i dostać dużo pieniędzy, gdyby nie chciała w nim chodzić. Ale Heidi nie ustąpiła i wzięwszy kapelusik, schowała go w kąt izby, za babkę, tak że był niewidoczny. Potem zdjęła paradną sukienkę, przewiązała się czerwoną chustką i ucisnęła rękę babki, mówiąc:

— Muszę teraz iść do dziadka, ale jutro wrócę. Dobranoc, babko!

— Przyjdź, przyjdź na pewno, droga Heidi! — prosiła babka, trzymając jej małą dłoń, z którą trudno było jej się rozstać.

— Czemuż to zdjęłaś swoją śliczną sukienkę? — spytała Brygida.

— Wolę tak wrócić. W tamtej sukience mógłby mnie dziadek nie poznać, tak jak tyś mnie niemal nie mogła poznać.

Brygida wyprowadziła ją na próg i rzekła trochę tajemniczo:

— Byłby cię na pewno poznał w tej nowej sukience. Musisz się jednak pilnować. Pietrek powiada, że Halny Dziadek jest teraz zawsze zły i z nikim nie mówi.

— Dobranoc! — powiedziała, ruszając dalej ze swym koszykiem na ramieniu.

Słońce właśnie zachodziło, oblewając różową poświatą zieloną halę i wielkie pole śniegowe Cezaplany. Heidi obracała się co parę kroków, gdyż miała teraz góry za sobą. Nagle

Słońce, Góry

spozstrzegła pod stopami czerwony blask. Zrobiła zwrot wstecz i oto roztoczył się przed nią widok, który już przygasł w jej pamięci i sennych marzeniach. Zębate turnie Falknisu płonęły jaskrawo, wielki lodowiec wyglądał jak morze ognia, po niebie płynęły różowe chmurki, złociła się trawa hali, blask padał od skał, a cała dolina zalana była falą woni i lśniącej poświaty. Wzruszenie napędziło jej łzy do oczu. Stała, płacząc z radości. Złożyła ręce, dziękując gorąco Bogu, że przywiódł ją tu z powrotem i że wszystko wokół jest dużo piękniejsze, niż jej się przedtem wydawało. Czuła się tak szczęśliwa i bogata posiadaniem tych skarbów, że zabrakło jej słów na dziękowanie Bogu. Poszła dalej dopiero po przygaśnięciu czarownego widowiska. Zaczęła teraz biec tak prędko, że niedługo ujrzała czuby jodeł, potem dach, a wreszcie samą chatę dziadka. Pod ścianą, na ławce siedział dziadek, paląc fajkę, a nad jego głową szumiały jodły w wieczornym wietrze. Heidi przyspieszyła jeszcze kroku i przypadła do niego, zanim się mógł spostrzec, kto nadchodzi. Heidi rzuciła koszyk i uczepiła się dziadka, nie mogąc wyrzec nic innego prócz okrzyku:

— Dziadku! Dziadku! Dziadku!

I on także milczał. Oczy mu zwilgotniały po raz pierwszy od niepamiętnych lat. Przetarł je dłonią, potem wziął Heidi na kolana, przyjrzał się jej i rzekł:

— Wróciłaś więc? Cóż się stało? No, wyglądasz nie bardzo wspaniale! Czy cię odprawiono?

— O nie, dziadku! — zawołała Heidi żywo. — Nie myśl tak. Klara, babunia i pan Sesemann byli dla mnie bardzo dobrzy. Ale nie mogłam wytrzymać, zdawało mi się, że mnie zadusi tęsknota. Nie mówiłam o tym, nie chcąc być niewdzięczna. Nagle pewnego dnia, o wczesnym ranku zawołał mnie pan Sesemann... zdaje mi się za sprawą pana doktora... i powiedział, że... ale prawda, mam list do ciebie, dziadku.

Poskoczyła do koszyka, wzięła list i rulon i wręczyła mu jedno i drugie.

— To jest twoja własność — powiedział, kładąc rulon obok siebie na ławce. Potem przeczytał list i nic nie mówiąc, schował go do kieszeni.

— Czy zechcesz jeszcze pić ze mną mleko? — spytał, wstając i prowadząc wnuczkę ku drzwiom. — Ale zabierz ten rulon. Możesz sobie za to kupić łóżko i odzież na kilka lat.

— Wcale mi to niepotrzebne — oświadczyła. — Łóżko mam, a sukienek napakowała mi Klara tyle, że starczy ich chyba na całe życie.

— Weź no, weź! — polecił. — Schowasz pieniądze do szafy. Przydadzą ci się kiedyś, niezawodnie.

Usłuchała, potem wbiegła za dziadkiem do izby. Witając się z każdą rzeczą, obiegła wszystkie kątki i weszła po drabinie na strych. Nagle stanęła rozczarowana, wołając:

— Dziadku! Już nie mam łóżka!

— Zrobi się! — odpowiedział z dołu. — Nie mogłem przewidzieć, że wrócisz! Teraz chodź, mleko czeka!

Heidi usiadła na swym zwykłym miejscu, na wysokim stołku, ujęła miseczkę i piła tak chciwie, jakby nic doskonalszego nie było nigdy jej udziałem. Potem odetchnęła głęboko, postawiła naczynie i rzekła z przekonaniem:

— Nic na świecie nie jest tak dobre jak nasze mleko!

W tej chwili rozległo się ostre gwizdnięcie, a Heidi wybiegła jak strzała przed chatę. Z gór pędziła w szalonych poskokach trzoda kóz, a pośrodku niej biegł Pietrek. Zobaczywszy Heidi, stanął jak skamieniały i patrzył na nią bez słowa. Heidi krzyknęła:

— Dobry wieczór, Pietrku!

Potem wbiegła w środek trzody, wołając:

— Białuszko, Burasko! Czy poznajecie mnie?

Kozy przypomniały sobie widocznie jej głos, gdyż zaczęły ocierać głowy o swą małą panią i beczeć radośnie. Heidi nawoływała jedną po drugiej kozę po imieniu, one cisnęły się do niej, biegając wokół jak szalone. Niecierpliwa Ziębulka przeskoczyła dwie swoje towarzyski, by prędzej dostać się do swej protektorki<sup>30</sup>, a nawet płochliwa Śnieżka odtrąciła natrętnego Trykacza, który zdziwiony tą zuchwałością podniósł dumnie brodę, chcąc pokazać, że to on jest, we własnej osobie.

<sup>30</sup>protektorka (z łac.) — opiekunka, obrończyni. [przypis edytorski]

Radował Heidi bardzo widok dawnych znajomych. Raz po raz obejmowała za szyję łagodną Śnieżkę, głaskała Ziębulkę, a kozy potrącały ją i przesuwaly z miejsca na miejsce, aż wreszcie znalazła się przy Pietrku, który stał dotąd bez ruchu.

— Przywitajże się ze mną, Pietrku! — powiedziała mu.

— A więc wróciłaś? — rzekł nareszcie, podał jej rękę, potem zaś zapytał jak każdego wieczora: — Pójdiesz ze mną jutro na pastwisko?

— Nie, jutro muszę być u babki, ale pojutrze pójdziemy.

— Dobrze, żeś wróciła! — oświadczył Pietrek, robiąc grymas wielkiego zadowolenia, potem zaś zaczął się zabierać do dalszej drogi. Ale nie była to sprawa łatwa. Ledwie zdołał prośbą i groźbą zgromadzić trzodę wokół siebie, Heidi odeszła, wiodąc do obórki swoje kózki, a całe stado zawróciło z powrotem. Musiała wprowadzić Białuszkę i Buraskę, zamknąć drzwi i pomóc Pietrkowi, gdyż inaczej nie byłby w stanie odprowadzić kóz do osiedla.

Wróciwszy do izby i zajrzawszy na strych, zastała już posłanie. Było dostatnie i wonne, bowiem siano skosił dziadek niedawno, a na sianie położył czyste prześcieradło. Położyła się z wielką ochotą i spała tak doskonale, jak chyba przed rokiem. Dziadek wstawał w ciągu tej nocy co najmniej dziesięć razy. Wchodził po drabinie, nadsluchując, czy Heidi śpi spokojnie, i poprawiał siano, którym zatknął otwór w ścianie, by księżyc nie świecił na nią. Ale ona spała głęboko i nie ruszyła się ani krokiem, gdyż ukoiliła palące pożądanie ujrzenia płonących w zachodzie skał i gór i posłyszania szumu jodeł. Wróciła do domu na umiłowaną halę.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY. DZWONY NIEDZIELNE

Heidi czekała pod rozchwytanymi w wietrze jodłami na dziadka, który miał zabrać kufer pozostawiony w osiedlu w czasie jej wizyty u babki. Niecierpliwiła się, chcąc już tam być i spytać, jak babce smakowały bułeczki, mimo to jednak nie nudziła się, słuchając rodzimego szumu drzew i wchłaniając zapach i lśnienie zielonych pastwisk i złocistych kwiatków.

Dziadek wyszedł wreszcie z chaty, rozejrzał się wokół i rzekł tonem zadowolenia:

— Możemy więc iść.

Była to sobota, a tego dnia dziadek zawsze porządkował wszystko w chacie, w obórze i w całym obejściu. Jak zawsze użył na to całego ranka, a postanowił zaraz po obiedzie wyruszyć razem z Heidi do osiedla. Stwierdziwszy, że wszystko w porządku, sprowadził wnuczkę na dół. Rozstali się pod chatą kozłarza, a Heidi wbiegła do izby. Babka zaraz posłyszała jej kroki i wykrzyknęła radośnie:

— Witajże, witaj, drogie dziecko!

Potem chwyciła dłón Heidi i ścisnęła mocno, jakby w obawie, że ją ktoś może zabrać. Heidi spytała zaraz, jak babce smakowały bułeczki. Odpowiedziała, że się nimi rozkoszowała, a nawet znacznie przybyło jej sił. Brygida dodała, że babka zjadła tylko jedną, bojąc się, że niedługo zbraknie drogiego pieczywa. Gdyby mogła przez tydzień jadać codziennie po jednej choćby bułce, na pewno wróciłyby do sił. Heidi wysłuchała tych słów i zamyśliła się głęboko. Po chwili rzekła z zapalem:

— Wiem, co zrobię, babko! Napiszę do Klary, a ona z pewnością przyśle mi jeszcze drugie tyle bułeczek. Miałam całą kupę uskładaną w szafie, ale mi wszystko zabrano, a wtedy Klara powiedziała, że mi da jeszcze więcej. Ona niezawodnie dotrzyma słowa.

— To dobry pomysł — powiedziała Brygida. — Ale zeschną na kamień. Można by je kupić nieraz w osiedlu, bo piekarz wyrabia takie bułki, ale skądże brać na to pieniędzy?

Błysk radości rozjaśnił twarz Heidi.

— Ach! Mam bardzo dużo pieniędzy! — wykrzyknęła, podskakując raz po raz. — Będziesz miała, babko, codziennie świeżą bułeczkę, a w niedzielę nawet dwie. Pietrek może je przynosić z osiedla.

— Nie, nie, moje dziecko! — broniła się babka. — Nie na to dano ci pieniądze. Oddaj je dziadkowi, on ci poradzi, co za nie kupić.

Ale Heidi radowała się dalej, biegając po izbie i wykrzykując raz po raz:



— Babka dostanie teraz codziennie bułeczkę, nabierze sił, przyjdzie do zdrowia, a nawet... — tu krzyknęła jeszcze radośniej — wiesz, babko, że może nawet zaczniesz znowu widzieć. Może twoja ślepotą pochodzi z osłabienia?

Babka milczała, nie chcąc mącić radości dziecka. Skacząc tu i tam, Heidi spostrzegła stary śpiewnik babki i nowa radosna myśl błysnęła jej w głowie.

— Wiesz, babko, ja umiem dobrze czytać. Czy chcesz posłuchać jakiegoś hymnu ze swojego starego śpiewnika?

— Bardzo chętnie! — odparła wesoło babka. — Więc umiesz naprawdę czytać?

Heidi weszła na stołek, po czym ściągnęła z półki książkę razem z dużą chmurą kurzu, gdyż od dawna tam leżała. Dziewczynka starannie obtarła książkę i siadła na zydelku u kolan babki, pytając, co ma czytać.

— Co chcesz, moje dziecko! — odparła staruszka, odsunęła kołowrotek i czekała, wielce zaciekawiona.

Heidi przewracała kartki, czytała tu i ówdzie po kilka wierszy, w końcu zaś rzekła:

— Jest tu coś o słońcu! To przeczytam.

Zaczęła czytać z coraz to większym zapalem i coraz gorętszym tonem:

Słoneczko złote  
Radość, ochotę  
Na kraj nasz zlewa,  
Pozłaca drzewa,  
A w serce sieje lubą<sup>31</sup> nadzieję.

Byłam bez mała  
Ciągle omdlała,  
Lecz teraz siła  
Nagle wróciła  
I wznoszę ręce niebu w podzięce.

Patrzę w pokorze  
Na dzieło boże,  
Co jego chwałą  
Całe rozbrzmiało,  
Co dzięki głosi, o łaski prosi.

Pójdą doń<sup>32</sup> ludzie  
Po życia trudzie,  
Gdy dobrzy byli  
I zbożnie<sup>33</sup> żyli,  
Staną przy Bogu, na rajskim progu.

Świat rychło minie,  
Sam Bóg jedynie  
Przetrwa bez drgnienia.  
On się nie zmienia,  
Trwa mocny, wielki, poza byt wszelki.

Tęgo, co boże  
Uszczknąć nie może  
Śmierć ni zatrata  
Całego świata.  
On leczy rany, on Pan nad Pany!

<sup>31</sup>luby (daw., gw.) — miły. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>doń (daw.) — do niego. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>zbożnie — bogobojnie; uczciwie, cnotliwie. [przypis edytorski]

Troski, cierpienia  
W radość przemienia.  
Wnet się po burzy  
Słonko wynurzy  
I z jego woli zniknie, co boli.

Każdej potrzebie  
Kres będzie w niebie.  
Tam patrzmyż tedy<sup>34</sup>,  
Wśród nędz i biedy,  
Mówiąc w pokorze: Chwała ci Boże!

Babka siedziała ze złożonymi rękami, przepojona taką radością, jakiej Heidi u niej dotąd nie widziała. Po policzkach staruszki płynęły łzy wesela. Gdy Heidi umilkła, poprosiła gorąco:

— Przeczytaj raz jeszcze, drogie dziecko.  
Dziewczynka zaczęła czytać ponownie z coraz większym upojeniem:

Troski, cierpienia  
W radość przemienia.  
Wnet się po burzy  
Słonko wynurzy  
I z jego woli zniknie, co boli.

Każdej potrzebie  
Kres będzie w niebie.  
Tam patrzmyż tedy,  
Wśród nędz i biedy,  
Mówiąc w pokorze: Chwała ci, Boże!

— O Heidi! — wykrzyknęła babka. — Jakże się od tego robi jasno w sercu! Jakąż ulgę mi dałaś, dziecko drogie!

Powtarzała raz po raz słowa radości i upojenia, a dziewczynka patrzyła na nią, dziwiąc się wielce. Stara, smutna twarz staruszki promieniała. Zdawało się, że patrzy już jasnymi oczyma w uroczą dal rajskiego ogrodu.

Nagle rozległo się stukanie do okna. Heidi zobaczyła dziadka, który wzywał ją znakami. Wybiegła rączo, zapewniwszy uprzednio babkę, że przyjdzie nazajutrz popołudniu, a spędzi ranek z Pietrkiem na pastwisku. To czytanie, dające tyle radości staruszce, uszczęśliwiała ją teraz bardziej niż pobyt na pastwisku, wśród kóz i kwiatów. Brygida pobiegła za nią z sukienką i kapeluszem, wołając, by zabrała swą własność. Sukienkę wzięła, przerzuciwszy przez ramię, gdyż dziadek poznał ją już przecież, na kapelusz jednak nie chciała nawet patrzeć, mówiąc, że Brygida może sobie kapelusz wziąć, gdyż ona za nic nie włoży go na głowę. Upojona tym, co przeżyła, opowiedziała zaraz wszystko dziadkowi, dodając, że białe bułeczki są u piekarza w osiedlu, więc Pietrek może przynosić codziennie jedną, a w niedzielę dwie. Opisała, jak się babka czuje teraz silna i wesoła, a skończywszy, wróciła do początku, mówiąc:

— Proszę cię, dziadku, daj mi wszystkie pieniądze z rulonu, bo chociaż babka się wzbrania, chcę dawać codziennie Pietrkowi na kupno bułek.

— Ależ potrzeba ci łóżka! — protestował. — Zostanie jeszcze i na bułki, bądź pewna.

Heidi nie dawała jednak dziadkowi spokoju, dowodziła, że śpi na sianie dużo lepiej niż w paradnym<sup>35</sup> łóżku frankfurckim i prosiła tak natarczywie, że rzekł w końcu:

— Pieniądze są twoje, więc rób, co chcesz. Starczy ich na parę lat na kupno bułek dla babki.

<sup>34</sup>tedy (daw.) — więc. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>paradny (przestarz.) — reprezentacyjny, wspaniały. [przypis edytorski]

Heidi podskoczyła radośnie:

— Ha, ha! — krzyknęła. — Babka nie będzie już jadła czarnego, twardego chleba! Dziadku, prawda, że nigdy jeszcze nie było tak pięknie, odkąd żyjemy?

Biegła u boku dziadka w podskokach, ćwierkając jak ptaszek. Nagle spoważniała i rzekła:

— Gdyby Bóg od razu wysłuchał mojej prośby, wszystko poszłoby inaczej. Wróciłabym zaraz do domu, przywiozła mało bułek i nie mogłabym jej czytać, co ją tak bardzo cieszy. Bóg obmyślił wszystko daleko piękniej. Powiedziała mi to babunia i sprawdziło się dosłownie. Jak to dobrze, że Bóg nie ustąpił, gdym tak gorąco prosiła! Teraz zacznę się znowu modlić tak, jak kazała babunia, a jeśli Bóg nie wysłucha, powiem sobie, że zapewne, jak to było we Frankfurcie, obmyśla dla mnie coś lepszego. Będziemy się teraz modlić codziennie, dziadku, nie zapominając o Bogu, aby i on o nas pamiętał.

— A jeśli ktoś się nie modli? — mruknął dziadek.

— O, takiemu człowiekowi się nie wiedzie! — powiedziała z przekonaniem. — Bóg zapomina o nim całkiem, gdy zaś, przyciśnięty niedolą, zacznie prosić i błagać, Bóg zamiast mu pomóc, powiada: „Pierwszy uciekłeś ode mnie, róbże więc, co chcesz!”

— To prawda! — przyznał. — Któż ci to powiedział?

— Babunia objaśniła mi wszystko.

Dziadek szedł długo w milczeniu, potem zaś powiedział, jakby w odpowiedzi własnym myślom:

— A jeśli tak się stało, to musi zostać nadal. Wracać nie można, a kogo Bóg raz zapomniał, tego na pewno sobie nie przypomni.

— O nie, dziadku! — zaprotestowała żywo. — Gdy wrócimy do domu, przeczytam ci śliczną historyjkę, a wszystko doskonale zrozumiesz.

Heidi przyspieszała coraz bardziej kroku, a zaledwo minęli ostatnie wzniesienie, puściła rękę dziadka i wbiegła do izby. Dziadek zdjął z pleców duży kosz, w który napchał połowę zawartości kufra Heidi, całego bowiem przynieść aż tu nie był w stanie. Potem usiadł zamyślony na ławce. W tejże chwili przybiegła z dużą książką pod pachą.

— Dobrze, że już siedzisz, dziadku! — powiedziała, umieściła się obok niego i otworzyła książkę od razu na pożądanej historyjce, gdyż czytała ją tyle razy, że książka otwierała się w tym miejscu sama. Zaczęła z przejściem czytać o synu, któremu było w domu dobrze, gdyż pał ojcowskie krówki i owieczki, chodził w pięknym płaszczku i mógł oparty na lasce patrzeć na prześliczny zachód słońca, jak to wszystko widziało się na obrazku. Pewnego jednak dnia postanowił być własnym panem i mieć swoją wolę. Zażądał od ojca swej części, poszedł z domu i zmarnotrawił wszystko. Gdy grosza zabrakło, musiał pójść w służbę do pewnego chłopca, pasał świnie, chodził w lachmanach, a jadł odpadki, wraz ze świniami. Wspomnił niedługo owe dobre czasy w ojcowskim domu i swą wielką niewdzięczność, uczuł żal i tęsknotę. Rzekł sobie: „Pójdę do ojca, poproszę o przebaczenie i powiem mu, że jestem niegodny być jego synem, ale pragnę mu służyć za parobka”. Ojciec ujrzał go z dala i wybiegł naprzeciw. A teraz — spytała — jak sądzisz, dziadku, czy ojciec ofuknął marnotrawnego syna, mówiąc mu, że wszystko to przewidywał? Słuchajże dalej. Ojciec uczuł żal i objął go za szyję. Syn rzekł: „Zgrzeszyłem wobec nieba i ciebie i nie jestem godzien zwać się twoim synem!”. A ojciec rozkazał służebnikom: „Przynieście najpiękniejsze szaty, włóżcie mu pierścień na palec i trzewiki na nogi, zabijcie też tuczne cielę. Będziemy ucztować i radować się, albowiem syn mój zmarł i wrócił do życia, zginął i został odnaleziony”. Potem radowali się razem. Czyż to nie piękna historyjka? — spytała po chwili, gdy siedział niemy i zamyślony, a ona oczekiwała, iż będzie się radował i dziwił.

— Bardzo ładna, moje dziecko! — odpowiedział i siedział dalej w zamyśleniu.

Po pewnym czasie podsunęła mu swą książkę i pokazując obrazek, rzekła:

— Spójrz, dziadku! Dobrze mu teraz, przybrany w nową odzież stoi obok ojca i znowu jest jego synem.

W kilka godzin potem, gdy Heidi już smacznie spała, dziadek wszedł po drabinie i postawił latarkę tak, by światło padało na dziewczynkę, śpiącą ze złożonymi rękami, nie zaniebującą bowiem teraz modlitwy. Jej różowa twarzyczka miała wyraz błęgiego spokoju i zaufania. Wzruszyło to starca, patrzył długo, nie spuszczać z niej oka, potem złożył ręce, pochylił głowę i rzekł z cicha:

Książka, Syn marnotrawny

Modlitwa

— Ojczy! Zgrzeszyłem wobec nieba i ciebie tak, że nie godzien zwać się twoim synem!

Kilka gorących łez spłynęło mu po policzkach.

W kilka godzin później, niemal o świcie Halny Dziadek stał przed chatą, spoglądając pogodnie wokoło. W piękny niedzielny poranek błyszcząły góry i doliny, skąd dolatywały dźwięki dzwonów, podczas gdy ptaki nuciły pieśni poranne w koronach drzew.

Niedługo wrócił do izby i zawołał w stronę strychu:

— Chodź, Heidi! Słońce już wzeszło! Weź piękną sukienkę! Pójdziemy razem do kościoła.

Takich słów nie słyszała dotąd z ust dziadka. Ubrała się więc spiesźnie w swą ozdobną frankfurcką sukienkę i zeszła na dół. Tutaj oniemiała wprost z podziwu na widok dziadka ubranego odświętnie.

— Ach! — wykrzyknęła. — Tak piękny nie byłeś dotąd jeszcze, dziadku! Tego ślicznego surduta ze srebrnymi guzikami nie miałeś za mojej bytności na sobie. Jakże ci do twarzy w tym stroju!

— A tobie także w ślicznej sukience! — odparł z uśmiechem. — Chodźmy!

Wziął ją za rękę i ruszyli z góry. Dzwony były ze wszystkich stron, coraz to donośniej i pełniejszymi dźwiękami. Heidi nadsluchiwała z rozkoszą, mówiąc co chwila:

— Dziadku! Zdaje się, że dziś wielkie jakieś święto!

Kościółek osiedla był już wypełniony śpiewającymi w chwili, gdy wszedł dziadek z Heidi i zajął miejsce na ostatniej ławce. Nagle jeden ze śpiewających trącił sąsiada, szepcząc:

— Czy widzisz? Halny Dziadek przyszedł do kościoła.

Trącony trącił następnego i poszła dalej dziwna wieść, tak że za chwilę szepotali wszyscy:

— Halny Dziadek! Halny Dziadek!

Kobiety obracały ciągle głowy, myśląc się w melodii hymnu, a kantor<sup>36</sup> tylko z wielkim trudem zdołał utrzymać rzecz w należyтым porządku.

Dopiero podczas kazania wrażenie minęło, gdyż pełne życia i prawdy słowa proboszcza przejęły słuchaczy i napełniły radością. Po nabożeństwie Halny Dziadek razem z wnuczką skierował się ku plebanii. Wychodzący z kościoła ludzie patrzyli za nim, niektórzy nawet poszli jego śladem, by nabrać pewności, że rzeczywiście tam idzie. Gdy wszedł, potworzyły się grupy, żeby przedyskutować niesłychane wydarzenie, a wszyscy spoglądali z napięciem raz po raz na drzwi plebanii, chcąc widzieć, czy Halny Dziadek rozstanie się z proboszczem po dobremu, czy może w gniewie i dawnej zwadzie. Nikt nie znał przyczyny jego pojawienia się w kościele. Mimo to jednak nastąpiła już częściowa zmiana nastroju. Powiadano sobie:

— Ten Halny Dziadek nie musi być tak znowu bardzo zły, jak mówią. Jakże troskliwie wiodł za rękę małą Heidi.

— Zawsze to twierdziłem! — dodał drugi. — I nie śmiałyby też chyba iść do proboszcza, gdyby był zupełnie zły. Ludzie zawsze przesadzają.

— Mówiłem to od samego początku! — dorzucił piekarz. — Czyż do złego, dziękiemu i strasznego dziadka wracałoby dziecko, któremu dawano jedzenie, doskonały napitek i otaczano dobrobytem?

Od razu wytworzył się przychylny nastrój, a wzrósł jeszcze bardziej, gdy nadeszły kobiety, które zacerpnęły trochę wieści od Brygidy i babki. Obie zawsze przedstawiały Halnego Dziadka inaczej, niż to było opinią ogółu. Stało się też w końcu, że wszyscy czekali niejako na to, by go powitać jak starego przyjaciela, którego brak żywo odczuwano.

Tymczasem Halny Dziadek zapukał do kancelarii proboszcza, który podszedł do niego, wcale nie zdziwiony przybyciem, przeciwnie, tak jakby go z dawna oczekiwał. Musiał też zauważyć jego obecność w kościele. Uścisnął kilkakrotnie serdecznie dłoń gościa, który oniemiał na chwilę, widocznie nie spodziewając się takiego przyjęcia. Zaraz jednak opanował wrażenia i rzekł:

— Przychodzę prosić księdza proboszcza, by raczył puścić w niepamięć słowa, jakie wyrzekłem w rozmowie na hali, i by przebaczył mój ówczesny upór, z jakim odrzuciłem jego dobrą radę. Miał ksiądz proboszcz zupełną słuszność, ja zaś byłem w błędzie,

<sup>36</sup>kantor (z łac.) — śpiewak kościelny. [przypis edytorski]

toteż teraz zmienię postępowanie i zamieszkać na zimę w osiedlu. Będzie to znacznie korzystniejsze dla dziecka. A jeśli ludzie będą na mnie patrzeć spode łba, bez zaufania, to dostanie mi się zasłużona kara, ale ksiądz proboszcz tego chyba nie zrobi.

Dobre oczy proboszcza rozblęły radością. Uściskał raz jeszcze rękę przybyłego i rzekł wzruszony:

— Drogi sąsiedzie! Byliście, widzę, we właściwym kościele, zanim jeszcze przyszlście do mojego. Cieszy mnie to bardzo i rękę, że nie pożałujecie życia pośród nas. Dla mnie pozostaniecie nadal miłym wielce sąsiadem i częstym, ufam, gościem, z którym zamierzam spędzić niejedną zimową wieczór. Towarzystwo wasze bardzo sobie cenię, a dla tej małej znajdziemy także dobre przyjaciółki.

Proboszcz położył dłoń na kędzierzawej główce Heidi, wziął ją za rękę i tak we troje wyszli przed plebanię. Tutaj pożegnali się serdecznie, a wszyscy widzieli, jak proboszcz ścisną kilkakrotnie dłoń Halnego Dziadka, niby swego najlepszego przyjaciela, z którym mu się trudno rozstać. Ledwo proboszcz zamknął za nim drzwi, podeszli do niego po kolei wszyscy. Każdy chciał być pierwszy i nagle tyle rąk wyciągnęło się do niego, że nie wiedział, którą chwycić. Nagle ktoś zawołał z tłumu:

— Cieszy mnie, dziadku, żeście do nas znowu przyszli!

Drugi dorzucił:

— Nieraz chciałem z wami zamienić parę słów.

Podobne wyrazy padały z różnych stron, a dziadek powiedział w odpowiedzi na te pozdrowienia, że zamierza sprowadzić się na zimę do osiedla.

Na te słowa w zgromadzeniu zawrzało, zupełnie tak, jakby Halny Dziadek był najznakomitszą i najulubieńszą osobistością w całym osiedlu, której brak odczuwali wszyscy. Dużo ludzi odprowadziło spory kawał dziadka i wnuczkę, a żegnając ich, każdy zapraszał oboje w gościnę, gdy tylko się sprowadzą z hali. Na koniec zawrócili na dół, starzec patrzył za nimi długo, a jego oczy miały taki blask, jakby promieniały słońcem. Heidi spoglądała na niego zdumiona, a potem rzekła radośnie:

— Dziadku! Jesteś dziś piękny, jak nigdy dotąd!

— Tak sądzisz? — uśmiechnął się. — Widzisz, moja Heidi, dzieje mi się tak dobrze, że nie rozumiem tego wcale i nie zasługuję na to. O jakże to błoga rzecz być w zgodzie z ludźmi i Bogiem! Wielką mi łaskę uczynił Bóg, odsyłając cię z powrotem na halę.

Gdy doszli pod dom koźlarzy, dziadek otworzył drzwi, wszedł i zawołał:

— Dzień dobry, babko! Trzeba będzie, zdaje się, rozpocząć na nowo łataninę, zanim zaczną dąć wichry jesienne!

— Boże wielki, to Halny Dziadek! — wykrzyknęła babka radośnie. — O jakżem rada, że dożyła tej chwili, kiedy mogę wam, dziadku, podziękować za wszystko, coście dla nas zrobili! Bóg zapłać! Bóg zapłać!

Drżąc z radości, wyciągnęła rękę, gdy zaś dziadek potrząsnął nią kilka razy serdecznie, przytrzymała jego dłoń, mówiąc błagalnie:

— Mam ją do was, dziadku, zaraz wielką prośbę! Jeślim zawiniła czymś wobec was, nie karzcie mnie za to, pozwólcie Heidi opuszczać halę, zanim legnę pod kościołem. O, nie wiecie nawet, czym jest dla mnie to dziecko! — dodała tuląc drugą ręką do piersi Heidi, która się do niej tymczasem zbliżyła.

— Nie trąpcie się tym, babko! — uspokoił ją dziadek. — Nie zamierzam w ten sposób karać ani was, ani siebie samego. Zostaniemy razem i to długo jeszcze, z bożej łaski.

Brygida tajemniczo odciągnęła Halnego Dziadka w kąt izby, pokazała mu kapelusik z piórami i opowiedziała rzecz całą, dodając na końcu, że oczywiście nie zamierza zabierać go dziecku.

Ale dziadek spojrział z zadowoleniem na Heidi i rzekł:

— To jej własność. Ma słuszność, nie chcąc nosić tego kapelusza, a jeśli ci go dała, jest twój.

Brygidę rozradował wielce ten niespodziewany wyrok.

— Wart co najmniej z dziesięć franków<sup>37</sup>! — powiedziała, podnosząc wysoko swój skarb. — Ileż to dobra wszelakiego przywiozła Heidi z Frankfurtu. Nieraz mi przychodziło do głowy, by tam posłać na próbę Pietrka! Cóż wy na to, Halny Dziadku?

<sup>37</sup>frank — pieniądz szwajcarski. [przypis edytorski]

Dziadek zerknął wesoło i odrzekł, że to dobra myśl, ale trzeba czekać na sposobność.

W tej właśnie chwili wpadł Pietrek, uderzywszy przedtem głową w drzwi tak, że szyby w oknach zabrzękły. Spieszno mu było bardzo. Stał bez tchu, zziębnięty i wyciągnął przed siebie rękę z listem. Coś takiego w chacie koźlarzy dotąd się nie zdarzyło. List był zaadresowany do Heidi, a poczmistrz osiedla oddał go Pietrkowi, żeby go doręczył. Wszyscy obsiedli stół, bardzo zaciekawieni, a Heidi odczytała list płynnie i bez omyłek. Pisała Klara Sesemann. Po odjeździe przyjaciółki zrobiło się w domu strasznie pusto i nudno. Nie mogąc wytrzymać dłużej, póty prosiła ojca, aż uległ i postanowił, że przyjadą do Ragaz najbliższej jesieni. Babunia także przyjedzie, gdyż chce odwiedzić Heidi i dziadka na hali. W dalszym ciągu Klara pisała, że babunia pochwaliła jej pomysł przywiezienia babce białych bułeczek, by nie musiała jeść twardego chleba. Same bułki uznała jednak za pożywienie zbyt skromne, więc wysłała do nich w dodatku kawę, która jest właśnie w drodze, a gdy babunia przybędzie na halę, musi ją Heidi zapoznać z babką.

Wiadomości te, dotyczące wszystkich, rozweseliły całe towarzystwo. Rozmawiano, zadawano sobie pytania, tak że dziadek nie zauważył zapadającego mroku. Radowano się tym, co nastąpi, a bardziej jeszcze dniem bieżącym, aż w końcu babka powiedziała:

— Najmilsze ze wszystkiego jest, kiedy stary przyjaciel przyjdzie po długich latach i poda rękę. Serce przepelnia w takiej chwili uczucie radości z odzyskania tego, co się kochało. Przyjdziecie, sądzę, niedługo, Halny Dziadku, a dziecko zaraz jutro, nieprawdaż?

Dziadek przyrzekł to uroczyście i wzięwszy Heidi za rękę, poszedł z nią na halę. Jak rankiem witały ich dzwony niedzielne, tak teraz dolatywał dźwięk dzwonów wieczornych, aż hen wysoko, gdzie stała opromieniona ostatnimi błyskami chata dziadka.

Wraz z przybyciem babuni najbliższej jesieni nastąpią zapewne nowe uciechy i niespodzianki dla Heidi, babki i dziadka. Stanie też niewątpliwie na strychu prawdziwe łóżko, gdziekolwiek bowiem przybędzie babunia, zaraz wszystko dochodzi, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz, do ładu i porządku.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY. PRZYGOTOWANIA DO PODRÓŻY

Pocziwy pan doktor, który rozstrzygnął, że Heidi ma wracać do ojczyznanego kraju, szedł właśnie ulicą Szeroką w kierunku domu pana Sesemanna. Był to słoneczny, wrześnieowy poranek, tak jasny i uroczy, że chyba wszystkich ludzi napełniać musiał radością. Ale pan doktor patrzył wyłącznie na białe kamienie chodnika, tak że nie mógł widzieć nad sobą błękitu nieba. W rysach jego twarzy przebijał smutek, a od wiosny włosy znacznie mu posiwiały. Doktor miał jedynaczkę córkę, z którą bardzo się żył od śmierci żony i która była całą jego radością. Przed kilku miesiącami śmierć zabrała kwitnące zdrowiem dziecko i od tej pory doktor nie był już nigdy tak wesoły, jak wprzód.

Pociągnął za dzwonek, a Sebastian otworzył mu skwapliwie bramę, po czym przybrał wielce służbiście postawę, ruchy i minę, albowiem doktor był nie tylko przyjacielem pana domu i jego córeczki, ale poza tym jeszcze posiadał sympatię i przyjaźń wszystkich domowników.

— Wszystko po dawnemu, nieprawdaż, Sebastianie? — spytał jak zazwyczaj uprzejmie, potem zaś wszedł na schody, a za nim podążał Sebastian, robiąc wielce uniżone gesty, mimo że zwrócony do niego plecami doktor nie mógł tego widzieć.

— Dobrze, że jesteś, doktorze! — zawołał pan Sesemann na widok przyjaciela. — Musimy koniecznie jeszcze raz pomówić w sprawie wycieczki do Szwajcarii. Czyż obstajesz przy swoim zdaniu, mimo że stan zdrowia Klarcia stanowczo znacznie się polepszył?

— Mój drogi! — odparł doktor, siadając obok przyjaciela. — Nie trafię widać z tobą do ładu! Szkoda, że nie ma tutaj twojej matki. Z nią się można od razu i po prostu porozumieć i rzecz załatwić, podczas gdy ty wzywasz mnie już po raz trzeci dzisiaj, wiedząc z góry, co ci raz jeszcze powtórzę.

— Masz słuszność! — rzekł pan Sesemann, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela. — Nudzę cię, oczywiście, i niecierpliwie, ale zważ, że trudno mi odmawiać memu dziecku tego, com tak stanowczo przyrzekł i na co Klarcia cieszyła się przez długie miesiące słabości po całych dniach i nocach. Żyła nadzieją odwiedzenia Heidi na hali, znosząc cierpliwie swe dolegliwości. Czyż mam teraz zawieść nadzieje dziecka, które musi się wyrzec tylu rzeczy i przekreślić cały plan podróży? Nie, to chyba niemożliwe.

— Tak być musi, mój drogi! — powiedział doktor z naciskiem i dodał, widząc, że przyjaciel siedzi przygnębiony: — Zważ, że Klarcia w ciągu lata miała się tak źle jak nigdy dotąd, toteż mowy nie ma o tym, gdyż tak daleka podróż mogłaby mieć jak najgorsze skutki. Ponadto mamy już wrzesień i chociaż na hali jest jeszcze zapewne pięknie, musi być już jednak bardzo chłodno. Dni są znacznie krótsze, ponieważ zaś nie ma mowy o tym, by twoja córka miała spędzić w górach nocę, pozostawałoby jej parę najwyżej godzin na pobyt na hali. Droga z Ragaz aż tam na miejsce musi trwać kilka godzin, bowiem stanowczo Klarcie trzeba by nieść w krzesło, jednym słowem, przyjacielu, wszystko to razem nie ma żadnego sensu! Chodźmy zresztą obaj do niej. Jako rozsądna dziewczynka zgodzi się pewnie na mój plan. Otóż radzę, by wyjechała na drugi rok w maju, odbyła w Ragaz dłuższą kurację wodoleczniczą, a gdy się już ociepli, można będzie robić wycieczki na halę, oczywiście w krzesło. Użyj wówczas, orzeźwiona i silniejsza, lepiej czasu, niżby to miało miejsce obecnie. Zrozumiesz, mój drogi, że najdrobniejsza nadzieja polepszenia stanu zdrowia twojej córki jest ściśle związana z największą ostrożnością i pieczołowitością.

Pan Sesemann słuchał tych słów w milczeniu, pokornie, zrezygnowany. Nagle zerwał się, pytając porywczo:

— Słuchaj, doktorze! Powiedz mi otwarcie, czy masz istotnie nadzieję, że to polepszenie nastąpi?

Doktor wzruszył ramionami:

— Słaba to nadzieja! — odparł półgłosem. — Pomyśl na chwilę o mnie! Przecież masz dziecko, które kocha cię i wyczekuje twego powrotu, gdyś wyjechał. Nie zastajesz nigdy w domu pustki, nie siadasz do stołu samotny. Dobrze jest też w domu twojej córce, a chociaż brak jej wielu przyjemności dostępnych zdrowym, to jednak żyje w warunkach o wiele szczęśliwszych niż inne dzieci. Nie żałuję więc, gdyż dobrze jest wam razem. Pomyślże teraz o mnie, drogi przyjacielu, i porównaj moje samotne życie z waszym!

Pan Sesemann zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju, jak to zazwyczaj robił, będąc czymś silnie zajęty. Wreszcie stanął i położył dłoń na ramieniu doktora.

— Słuchaj! — rzekł. — Mam pewną myśl. Nie mogę patrzeć na ciebie bez smutku. Całkiem się zmieniłeś. Niezbędna ci jest rozrywka. Wiesz co? Jedź zamiast nas i odwiedź Heidi na hali w naszym imieniu.

Doktora bardzo zdziwiła ta niespodziewana propozycja i chciał protestować, ale pan Sesemann nie dał mu przyjść do słowa. Uradowany swym pomysłem i zapalony do niego, wziął przyjaciela pod rękę i zaprowadził go do pokoju córki. Klarcie zawsze cieszyło przybycie zacnego doktora, gdyż opiekował się nią z dawien dawna bardzo troskliwie i za każdym razem umiał opowiedzieć coś wesołego i nowego. Wiedziała dobrze, co go teraz przygnębia, i rada by była przywrócić mu dawną pogodę. Wyciągnęła do niego rękę, a on usiadł przy niej. Ojciec także przysunął sobie fotel i ujawszy dłoń Klarczy, zaczął mówić. Wyraził radość na myśl o podróży, w paru słowach zaznaczył, że jest na razie niemożliwa, a potem zaczął szeroko rozwodzić się na tym, jak dobrze zrobiłaby doktorowi ta podróż. Zrobił to z rozmysłem, by zapobiec wybuchowi płaczu swojej ukochanej córki.

Istotnie łzy napęłniły błękitne oczy Klarczy, mimo że robiła wysiłki, by je ukryć, wiedząc jak przykry dla ojca jest jej płacz. Cios był istotnie bolesny. Myśl o tej podróży radowała ją przez całe lato i stanowiła całą rozrywkę i pociechę samotnego życia. Nie umiała jednak się dąsać, wiedząc, że jeśli ojciec czegoś odmawia, to ta rzecz musiałaby jej wyjść na złe, i tak być nie może. Przemógłszy więc łzy, czepiła się jedynej pozostałej jeszcze nadziei. Pogładziła zatem rękę swego przyjaciela i rzekła prosząco:

— Panie doktorze! Pojedź pan do Heidi, a po powrocie opowie mi pan wszystko o niej, o dziadku, babce, Pietrku i kozach. Dowiem się, co robią ci wszyscy moi znajomi, prawda? Myślę też, że zabierze pan ze sobą to, co chcę jej posłać, oraz babce. Obiecuję przez cały czas pić tranu, ile pan tylko chce, dobrze?

Trudno powiedzieć, czy ta ostatnia propozycja zadecydowała, dość że doktor uśmiechnął się i powiedział:

— W takim razie muszę chyba jechać. A ty, Klarcio, twarz ci się zaokrągli i stajesz się mocna, jak tego obaj z ojcem pragniemy. Kiedyż nastąpić ma ten mój wyjazd? Czy już postanowiłaś?

— Najlepiej zaraz jutro rano! — oświadczyła Klara.

— Słusznie — poparł ją ojciec. — Pogoda piękna, słońce świeci, szkoda każdej chwili spędzonej w mieście, a nie na hali.

Doktor roześmiał się znowu i powiedział:

— Muszę, jak widzę, zmykać co prędzej. Inaczej wyrzucisz mnie chyba, przyjacielu!

To rzekłszy, wstał. Ale Klara przytrzymała go. Miała dużo zleceń do Heidi i pytań, na które czekała od niej odpowiedzi. Przesyłka przeznaczona dla Heidi mogła nastąpić dopiero później, bowiem panna Rottenmeier musiała wszystko osobiście zapakować, a właśnie była na jednej ze swych nieskończenie długich wycieczek po mieście.

Pan doktor przyrzekł spełnić wszystkie zlecenia i rozpocząć podróż zaraz nazajutrz rano albo najpóźniej w ciągu następnego dnia, a po powrocie zdać dokładnie sprawę ze wszystkiego, co ujrzy i przeżyje.

Służący mają dziwny talent dowiadywania się o zamysłach swych państwa znacznie wcześniej, niż zostaną przez nich powiadomieni. Sebastian i Tineta celowali w tym, widać, oboje. Sebastian odprowadził doktora do bramy, a Tineta, wezwana dzwonkiem, poszła do Klary.

— Proszę to wziąć, Tineto — powiedziała Klara, wskazując przygotowane już przedtem pudełko — i napełnić je świeżymi struclkami<sup>38</sup>, jakich używamy do kawy.

Tineta wzięła pudełko, zaczęła nim wzgardliwie bujać, a przy drzwiach zauważyła szycerco:

— To rzecz niezbędna, oczywiście.

Otworzywszy drzwi, Sebastian złożył mnóstwo niskich ukłonów doktorowi i rzekł:

— Proszę bardzo pozdrowić, z łaski swojej, panienkę od Sebastiana, panie doktorze!

— Ach! — zawołał dobroduszenie zdziwiony doktor. — Sebastian wie już zatem, że jadę?

Sebastian odkaszlnął z pewnym zakłopotaniem i powiedział:

— Ja, to znaczy... sam nie wiem... ach prawda, przypominam sobie... Przechodziłem przypadkowo przez jadalnię, usłyszałem imię panienki, potem zaś zacząłem myśleć i w ten sposób... naturalnie...

— Naturalnie! — uśmiechnął się doktor życzliwie. — Dobrze jest widocznie myśleć, bo zawsze coś się wymyśli. Zgoda, Sebastianie, zawiozę Heidi pozdrowienie.

Doktor miał właśnie przekroczyć próg, ale natrafił na zaporę. Silny wiatr skrócił znacznie wycieczkę panny Rottenmeier. W tejże samej chwili wróciła i chciała wejść w otwartą bramę. Wydęta podmuchem wiatru jej wielka chusta przybrała wygląd żagla. Doktor usunął się. Panna Rottenmeier była wielce ugrzecznioma wobec niego i z dawien dawna żywiła dla niego wielki szacunek, toteż cofnęła się z ogromną dystynkcją<sup>39</sup>, robiąc mu miejsce. Stali tak oboje, w postawach wyczekujących, gdy nagle wionął wiatr i panna Rottenmeier wpłynęła do sieni pełnymi żaglami. Doktor uskoczył w bok, ona zaś przebiegła spory kawałek za niego, tak, że musiała zawrócić, żeby powitać, jak przystało, przyjaciela domu. Przygoda zmieszała ją trochę, ale zachowanie się doktora wpłynęło jak zwykle kojąco na jej humor. Powiedział jej o planie podróży i poprosił bardzo uprzejmie, by zapakowała przesyłkę dla Heidi tak, jak to ona jedna tylko na świecie potrafi pakować.

Klara była przygotowana na pewien opór ze strony opiekunki przeciw wysłaniu Heidi wszystkiego, co dla niej przeznaczyła. Tym jednak razem stało się inaczej. Będąc w wyjątkowo dobrym nastroju, panna Rottenmeier opróżniła wielki stół pracowni, złożyła na nim wszystko, co miało być wysłane, i zaczęła pakować na jej oczach. Nie było istotnie łatwą sprawą zrobić paczkę z tych różnokształtnych przedmiotów. Przede wszystkim był tu gruby, watowany płaszcz z kapturem, by Heidi mogła w zimie chodzić sama do babki, nie czekając, aż ją dziadek owinie w worek i zanieśie, oraz ciepła chustka dla staruszki, by nie marzła, gdy wiatr wstrząsa chatą. Potem wielkie pudło ze struclkami, także dla babki, by nie musiała jeść samych bułek do kawy. Następnie olbrzymia kielbasa. Początkowo Klara przeznaczyła ją dla Pietrka, który jadał zawsze tylko chleb i ser, ale przyszło jej na myśl, że chłopak z radości pochłonie ją od razu i zachoruje, więc oddała ją w ręce Brygidy, by ona i babka dostały po kawałku, a Pietrek miał otrzymywać przysmak w odpowiednich porcjach. Posłała też dziadkowi woreczek tytoniu, gdyż lubił palić fajkę,

Dar

<sup>38</sup>strucla (z niem.) — podłużna słodka bulka drożdżowa, nadziewana powidłami a. masą makową. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>dystynkcja — tu: dystygowane, wytworne zachowanie. [przypis edytorski]



siedząc na ławce wieczorem, a w końcu dla Heidi mnóstwo paczek, torebek i zawiniątek z przeróżnymi niespodziankami. Pakowanie trwało długo, ale w końcu na ziemi leżała wielka paka gotowa do drogi. Panna Rottenmeier patrzyła na nią poważnie, zatopiona w myślach na temat sztuki pakowania, a Klara wesoło, gdyż wyobrażała sobie radosne podskoki przyjaciółki w chwili, gdy ją dostanie.

Wszedł teraz Sebastian, dźwignął z rozmachem pakunek na plecy i zaniósł go czym prędzej do domu doktora.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY. GOŚĆ NA HALI

Nastał świt, purpurowy blask zalał niebo, a poranny wiatr szumiał w jodłach, chybotając ich potężnymi konarami. Zbudzona znanym szumem Heidi otworzyła oczy. Szum ten poruszał ją zawsze do głębi i pociągał ku jodłom, więc skoczyła z posłania, przyodziła się pospiesznie, lecz starannie, wiedząc, że trzeba zawsze wyglądać czysto i porządnie, potem zaś zbiegła po szczeblach drabiny.

Dziadka nie było już w izbie. Wysła więc przed dom i zastała go, jak zawsze, opartego o ścianę. Rozglądał się wokół, chcąc wiedzieć, czy dzień będzie pogodny.

Różowe obłoczki płynęły wysoko, niebo błękitniało coraz to bardziej, a słońce, wychylone właśnie ponad wysokie zręby skał, szerzyło czerwoną i złotą poświatę po łąkach, górach i pastwiskach.

— O jakże to piękne, jak piękne! — wykrzyknęła, podskakując. — Dzień dobry, dziadku!

— Wstałaś już! — powiedział, witając ją na dzień dobry.

Heidi pobiegła pod jodły, których grube gałęzie poruszał wiatr z szelestem, i zaczęła tańczyć wkoło drzew, rozradowana tym odgłosem, za każdym silniejszym uderzeniem wiatru podskakując coraz to wyżej.

Dziadek wydoił tymczasem Białuszkę i Buraskę, potem umył je i wycesał przed puszczeniem na pastwisko, w końcu zaś wyprowadził z obórki. Na widok swych przyjaciółek Heidi przybiegła, objęła zwierzęta za szyję, pozdrawiając je, a kozy zaczęły beczeć wesoło i ocierały głowy o ramiona dziewczynki, wyrażając jej w ten sposób swoje przywiązanie. Omal jej nie rozgniotły, naciskając tak głowami ze stron obu. Ale Heidi się nie bała. Gdy natarczywa Buraska za mocno ją uderzała czołem, wówczas mówiła:

— Burasko! Bodziesz całkiem jak wielki Trykacz!

Na te słowa Buraska odsuwała się i przybierała postawę pełną godności, a Białuszka także podnosiła głowę, chcąc ją jeszcze trochę przewyższyć w dostojeniu.

— Któż nam zarzuci, że bodziemy tak, jak ten nieznośny Trykacz! — zdawały się mówić obie.

Nagle doleciało gwizdanie Pietrka, który nadbiegł wkrótce, otoczony swym stadem, na czele którego podskakiwała rączka Ziębulka. Heidi wpadła w środek stada, potrącana z wszystkich stron przez kozy; odsuwała je łagodnie od siebie, gdyż chciała się dostać do lękliwej Śnieżki, którą zawsze odtrącały starsze i mocniejsze kozy, gdy chciała powitać swą przyjaciółkę.

Pietrek wydał straszliwy gwizd, którym chciał przestraszyć kozy i zawrócić je w stronę pastwiska, a przy tym zrobić sobie miejsce, bo miał coś powiedzieć Heidi. Na ten odgłos kozy rozskoczyły się tak, że mógł stanąć przed nią.

— Mogłabyś chyba dziś pójść ze mną? — rzekł z pewnym wyrzutem.

— Nie, nie mogę, Pietrku. Oczekuję gości z Frankfurtu, którzy mogą przybyć lada chwila, i muszę zostać w domu! — odparła stanowczo.

— Ciągłe mi to powtarzasz! — mruknął.

— Tak będzie aż do ich przybycia — oświadczyła. — Czyżby mnie mieli nie zastać, Pietrku?

— Mogą sobie przecież poczekać u dziadka — rzekł ponuro.

W tej chwili zabrzmiał z chaty donośny głos:

— Czemuż to wojsko nie rusza? Czy brak wodza, czy żołnierzy?

Pietrek obrócił się natychmiast, świsnął w powietrzu batem, a kozy, znając dobrze hasło, pobiegły pędem pod górę.

Od czasu powrotu przychodziło Heidi do głowy to i owo, o czym przed tym nigdy nie myślała. Każdego ranka porządkowała starannie i gładziła swoje posłanie, potem ustawiała w porządku stołki w izbie i chowała do szafy różne rzeczy leżące lub wiszące. Na koniec, uzbrojona w szczotkę i ścierkę, szorowała stół tak długo, aż był na nowo czysty i biały. Radowało to wielce dziadka. Wchodząc, rozglądał się wokół, uśmiechał i powtarzał raz po raz:

— Teraz jest u nas zawsze jak w niedzielę. Heidi nie daremnie była na obczyźnie.

I dzisiaj także wzięła się do porządkowania, po odejściu Pietrka i śniadaniu spóży-tym z dziadkiem. Nie szła jej jednak jakoś robotą. Przepiękna pogoda kusila do wyjścia, a wpadające przez okno wesołe promienie słońca zdawały się wołać:

— Chodźże, Heidi, chodź na świat!

Wybiegła i stanęła w zachwycie, patrząc na blask słoneczny zalewający chatę, góry i całą dolinę. Mimo woli przysiadła chwilę na zboczu, rozglądając się. Zaraz jednak przyszło jej na myśl, że na środku izby stoi trójnóg, a stół nieoczyszczony jeszcze po śniadaniu. Zawróciła wtedy żwawo. Niedługo jednak wiatr szarpnął znowu gałęzmi drzew, a Heidi wybiegła i zaczęła tańczyć dokoła rozchybotanych jodeł. Dziadek wszedł za szopę i wykonywał tam różne codzienne czynności. Co chwila jednak wyglądał i patrzył z uśmiechem na wesołe pląsy wnuczki. Właśnie zawrócił, gdy doleciało go jej wołanie:

— Dziadku! Chodźże tu! Prędko!

Pospieszył zaraz, przerażony trochę, co się z nią dzieje, i zobaczył, że Heidi zbiega po zboczu. Dziewczynka wykrzykiwała w głos:

— Idą, idą! Na przedzie pan doktor!

Biegła na spotkanie przyjaciela. Gdy do niego dopadła, podał jej rękę, ona zaś uściśnęła ją serdecznie i zawołała z radością:

— Dzień dobry, panie doktorze! Dziękuję bardzo, dziękuję stokrotnie!

— Witam, cię Heidi! — powiedział uprzejmie i dodał, uśmiechając się: — Za cóż to mi dziękujesz, dziecko?

— Za to, że mogła wrócić do dziadka! — oświadczyła Heidi.

Twarz doktora rozpromieniła się jak słońce. Nie oczekiwał takiego powitania na hali. Głęboko zamyślony szedł pod górę, nie widząc niemal, jak pięknie jest wokół. Przypuszczał, że Heidi ledwie go sobie przypomni, gdyż widziała go tylko przelotnie, przyjmie jak człowieka przynoszącego rozczarowanie i że się zasmuci wieścią o nieobecności przyjaciół. Zamiast tego jednak miał przed sobą rozbłysną radością dziewczynkę, która ścisnęła mu dłoń w gorącej podzięcie, jak najlepszemu przyjacielowi.

Ujął ją czule, po ojcowsku, i rzekł:

— Chodź, Heidi, zaprowadź mnie do dziadka i pokaż mieszkanie.

Ale Heidi nie ruszała się z miejsca, spoglądając ze zdziwieniem ku dolinie.

— A gdzie Klara i babunia? — spytała po chwili.

— Powiem ci coś niezbyt wesołego, co i mnie samemu sprawia przykrość — oświadczył doktor. — Przybywam sam. Klara jest dotąd niezdrowa i nie mogła przybyć, a babunia także została w domu. Za to na wiosnę, gdy się ociepli i nastaną dłuższe dni, przyjadą obie z całą pewnością.

Heidi stała zmieszana, nie mogąc pojąć, że nie stanie się to, co już miała przed oczyma jako rzeczywistość. Niespodzianka zaskoczyła ją. Milczeli oboje i tylko wiatr szumił w konarach drzew. Nagle Heidi przypomniała sobie, z jakiego powodu wybiegła i że przed nią stoi doktor. Spojrzała na niego i w rysach jego twarzy dostrzegła wielki smutek. Tak nie patrzył na nią w Frankfurcie. Zabolalo ją serce, nie mogła znieść, by ktoś był smutny, a cóż dopiero zacny, kochany doktor. Pewnie się tak bardzo martwi, że Klara i babunia nie mogły przyjechać. Postanowiła znaleźć pociechę i odkryła ją niezwłocznie.

— O — zawołała — wiosna nastanie rychło, a wówczas przyjadą! U nas nie trzeba długo czekać na przyjscie wiosny. Zostaną za to dłużej, z czego pewnie Klara będzie zadowolona. A teraz chodźmy do dziadka.

Ujęła dłoń przyjaciela i poszła z nim w stronę chaty. Tak jej zależało na tym, by go pocieszyć, że zapewniła ponownie, iż wiosna nastanie na hali bardzo niedługo, a ciepłe słoneczne dni zjawią się całkiem niespodzianie. Tak się sama przejęła tym pocieszaniem, że krzyknęła z dala do dziadka niemal wesoło:

— Jeszcze nie przyjechali, ale będą tu niedługo!

Dziadek znalazł doktora z opowiadań wnuczki, podał mu więc serdecznie rękę i powitał, po czym obaj siedli na ławce, a doktor skinął na Heidi, by zajęła miejsce przy nim. Doktor opowiedział, że pan Sesemann go zachęcił do podróży i rzeczywiście czuje się silny i zdrowy, jak dawno już nie pamięta. Potem szepnął Heidi, że niebawem znajdzie się na górze coś, co z nim przyjechało z Frankfurtu, a sprawi jej to większą uciechę niż stary doktor. Niezmiernie ją to zaciekawiło. Dziadek zaczął namawiać doktora, by spędził na hali resztę jesieni, a przynajmniej by przychodził tu każdego pogodnego dnia. Nie mógł go, oczywiście, z braku pomieszczenia zaprosić do siebie, radził jednak, by nie wracał do Ragaz, ale wynajął pokój w osiedlu, gdzie jest prosta, ale schludna gospoda. W ten sposób będzie mógł codziennie przychodzić, a on sam pokaże mu różne ciekawe punkty okolicy, głęboko w górach, skąd się ścielą przepiękne widoki. Doktor przystał z ochotą i postanowiono niezwłocznie wykonać ten plan.

Tymczasem słońce wskazało południe. Wiatr przycichł już od dawna i jodły umilkły. Powietrze było, jak na tę wysokość, ciepłe jeszcze, mile i rzeźwiło powiewem siedzących na oblanej słońcem ławce.

Halny Dziadek wstał i wszedł do chaty, wrócił jednak zaraz, niosąc stół, który postawił przed ławką.

— Heidi — powiedział — przynieś wszystko, czego potrzeba do obiadu. Pan doktor wybaczy i raczy przyjąć to, co mamy — dodał. — Nasza kuchnia jest bardzo skromna, za to jadalnia piękna, nieprawdaż?

— Prześliczna! — odparł doktor, patrząc w ozłoconą słońcem dolinę. — Przyjmuję zaproszenie. Tutaj musi wszystko smakować.

Heidi poskoczyła do chaty jak łasiczka i pozносиła wszystko, co było w szafie. Radowała ją niezmiernie, że może ugościć doktora. Dziadek przyrządził tymczasem jedzenie i przyniósł buchający parą dzban mleka oraz złotej barwy pieczony ser. Potem nakrajał cieniutkich platków różowego, suszonego w czystym górskim powietrzu, mięsa, a doktorowi smakował ten obiad jak żaden może w ciągu całego roku.

— Tak, tak! — rzekł wreszcie. — Klara musi tu przyjechać. Nabierze sił, a jeśli przez czas pewien będzie tyle jadła, co ja dzisiaj, twarz jej się zaokrągli i stanie mocna, jak nigdy w życiu.

W tej chwili zobaczyli człowieka dźwigającego z trudem wielki toból. Dotarliszy do chaty, położył ciężar na ziemi i przez chwilę wciągał w pierś orzeźwiający halny powietrze.

— Oto ta rzecz, która ze mną przyjechała z Frankfurtu! — powiedział doktor, doprowadził Heidi do pakunku, rozwiązał sznur, a gdy opadła powłoka zewnętrzna, dodał: — Teraz sama szukaj swoich skarbów.

Zrobiła to z ochotą, a gdy już wszystko porozkładała wokoło, stanęła nad prezentami bez słowa, nie wierząc własnym oczom. Doktor podniósł wieko pudełka i rzekł znacząco:

— To będzie babka zajadała z kawą.

Heidi krzyknęła radośnie:

— Ach! Jakże jej będą smakowały te strudelki!

Potem zaczęła tańczyć wokół pudełka. Chciała zaraz wszystko spakować i nieść babce. Ale dziadek oświadczył, że wieczorem odprowadzi pana doktora i zabierze, co trzeba. Heidi znalazła woreczek z tytoniem i wręczyła go dziadkowi. Ucieszył się bardzo, nabił zaraz fajkę i siedząc na ławce, puszczali obaj z doktorem wielkie kłęby dymu, a Heidi skakała od jednego skarbu do drugiego. Nagle podeszła do ławki, stanęła przed gościem i rzekła stanowczo, korzystając z przerwy w rozmowie:

— Wcale się tym więcej nie ucieszyłam niż starym doktorem!

Obaj mężczyźni roześmiali się, a doktor zapewnił, że zupełnie tego nie oczekiwał.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, gość wstał, by wrócić do osiedla i wynająć pokój. Dziadek wziął pod pachę chustkę, pudełko i kielbasę, a doktor podał rękę Heidi i poszli razem aż do chaty Pietrka, gdzie dziewczynka miała zaczekać na powrót dziadka, który chciał doprowadzić doktora na miejsce pobytu. Gdy się z nią zebrał, spytała:

— Czy pan doktor pójdzie jutro rano z kozami na pastwisko?

To była w jej oczach rzecz najpiękniejsza.

— Zgoda, Heidi! — odparł wesoło. — Pójdziemy oboje.

Mężczyźni odeszli, a Heidi weszła do chaty, wlokąc z wysiłkiem wielkie pudło. Potem wróciła po kielbasę i jeszcze raz po chustkę. Poznosiwszy rzeczy, które dziadek zostawił

Dar

u progu, zbliżyła się do babki, by mogła dotknąć kielbasy i pieczywa, a chustkę położyła jej na kolanach.

— Przysłała to z Frankfurtu Klara i babunia! — oświadczyła zdziwionej Brygidzie, która wprost skamieniała, patrząc na przedmioty, z wysiłkiem ciągnięte i rozkładane przez dziewczynkę.

— Prawda, babko — spytała — że najbardziej cieszą cię te strudelki? Spróbuj, są mięciutkie!

— Cieszę się bardzo, moja droga! — zapewniła babka. — Cóż to za dobrzy ludzie! — Potem pogładziła chustkę i rzekła: — Ta chustka to nieoceniony skarb na ostrą zimę. Boże wielki! Nie myślałam nigdy, że dożyję czegoś takiego.

Zadziwiło to wielce Heidi, że babka cieszy się bardziej szarą chustką niż doskonałymi strudelkami. Brygida stała przy stole, patrząc ze złością na kielbasę, tak ogromną, jakiej nie widziała jeszcze w życiu. Czy to możliwe, by była jej własnością, by mogła ją nawet krajać i jeść? Potrząsnęła nieufnie głową i rzekła:

— Trzeba zapytać wpieryw Halnego Dziadka, co się ma z tym zrobić?

— To trzeba zjeść i basta! — oświadczyła pewnym tonem Heidi.

W tej chwili wpadł Pietrek, wołając:

— Halny Dziadek idzie za mną! Kazał, by Heidi...

Więcej powiedzieć nie zdołał, spojrzawszy na bajeczną kielbasę, której widok odebrał mu mowę. Ale Heidi domyśliła się reszty i podała prędko rękę babce. Halny Dziadek zachodził teraz często do staruszki, która cieszyła się, usłyszawszy jego kroki, gdyż zawsze znajdował dla niej słowo pociechy i otuchy. Dziś jednak było już późno, dziewczynka wstawiała równo ze świtem, a sen dla niej, jak mawiał, był konieczny, zatem rzucił tylko od progu: „Dobranoc”, wziął Heidi za rękę i ruszyli przy blasku migocących gwiazd do swojej cichej chaty.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY. ODPLATA

Nazajutrz o świcie doktor razem z Pietrkiem i stadem kóz szedł stromą drogą od osiedla ku hali. Usiłował kilka razy nawiązać rozmowę z koźlarczykiem, ale otrzymywał w odpowiedzi tylko urywane, niechętnie słowa. Pietrek niełatwo dawał się wciągnąć w pogawędki, toteż doszli w milczeniu do chaty dziadka, gdzie czekała już Heidi ze swymi dwoma kozami, a cała ta trójka była rześka i wesoła jak słoneczny poranek w górach.

— Czy idziesz? — spytał jak zawsze Pietrek.

— Oczywiście, jeśli i pan doktor pójdzie! — odparła Heidi.

Pietrek spojrzął spode łba na doktora.

Dziadek przyniósł plecak z południowym posiłkiem, powitał z szacunkiem doktora, potem zaś zawiesił worek Pietrkowi na plecach.

Był cięższy niż zazwyczaj, gdyż Halny Dziadek włożył do niego spory kawał różowego, smakowitego mięsa, przypuszczając, że doktorowi spodoba się na pastwisku i spożyje tam obiad, razem z dziećmi. Na myśl o tym nieznanym przysmaku Pietrek uśmiechał się od ucha do ucha.

Ruszono pod górę. Kozy otoczyły Heidi, potrącając się i odpychając wzajemnie. Trwało to przez pewien czas, w końcu Heidi stanęła, mówiąc:

— Dość tego! Teraz idźcie spokojnie przodem, a ja porozmawiam z panem doktorem.

Poklepała po grzbiecie Śnieżkę, która zawsze starała się znaleźć najbliżej, nakazując jej osobno, by była grzeczna i posłuszna. Wydostawszy się z tłoku, podeszła do doktora, który ją zaraz ujął za rękę. Nie potrzebował już teraz szukać tematu rozmowy, gdyż Heidi zaczęła zaraz opowiadać o kozach, ich dziwnych pomysłach, o kwiatkach, skałach i ptakach. Zajęła go tak, że nim się spostrzegł, stał już na pastwisku. Pietrek spoglądał na doktora raz po raz tak straszliwie, że byłby go niemało przeraził, gdyby to spostrzegł. Na szczęście jednak nie widział.

Heidi zaprowadziła przyjaciela na swoje zwykłe miejsce, skąd był najpiękniejszy widok, on zaś usiadł przy niej na oświetlonej słońcem murawie. Był przecudny, złocisty dzień jesienny. Z niższych hal dolatywał pobrzęk dzwonek pasących się trzód, ukojny

Góry, Natura

i łagodny, jak chorał<sup>40</sup> pokoju. Wielkie pole śniegowe sypało skry brylantów, szary masyw Falknisu sterczał majestatycznie wysoko pod ciemnobłękitne niebo. Rozkoszny poranny wiatr powiewał z lekka, kolebiąc szafirowymi główkami pozostałych jeszcze kwiatów, które rozwierały chciwie kielichy na słońce. Wysoko, w górze zataczał szerokie kręgi drapieżny ptak, ale nie wrzeszczał dzisiaj, rozkoszując się tylko pogodą. Heidi spoglądała to tu, to tam. Chwiejące się kwiaty, lazur nieba, światło i świegot ptaków w powietrzu, wszystko było tak piękne! Oczy jej błyszczały z rozkoszy. Po chwili przeniosła wzrok na doktora, chcąc się dowiedzieć, czy i on widzi te cuda. Siedział dotąd cichy, zadumany i patrzył wokoło, napotkawszy zaś wesołe oczy Heidi, powiedział:

— Tak, moje dziecko! Mogłoby tu być pięknie. Ale czyż radować się może ten, kto przybywa ze smutkiem w sercu?

— O! — wykrzyknęła wesoło. — Tutaj nikt nie ma smutku w sercu. Tak bywa tylko we Frankfurcie!

Doktor uśmiechnął się z lekka, zaraz jednak powiedział z powagą:

— Gdyby jednak ktoś przywiózł tu z Frankfurtu smutek? Czy sądzisz, że można by go uleczyć?

— Kiedy się nie wie, co robić, trzeba wszystko powiedzieć Bogu! — oświadczyła żywo.

— Dobra to myśl, moja Heidi — zauważył. — Jeśli jednak ten smutek właśnie on sam zesłał na człowieka, to cóż ma powiedzieć Bogu?

Zamyśliła się, nie tracąc jednak pewności, że lekarstwo na smutek jest jedynie w Bogu. W końcu znalazła odpowiedź we własnych przeżyciach.

— Trzeba czekać! — zdecydowała stanowczym tonem. — Trzeba myśleć ciągle, że Bóg przygotowuje coś radosnego, co nastąpi po smutku, trzeba czekać cicho i nie uciekać, a stanie się tak, że wyjdzie na jaw, iż Bóg przez cały czas miał coś dobrego na myśli. Tego nie wiemy naprzód i dlatego smutek wydaje się nam rzeczą mającą trwać bez końca.

— Piękna to wiara, moja Heidi, trzymaj się jej, drogie dziecko — powiedział, potem zamyślił się, zapatrzony na potężne skały, na lśniąca w słońcu dolinę, i dodał: — Wiesz, może się zdarzyć, że siądzie tu ktoś z oczyma tak przysłonionymi smutkiem, iż tych wszystkich piękności nie widzi. Wtedy jest mu podwójnie smutno. Czy to rozumiesz?

Heidi poczuła ukłucie w sercu, wspomniawszy w tej chwili ślepą babkę, która nie może niczego widzieć. Ból ten wracał stale, ile razy sobie uświadomiła to nieszczęście. Odparła więc z powagą:

— Tak, rozumiem to dobrze. Wiem jednak, że jeśli się czyta babce hymny, to ona czuje taką jasność, iż nabiera wesołości, jakby widziała wszystko.

— Jakież to hymny, Heidi?

— Umieję na pamięć te ustępy, które babka najlepiej lubi, gdzie mowa o słońcu i pięknych ogrodach, gdyż zwykle czytuję je po trzy razy.

— Chętnie bym posłuchał tych wierszy! — powiedział i rozsiadł się wygodnie.

Heidi złożyła ręce i myślała przez chwilę.

— Zaczę od tego miejsca, o którym babka zawsze mówi, że czuje w sercu radość, czy dobrze?

Doktor skinął potakująco, a Heidi zaczęła:

Gdyś czynił, co przystało  
I co nakazał Pan,  
Zadziwisz się niemało,  
Jakich dokona zmian,  
Jak zmieni smutki, troski  
W radosnych dzionków bieg  
I łódź twą sternik boski  
Na jasny popchnie brzeg.

Przez chwilę tylko może  
Z pociechą zwlekać Pan,

<sup>40</sup>chorał — uroczysty wielogłosowy śpiew kościelny; także: utwór muzyczny do wykonywania podczas nabożeństw. [przypis edytorski]

W najbliższej jeszcze porze  
Twych nie uleczy ran.  
Wydawać ci się może,  
Że cię opuścił Bóg,  
Choć modlisz się w pokorze,  
Wśród swych cię nie chce sług...

Lecz wytrwaj przy nim wiernie,  
A on wszechmocą swą  
Usunie wszystkie ciernie,  
Co kryją drogę twą,  
Wyzwoli z smutku duszę,  
Gdy przy nim będziesz trwał  
I w zamian za katusze  
Dostaniesz szczęścia dział<sup>41</sup>.

Urwała nagle, niepewna, czy doktor słucha. Siedział, osłoniwszy oczy dłonią, nie wykonując najlżejszego ruchu. Sądziła, że zasnął, czekała więc, aż się zbudzi i poprosi o nowe hymny. Wokół panowała cisza. Doktor nic nie mówił, ale też wcale nie spał. Cofnął się myślą w dawne czasy, w swój wiek dziecięcy, kiedy to otaczał ramieniem szyję matki, która mu deklamowała ten sam właśnie hymn, wypowiedziany przez Heidi, a zapomniany od szeregu lat. Wydało mu się, że słyszy głos matki i widzi jej słodkie oczy, patrzące z taką miłością. Gdy ucichły słowa hymnu, usłyszał inne, równie pożądane, śledził je myślą i siedział długo jeszcze nieruchomy, z dłonią na oczach. W końcu podniósł głowę, a widząc, że Heidi patrzy na niego ze zdziwieniem, ujął jej rękę i rzekł nieco weselej:

— Twój hymn, droga Heidi, był piękny. Przyjdziemy tu znowu i powtórzysz mi go, prawda?

Przez cały czas Pietrek wprost szalał ze złości. Heidi już od wielu dni nie była na pastwisku, teraz zaś siedział przy niej ten stary pan, tak że nie mógł podejść. Martwiło go to wielce. Stanął w pewnej odległości za plecami natręta, który go nie mógł widzieć, i podniósł groźnie pięść, potem zaś obu pięściami zaczął zapalczywie wymachiwać. Im dłużej doktor siedział, tym wyżej Pietrek podnosił pięści i tym sroższe robił miny.

Tymczasem nadeszło południe, co Pietrek poznał doskonale po słońcu. Nagle krzyknął na całe gardło w kierunku siedzących:

— Czas jeść!

Heidi wstała i poszła po plecak, by doktor mógł zjeść obiad, nie ruszając się z miejsca. Powiedział jednak, że nie jest głodny i chciałby tylko wypić garnuszek mleka. Heidi także nie czuła głodu, postanowiła natomiast oprowadzić doktora po pastwisku i zawieść nieco dalej w góry, na to porośnięte mchem miejsce, skąd swego czasu Ziębulka chciała skoczyć w przepaść i gdzie rosły aromatyczne ziołka. Pobiegnęła do Pietrka, wytłumaczyła mu, by napełnił mlekiem Białuszki dwie czarki, jedną dla doktora, a drugą dla niej. Patrzył na nią przez chwilę zdziwiony, a potem spytał:

— A któż dostanie to, co jest w plecaku?

— Weź to sobie, ale najpierw przyniesiesz mleko. Dalejże — rozkazała.

Pietrek nie doił jeszcze w życiu tak prędko jak tym razem, mając ciągle w myślach plecak z nieznaną zawartością, którą posiadał na własność. Podczas gdy oboje pili mleko, zajrzał do wnętrza. Zatrząsał się z radości na widok wielkiego kawała mięsa, potem zajrzał ponownie, żeby się upewnić, że tak jest w istocie, i wsadził rękę, by pochwycić zdobycz. Ale cofnął się nagle, ogarnięty wątpliwością. Przecież przed chwilą wygrażał pięściami temu panu, który mu zrobił podarek ze swego obiadu. Pietrek uczył skrucę i nie był w stanie wziąć się do jedzenia. Nagle podskoczył, pobiegł w to samo miejsce i uniosł wysoko obie dłonie, rozłożone płasko na znak, że całkowicie unieważnia wygrażanie pięściami. Stał tak chwilę, potem zaś wrócił do plecaka z uczuciem, iż sprawa została wyrównana, a mając czyste sumienie, zaczął z rozkoszą jeść przysmaki.

<sup>41</sup>dział — tu: udział, część. [przypis edytorski]

Doktor długo chodził z Heidi i z ożywieniem rozmawiał, potem zaś oświadczył, że pora mu wracać, ona zaś pewnie zechce jeszcze zostać wśród kóz. Heidi nie zgodziła się, by zacy doktor sam jeden wracał z hali, postanowiła go więc odprowadzić do chaty dziadka, a nawet jeszcze dalej. Poszli, trzymając się za ręce; dziewczynka nie przestawała opowiadać o różnych rzeczach, pokazywała przyjacielowi miejsca, gdzie kozy pasają się z upodobaniem, gdzie latem rosły kępy żółtych, lśniących różyczek złotojeści, czerwonej centurii<sup>42</sup> i innych kwiatków. W końcu jednak doktor powiedział, by wróciła. Pożegnali się. On poszedł dalej ku dołowi, a Heidi stała długo jeszcze, patrząc za odchodzącym. Tak robiła zawsze córeczka doktora, gdy wychodził z domu.

Jesień tegoroczna była bardzo pogodna. Doktor przychodził każdego dnia na halę, skąd udawał się w dalszą wędrówkę. Często chodził z dziadkiem w góry, gdzie się chwiała w silnym wietrze kosodrzewina, a drapieźny ptak, zapewne tam gdzieś mieszkający, krążył nisko nad ich głowami, kracząc głośno. Doktor bardzo polubił swego towarzysza. Przekonał się, że Halny Dziadek zna dokładnie każde ziele rosnące na hali, wie, na co należy je używać i jak cenne posiada przymioty, zarówno żywiczna jodła, jak wonna sosna, kędzierzawy mech, najbardziej niepozorny kwiatek, słowem, wszystko, co wydaje bujna gleba alpejska.

Dziadek opowiadał też przyjacielowi o życiu, obyczajach i uciesznych nieraz nawykach małych i dużych zwierząt, mieszkających w szczelinach skał, jaskiniach lub też w koronach drzew.

Czas płynął doktorowi niepostrzeżenie, a ile razy ścisnął na pożegnanie dłoń towarzysza, powtarzał stale:

— Drogi przyjacielu! Codziennie czegoś się od pana uczyć!

Najpiękniejsze jednak dni spędzał doktor z Heidi. Siadali na tym samym, co pierwszego dnia, miejscu na zboczu pastwiska, dziewczynka deklamowała coraz to inne hymny, opowiadała różności, a Pietrek siadał za nimi, ale złagodniał całkiem i nigdy już nie wygrażał pięściami.

Tak minął piękny wrzesień. Pewnego dnia doktor przybył znacznie mniej wesoły niż zazwyczaj. Powiedział, że musi zaraz nazajutrz wracać do miasta, co go smuci, gdyż bardzo pokochał halę i jej mieszkańców. Zmartwiła ta wiadomość dziadka, który z przyjemnością codziennie z nim rozmawiał, a Heidi, nawykła do codziennego widywania drogiego przyjaciela, wprost pojąć nie mogła, że nagle go straci. Doktor pożegnał dziadka, pytając, czy pozwoli, by go Heidi odprowadziła kawałek drogi. Poszli, trzymając się za ręce, a dziewczynka i teraz jeszcze nie wierzyła, że odchodzi.

Po pewnym czasie doktor zatrzymał się, mówiąc, by wracała. Poglądził kręte jej włosy i powiedział:

— Muszę już iść. Ach, jaka szkoda, droga Heidi, że cię nie mogę zabrać ze sobą do Frankfurtu.

W tej chwili ujrzała przed sobą miasto, domy, kamienne ulice, pannę Rottenmeier i Tinetę i rzekła z wahaniem:

— Wołałabym, by pan doktor sprowadził się do nas.

— To prawda. Bywajże mi zdrowa, Heidi! — odparł, ściskając jej dłoń.

Spojrzała nań i spostrzegła łzy w jego pocziwych oczach. Doktor obrócił się i ruszył spieszenie na dół.

Heidi stała bez ruchu w miejscu. Wzruszyły ją łzy w oczach przyjaciela. Nagle wybuchnęła płaczem, zerwała się i łkając, pobiegła za odchodzącym.

— Panie doktorze! Panie doktorze! — wołała raz po raz.

On się obrócił i czekał.

Wkrótce go dopędziła, zapłakana.

— Pojadę w tej chwili do Frankfurtu! — oświadczyła stanowczo. — Muszę tylko zawiadomić dziadka!

Doktor pogładził jej głowę i rzekł spokojnie, a serdecznie:

— Nie, droga Heidi, nie pojedziesz w tej chwili, mogłabyś zachorować w mieście. Zostań w górach. Powiedz mi tylko, że przyjedziesz do mnie, gdy będę chory, samotny i zapragnę mieć kogoś, kto by mnie kochał.

<sup>42</sup>centuria (bot.) — tysiącznik, roślina z rodziny goryczkowatych. [przypis edytorski]

— O tak, tak! — wykrzyknęła, szlochając. — Przyjadę natychmiast! Kocham pana tak samo prawie jak dziadka!

Doktor uściśnął raz jeszcze Heidi i pośpieszył na dół, ona zaś stała długo, żegnając go ruchem ręki, dopóki nie zniknął jej z oczu. Obracając się po raz ostatni, powiedział sobie:

— Dobrze jest tam w górach. Ciało i dusza odzyskują zdrowie i radość życia.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY. ZIMA W OSIEDLU

Śnieg zawiął chatę Pietrkową aż po okna, które znalazły się teraz na ziemi, a pod białą pokrywą znikł dach i drzwi wejściowe. Dziadka nie było na hali do pomocy, więc sam Pietrek musiał codziennie rano pracować w pocie czoła, gdy śnieg spadł na nowo. Wyskakiwał oknem i jeśli nie było mrozu, zapadał cały w zasyp, z której się wydobywał, kopiąc, wierząc i machając rękami. Matka podawała mu wielką miotłę, a on odmiatał wytrwale aż do samych drzwi. Miał niemało roboty, trzeba było odmieść wszystek śnieg, gdyż inaczej po otwarciu drzwi wpadłoby go dużo do kuchni, zaś w razie zamrożenia wszyscy zostaliby zamurowani, gdyż nie można by było się przedostać przez lodową skorupę, a okienko było małe, tak że tylko sam Pietrek mógł się przez nie przecisnąć. W mroźne dni chłopiec używał sobie do woli. Otwierał okienko, stał na twardej powierzchni śniegu, matka podawała mu sanki, on siadał i mógł jechać dokąd chciał, byle tylko na dół. Cało zbcze stało się jednym ogromnym torem saneczkowym.

Dziadka nie było tej zimy na hali. Dotrzymując słowa, zamknął zaraz z pierwszym śniegiem chatę i obórkę, potem zaś zszedł wraz z Heidi i kozami do osiedla. Stał tam w pobliżu kościoła i plebanii obszerny dom, dawny dwór pański, teraz już na poły rozwalony. Mieszkał w nim ongiś dzielny wojak, który brał udział w wyprawie hiszpańskiej, dokonał wielu czynów, zdobył bogactwa i powróciwszy, wystawił sobie wspaniały dom. Niedługo jednak wytrzymał w cichym osiedlu człowiek nawykły do gwarnej światła. Wyjechał i nie wrócił. Po wielu latach, gdy było rzeczą pewną, że zmarł, jego krewniak sprowadził się do domu, który tymczasem niszczał. Nowy właściciel nie chciał łożyć na odbudowę, wkrótce się wyniósł, a dom zajęli ludzie biedni, którzy także nie mogli naprawiać szkód. Zamieszkał tu potem Halny Dziadek ze swym synem Tobiaszem, a następnie budynek przez długi czas stał pustką, bowiem trudno tu było wyżyć temu, kto nie umiał łątać dziur, zatykać szpar i ciągle wszystkiego naprawiać. Zima trwała w osiedlu długo, była mroźna, wiatr hulał po izbach, gasząc światło, a ludzie kłapali zębami. Jednak dzielny Halny Dziadek sobie poradził. Postanowiwszy spędzić zimę w osiedlu, zaczął już w połowie października naprawiać dom. Przychodził tu często razem z Heidi.

Od tyłu wchodziło się do wielkiej izby, której jedna ściana runęła, w drugiej było wielkie, sklepienie okno bez szyb, a grube pędy powoju pięły się aż do sklepienia, które świadczyło, że musiała to być kiedyś kaplica. Potem wchodziło się do obszernej sali z kamienną posadzką poprzerastaną zielskiem. I tutaj mury runęły w połowie, częściowo zapadł się strop, a resztę trzymały grube słupy, gdyż inaczej wszystko by spadło ludziom na głowy. Dziadek zrobił tutaj przegrodę z desek i pokrył posadzkę grubą warstwą mierzwy, gdyż izbę tę przeznaczył na mieszkanie dla kóz. Za izbą ciągnęły się rozmaite korytarze, tak zniszczone, że przez mury przeglądało niebo, albo kawałek łąki i ścieżki. Na końcu widniały wielkie drzwi, mocno jeszcze tkwiące na zawiasach, i przez nie wchodziło się do izby, jako tako zachowanej. Wszystkie cztery ściany w połowie pokrywało drzewo bez skaz i szpar, a w kącie stał ogromny piec, sięgający niemal stropu. Białe kafle ozdobione były niebieskimi obrazkami, wyobrażającymi to wieżycę w otoczeniu drzew, pod którymi szedł myśliwy z psami, to znów ciche jezioro, ocienione dębami, z rybakiem chwytającym ryby na wędkę. Wokół pieca umieszczono ławę, tak że można było siedzieć i podziwiać obrazki. Heidi od razu się tu spodobało. Wszedłszy, podbiegła do pieca, siadła i zaczęła oglądać obrazki. Posuwając się po ławie coraz to dalej, dotarła za piec i ujrzała coś, co pochłonęło całą jej uwagę. W przestrzeń dzielącą piec od ściany była wstawiona zbita z czterech desek paka, podobna do zasięku<sup>43</sup> na jabłka. Wewnątrz nie było jednak jabłek, ale siano, przykryte prześcieradłem i grubym workiem. Heidi od razu poznała swoje łóżko. Krzyknęła z radości, potem zaś rzekła:

<sup>43</sup>zasięk — tu: zagrodzone miejsce służące do przechowywania jakiejś żywności, np. zboża, ziemniaków, jabłek. [przypis edytorski]



— Śliczna jest moja sypialna, a ty, dziadku, gdzie będziesz sypiał?

— Ty musisz spać przy piecu, byś nie marzła! — odparł. — A tu jest moje posłanie.

Przebiegła za dziadkiem obszerną izbę, a on otworzył następne drzwi, wiodące do małej izdebki, gdzie umieścił swoje posłanie. Naprzeciw były jeszcze jedne drzwi. Heidi zajrzała przez nie i znalazła się w miejscu, które przypominało kuchnię, ale tak wielką, jakiej dziewczynka nie widziała dotąd w życiu. Dziadek niemało się nad nią napracował, a zostało jeszcze dużo do roboty. Wszędzie w murach widniały dziury i szerokie szczeliny, z których wiele dziadek już pozabijał deskami, co przypominało wpuszczone w mur szafki. Prastare, ogromne drzwi naprawił również drutami i gwoźdźmi, tak że je można było zamykać, co stanowiło sprawę ważną, bowiem za kuchnią były tylko same rozwaliska, zarośnięte krzakami i zamieszkałe przez roje owadów i jaszczurek.

Heidi była bardzo zadowolona z nowego mieszkania, zbadła je dokładnie i oprowadziła wszędzie Pietrka, który przybył nazajutrz zobaczyć, jak tam wygląda. Była niestrudzona w śledzeniu wszystkich szczegółów.

Sypiała doskonale w nowym łóżku na przypiecku, ale budząc się, miała zawsze ochotę wybiec na świat i słuchać szumu jodeł, których konary obciążał teraz ciężki śnieg. Każdego ranka musiała rozmyślać przez chwilę, gdzie jest, i czuła przygnębienie z powodu braku rodzimej hali. Dopiero głos dziadka i beczenie wzywających ją kóz przywodziły jej wszystko na pamięć. Wyskakiwała ze swej paki i biegła do obórki. Czwartego dnia powiedziała stanowczo:

— Muszę iść dzisiaj do babki. Nie można zostawiać jej tak długo samej.

Dziadek nie zgodził się na to.

— Dziś ani jutro nie pójdziesz — powiedział. — Na hali leży wielki śnieg, a ciągle jeszcze pada. Silny Pietrek tylko z trudnością zdoła przebrnąć, zaś małą Heidi zasypałoby niewątpliwie i nikt by jej nie znalazł. Zaczekaj, aż przyjdzie mróz, a wówczas pójdziesz wygodnie po twardej skorupie.

Czekanie z początku zasmuciło Heidi, ale wobec rozlicznych zajęć dni mijały szybko.

Rano i popołudniu Heidi chodziła do szkoły, ucząc się z wielkim zapałem. Pietrka widywała tam rzadko. Łagodny nauczyciel mawiał zazwyczaj:

— Znowu nie widzę Pietrka. Dobrze by mu zrobiła nauka, ale na hali tyle śniegu, że pewnie nie mógł przebrnąć, biedaczysko.

Pietrek przychodził jednak niemal codziennie w odwiedzinach do Heidi, po szkolnych godzinach.

Po kilku dniach zaświeciło słońce, ale tylko na krótko, jakby nie chciało patrzeć na białą szatę ziemi, tak różną od letniej. Zaszło wcześniej, księżyc lśnił nocą nad śnieżnymi rozłogami, a rano wszystko wokół błyszczało i rzucało skry. Pietrek, jak codziennie, wyskoczył przez okno w głęboki śnieg, tym razem jednak nie zapadł się wcale, lecz stuknął siedzeniem w twardą powłokę i zjechał duży kawał po stromym zboczu, niby puszczone sanki. Zdziwiony, zaczął się gramolić na czworakach, stanął na nogach i wałąc z całej siły obcasami, by się przekonać, czy to prawda, zdołał od grubej skorupy oderwać zaledwie małe kawałeczki lodu. Hałę ściał silny mróz. Spodobało się to bardzo Pietrkowi, wiedział bowiem, że teraz może przybyć Heidi. Wrócił do domu, wypił mleko, które dla niego przygotowała matka, schował do kieszeni chleb i powiedział:

— Idę do szkoły!

— Dobrze! Idź i ucz się pilnie! — pochwaliła go.

Pietrek wyskoczył oknem, gdyż drzwi całkiem przymarzły, siadł na sanki i zjechał błyskawicznie na dół. Gdy mijał osiedle, poczuł, że nie udałoby mu się tutaj wyhamować bez szkody dla siebie i sanek. Pęd uniósł go aż poza Mayendorf, zatrzymał się dopiero na równinie. Wstał i spojrzął wokół. Zajęcia w szkole zaczęły się już dawno. Powrót musiałby trwać około godziny. Miał więc pod dostatkiem czasu na powrót. Znalazł się w osiedlu w chwili powrotu Heidi ze szkoły. Siedziała z dziadkiem przy stole i jadła obiad. Pietrek miał dziś pewną szczególną myśl, którą musiał zaraz wypowiedzieć.

— Już ściał! — rzekł, stanąwszy w izbie.

— Co znaczy to wojownicze hasło? — spytał dziadek.

— Mróz! — powiedział.

Zima

— O! — zawołała Heidi, domyślając się reszty, uradowana, że będzie mogła pójść do babki. Potem zaś dodała z wyrzutem: — Czemuż nie było cię w szkole, mogłeś przecież zjechać?

Raziło ją to, że nie spełnił obowiązku.

— Zajechałem za daleko sankami. Było już za późno — powiedział.

— To jest dezercja — zauważył dziadek. — Takich jak ty bierze się za uszy.

Przeżony tymi słowy Pietrek szarpał czapkę, gdyż bardzo się bał starego Halnego Dziadka.

— Jesteś ponadto wodzem, więc podwójnie powinieneś się wstydzić! — oświadczył.

— Cóż byś zrobił, gdyby któraś z kóz przestała cię słuchać i uciekała ze stada?

— Zbiłbym ją! — odrzekł tonem fachowca.

— A gdyby to zrobił chłopiec i dostał cięgi?

— Dobrze by mu się stało!

— Wiedz więc, kozi wodzu, że jeśli miniesz szkołę w chwili, gdy masz w niej siedzieć, masz się do mnie zgłosić po swoją należność.

Teraz Pietrek błyskawicznie zrozumiał sens całej rozmowy i że to on miał być owym chłopcem. Zerknął, czy nie dostrzeże gdzieś kija lub bata. Ale Halny Dziadek powiedział łagodnym tonem:

— Chodź i przekąś coś z nami. Potem zaprowadzisz Heidi do babki i wrócisz z nią wieczorem tutaj na kolację.

Ten nieprzewidziany zwrot zachwycił Pietrka, a jego twarz wykrzywiła się na wszystkie strony z uciechy. Usłuchał niezwłocznie i siadł obok Heidi. Heidi z radości, że idzie, nie mogła jeść, więc przysunęła Pietrkowi duży kartofel i kawał pieczonego sera, leżące jeszcze na jej talerzu, a dziadek także napełnił talerz chłopca, który widząc cały wał przed sobą, wziął się do dzieła z nie lada zapalem. Heidi wdziała ciepły płaszcz z kapturem, otrzymany od Klary, i rzekła, gdy Pietrek wziął w usta ostatni kąsek:

— Chodźmy więc!

Wyruszyli, a Heidi opowiedziała Pietrkowi, że Białuszka i Buraska pierwszego dnia pobytu w nowej obórcie nie chciały jeść, miały zwieszone głowy i wcale nie beczwały. Dziadek powiedział, że było im tak, jak Heidi we Frankfurcie, bowiem od urodzenia nie opuszczały hali.

Doszli na miejsce, a Pietrek nie powiedział ani słowa. Widocznie nurtowała go jakaś myśl. Stał pod drzwiami i rzekł stanowczo:

— Wolę już chodzić do szkoły niż zgłaszać się po bicie do dziadka!

Heidi była tego samego zdania i umocniła go w postanowieniu. Zastała tylko samą Brygidę, zajęętą łataniem. Babka leżała w łóżku w izbie. Było jej zbyt zimno. Zdziwiło to bardzo Heidi, nawykłą do widzenia babki stale przy kołowrotku. Skoczyła do izby i ujrzała, że owinięta w szarą chustkę leży w wąskim łóżku pod cienką kołdrą.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknęła staruszka, posłyszawszy jej kroki. Przez całą jesień trwożyła ją długa nieobecność Heidi i to, że jak mówił Pietrek, chodzi po hali z obcym panem z Frankfurtu. Była pewna, iż ten pan przyjechał po nią. A chociaż wrócił sam, nie znikła możliwość przybycia jakiegoś wysłannika, który mógł zabrać dziewczynkę. Heidi podeszła do łóżka i spytała:

— Czyś bardzo chora, babko?

— Nie, nie, drogie dziecko! — uspokajała staruszka. — Mróz mi wszedł trochę w kości.

— A czy ozdrowiejesz zaraz, gdy się ogrzeje na świecie? — badała dociekliwie.

— Mam w Bogu nadzieję, że jeszcze prędeży! Chciałam już dziś prząść, próbowałam nawet, ale jutro pewnie siądę znowu do kołowrotka — zaręczyła, czując przestrach Heidi.

Przeraziło ją to istotnie, gdyż nigdy wcześniej nie widziała babki w łóżku. Zdziwiła się ponadto, że leży owinięta chustką.

— We Frankfurcie ludzie biorą chustkę, wychodząc na przechadzkę z domu. — powiedziała. — Czyś sądziła, babko, że trzeba się nią okrywać, idąc spać?

— Wzięłam chustkę, moje dziecko, gdyż mi jest zimno — wyjaśniła. — Moja kołdra jest trochę za cienka.

— Czemuż ci, babko, opada głowa? — badała dalej Heidi. — Powinna leżeć wysoko. Czegoś brak w tym łóżku!

— To prawda! — odrzekła, poprawiając poduszkę podobną do cienkiej deski. — Widzisz, moja poduszka w ogóle nigdy nie była gruba, a teraz całkiem stwardniała i po wieloletnim leżeniu stała się płaska.

— Szkoda, że będąc we Frankfurcie, nie spytałam Klary, czy mogę zabrać swoje łóżko. Są tam trzy miękkie poduszki, tak wysokie, że się zawsze z nich zesuwałam i trzeba było ciągle poprawiać głowę, gdyż w mieście sypia się wysoko. Czy to by ci sprawiło ulgę, babko?

— Oczywiście, poduszki grzeją, a leżąc wysoko, łatwiej jest oddychać — zapewniła, poprawiając się znowu. — Nie mówmy jednak o tym. Dziękować muszę Bogu za wiele rzeczy, których brak takim jak ja starcom. Dostaję co dzień białe bułeczki, mam ciepłą chustkę i ty przysłaś do mnie, droga Heidi. Może byś mi coś przeczytała?

Heidi zdjęła z półki starą książkę, zaczęła wyszukiwać różne piękne hymny, które znała teraz dobrze i które sama chętnie by usłyszała po tak długiej przerwie.

Babka złożyła ręce, a smutna jej twarz przybrała taki wyraz, jak gdyby ją spotkało wielkie szczęście.

Po chwili Heidi przerwała, pytając:

— Czyś już zdrowa, babko?

— Dobrze mi, słodko! Ale czytaj jeszcze, dziecko, czytaj dalej.

Heidi skończyła hymn, potem zaś powtórzyła kilka razy zakończenie:

Gdy oko moje ćmić<sup>44</sup> się zacznie,  
Ty w ducha pokój wlej,  
Bym miast<sup>45</sup> umierać miał rozpacznie<sup>46</sup>  
Do chwały wpłynął twej.

Babka powtórzyła wiersz, jej oblicze rozpromieniła radość i oczekiwanie. Heidi była wielce zadowolona. Wspomniała jasny, pogodny dzień swego powrotu i wydało jej się, że takim właśnie powrotem do ojczyzny jest śmierć. Wykrzyknęła z zapalem:

— Wiem już teraz, co znaczy śmierć szczęśliwa!

Babka nie odpowiedziała, ale słowa te utkwily jej w pamięci.

Po chwili Heidi rzekła:

— Już ciemno! Muszę wracać, ale cieszę się, że ci lepiej, babko!

Staruszka ujęła jej dłoń, mówiąc:

— Dobrze mi już, Heidi, chociaż muszę leżeć. O, nie masz pojęcia, jak smutno jest opuszczonemu, który pozbawiony ludzkiego słowa, nie widzi ponadto promyka słońca. Przynębiony, sądzi taki człowiek, że już nie ma dla niego ratunku. Gdy jednak słucham twego czytania, robi mi się jasno i lekko, a potem hymny brzmią w duszy jako wspomnienie.

Babka puściła jej rękę, a dziewczynka wybiegła, nawołując Pietrka, gdyż zapadła noc. Ale księżyc świecił jasno, tak że wydawało się, iż świta. Pietrek ustawił sanki, siadł na przodzie, Heidi za nim i ruszyli na dół, jakby lecieli na skrzydłach.

Leżąc na sianie przy ciepłym piecu wspomniała raz jeszcze babkę, której było tak niewygodnie leżeć. Słowa, jakie zamieniły, nie wychodziły jej z myśli, chciałaby była całe dnie spędzać na pocieszaniu staruszki, ale była zima i następna wizyta mogła w razie niepogody przypaść za jakieś dwa tygodnie. Rozmyślała coraz smutniej, co zrobić, by babka słyszała codziennie bodaj jeden hymn. W końcu jednak znalazła ratunek i tak ją to rozradowało, że ledwie mogła doczekać ranka, żeby wykonać swój zamysł. Nagle przypomniała sobie, że nie zmówiła dotąd pacierza, usiadła więc i zaniósła modły do Boga, nie chcąc go porzucić nawet na jeden dzień.

Pomodliwszy się za siebie, dziadka i babkę, położyła się na miękkim sianie i zasnęła, nie budząc się aż do samego świtu.

<sup>44</sup>ćmić się — o oczach: zaćmiewać się, tracić zdolność wyraźnego widzenia. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>rozpacznie (daw.) — rozpaczliwie, z rozpaczą. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY. ZIMA TRWA DALEJ

Nazajutrz Pietrek przyszedł punktualnie do szkoły. Miał ze sobą obiad w plecaku. Dzieci zamieszkałe w osiedlu szły do domów w południe, te jednak, które miały daleko, spożywały posiłek w klasie, siedząc w ławkach, aż do pierwszej, kiedy naukę rozpoczynano na nowo. Ile razy Pietrek bywał w szkole, zawsze po nauce odwiedzał Heidi i dziadka.

Przybył i tego dnia i zauważył zaraz, że Heidi czeka na niego niecierpliwie.

— Pietrku, muszę ci coś powiedzieć! — zawołała.

— Mów — zgodził się ochotnie.

— Musisz się nauczyć czytać — oświadczyła.

— Uczę się przecież — zauważył.

— Nie, nie, to na nic! — powiedziała. — Musisz się tak uczyć, żebyś umiał raz na zawsze.

— Nie mogę — zaręczył.

— Nikt w to już nie uwierzy i ja także nie! — powiedziała stanowczo. — Wiem dawno od babuni z Frankfurtu, że to nieprawda.

Pietrek na te słowa skamieniał ze zdziwienia.

— Nauczę cię sama, a ty musisz czytać babce codziennie jeden albo dwa hymny, rozumiesz?

— Nie dam rady — mruknął.

Ten zacięty upór rozdrażnił ją, przystąpiła do niego z rozbłysłymi oczyma i powiedziała groźnie:

— Dowiedz się w takim razie, co się stanie! Twoja matka wspominała już dwa razy, że wyśle cię do Frankfurtu, żebyś się czegoś wreszcie nauczył. Jest tam straszny, ogromny dom, który mi pokazała Klara. Tam chłopcy muszą chodzić przez długie lata, nauczyciele są wielcy, czarni i chodzą w takich wysokich kapeluszach, spójrz! — pokazała, jak wysokie są od ziemi cylindry profesorów. — Oni są źli, nie tak, jak nasz łagodny, poczciwy nauczyciel. Rozumiesz? Jest ich bardzo dużo.

Pietrka przejął dreszcz.

— Będziesz musiał słuchać tych panów, a jeśli i wówczas jeszcze nie zdołasz jak należy sylabizować, to oni będą drwić z ciebie jeszcze gorzej niż Tineta, a drwiny Tinety, wierz mi, to coś strasznego.

— Będę się uczył! — bąknął trwożnie i niechętnie zarazem.

Heidi złagodniała zaraz.

— To dobrze! Zacniemy od dziś! — powiedziała mu. Zaprowadziła chłopca do stołu i dobyła potrzebne przybory.

W wielkiej paczce od Klary znalazła się także czytanka, którą Heidi bardzo lubiła. Przyszła jej na myśl jeszcze w nocy, jako doskonały podręcznik do nauki Pietrka. Było tam na początku abecadło z wierszykami.

Usiedli oboje, pochyleni nad książką, i rozpoczęli naukę.

Pietrek musiał przesylabizować pierwszy wierszyk i powtórzyć po kilka razy, gdyż Heidi nie znosiła niedbalstwa.

W końcu rzekła:

— Nie umiesz jeszcze tego wiersza, więc posłuchaj, przeczytam ci go kilka razy, co ułatwi sylabizowanie:

Jeśli nie poznasz A, B, C,  
Pójdiesz pod sąd i będzie źle!

— Nie pójdę! — burknął.

— Staniesz przed sądem szkolnym! — zaręczyła. — Jeśli nie chcesz, ucz się.

Pietrek zaczął powtarzać, tak że w końcu Heidi przyznała, iż dobrze zna te trzy litery.

To ją zachęciło do dalszej pracy i rzekła:

— Przeczytam ci kilka następnych wierszy, które będziemy przerabiać jutro:

D, E, F, G się naucz, bracie,  
Bo wielka bieda spadnie na cię!

Jeśli zapomnisz H, I, K,  
W opalach będzie skóra twa!

L, M wyraźnie zawsze mów,  
Jeśli chcesz cały być i zdrow!

N, O, i P też poznać trzeba,  
Bo coś na głowę spadnie z nieba!

Gdy R, S, T nie umie chłopiec,  
Wielka mu boleść może dopiec.

Heidi przerwała, gdyż Pietrek stulił pokornie uszy, zdrętwiała od tych wszystkich tajemniczych pogróżek.

Wzruszyło to Heidi i rzekła pocieszająco:

— Nie bój się, Pietrku. Wszystko to nie nastąpi, jeśli będziesz przychodził każdego wieczora i poznasz wszystkie litery. Tylko nie opuszczaj ani jednego dnia, choćby śnieg padał!

Pietrek przyrzekł i wrócił do domu, nie mogąc jeszcze ochłonąć ze strachu.

Przychodził teraz każdego wieczora, uczył się pilnie liter i wierszy. Czasem bywał na tych próbach dziadek. Siedział, paląc fajkę, a usta mu nieraz drgały od tłumionego śmiechu.

Po dokonanych przez Pietrka wysiłku zostawał on zazwyczaj na kolacji i mógł sobie powetować strach, jakim go zawsze przejmował każdy wiersz z osobna.

Płynęła zima, Pietrek przychodził regularnie i robił prawdziwe postępy. Ciągle jeszcze bał się jednak karzących wierszy.

Doszli do U i W.

Gdy nie rozpoznasz U od W,  
Dostaniesz kijów blisko stu!

Pietrek zerknął wokół i rzekł butnie:

— Nie ma tu nigdzie kija!

— Tak? — odparła Heidi. — Więc chyba nie widziałeś grubej jak ramię laski, którą Halny Dziadek chowa w skrzyni? A wystarczy otworzyć i powiedzieć: „Bij, mój kiju samobiju!”. I zaraz kij wymłóci ci z grzbietu cały opór.

Nazajutrz przyszły litery S, Z i Ż.

Pietrek był tak przestraszony, że usłyszawszy wiersz:

Kto liter poznać tych nie gotów,  
Iść musi hen, do Hotentotów<sup>47</sup>.

zaniemówił przez chwilę, potem zaś rzekł krnąbrnie:

— Nikt nie wie, gdzie są ci Hotentoci!

— Dziadek wie to doskonale! — zawołała Heidi. — Czekaj, jest u proboszcza. Zaraz go zapytam — to rzekłszy, skoczyła ku drzwiom.

— Czekaj! — krzyknął zrozpaczony, gdyż wyobraził sobie, że za chwilę zjawią się Halny Dziadek i proboszcz, po czym zostanie niezwłocznie wysłany do Hotentotów. Na jego rozpaczliwy krzyk Heidi zatrzymała się, pytając ze zdziwieniem:

— Co ci się stało?

— Nic. Zaczekaj! Będę się uczył! — wyrzucił nerwowo.

<sup>47</sup>Hotentoci — grupa rdzennych mieszkańców Afryki Płd., spokrewnionych z Buszmenami, prowadzących koczowniczy tryb życia. [przypis edytorski]

Heidi zapragnęła wiedzieć, gdzie są Hotentoci, i wróciła tylko dlatego, że desperacki krzyk Pietrka wzruszył ją do głębi. Chłopak rzucił się na trzy ostatnie litery z taką zajądłością, że zostały na zawsze utrwalone w jego pamięci. Tegoż wieczora poczynił niemały postęp i tak się działo dzień po dniu.

Śnieg znowu zmiekkł i zaczęły się śnieżyce, tak że Heidi nie mogła iść do babki przez trzy tygodnie z rzędu. Tym pilniej pracowała z Pietrkiem, który miał ją zastąpić w czytaniu. Pewnego dnia chłopiec wrócił do domu i powiedział:

— Umiem!

— Co umiesz, dziecko? — spytała Brygida z zaciekawieniem.

— Umiem czytać — odparł.

— Czyż to możliwe? — zawołała. — Słyszysz, matko?

Babka także wyraziła wielkie zdziwienie.

— Muszę teraz przeczytać hymn, który mi poleciła Heidi!

Matka podała mu prędko książkę, a babka była wielce uradowana, gdyż dawno nie słyszała czegoś takiego. Pietrek siadł przy stole i zaczął czytać. Brygida siedziała obok, nad słuchując uważnie, i powtarzała za każdym wierszem:

— Czyż to możliwe?

Babka śledziła także czytanie z zainteresowaniem, jednak nic nie mówiła.

Nazajutrz w szkole wypadło ćwiczenie w czytaniu. Kolej przyszła na Pietrka, a zacny nauczyciel powiedział:

— Zapewne trzeba będzie go znowu pominąć. A może spróbujesz, nie powiem już czytać, ale choćby sylabizować?

Pietrek przeczytał bezbłędnie trzy całe wiersze.

Nauczyciel odłożył książkę. Patrzył z niemym podziwem na najgorszego ze swoich uczniów, potem zaś rzekł:

— Cud się nad tobą ziścił, Pietrku! Pracowałem z niestrudzoną cierpliwością, a nie mogłeś pojąć sylabizowania. I oto w chwili, kiedy chciałem z przykrością dać wszystkiemu spokój, ty czytasz całkiem dobrze. Cóż się stało, mój drogi Piotrze?

— Heidi mnie nauczyła! — odparł.

Nauczyciel spojrział z podziwem na Heidi, nie zwracając na to uwagi, i rzekł:

— Zauważyłem też w tobie wielką zmianę. Dawniej nie bywałeś w szkole całymi tygodniami, teraz zaś nie opuszczasz ani jednej lekcji. Skądże się wzięło, powiedz?

— Tak kazał Halny Dziadek! — powiedział Pietrek.

Nauczyciel spoglądał coraz bardziej zdumiony na Heidi i Pietrka na przemian, potem zaś oświadczył:

— Spróbujmy raz jeszcze! — gdyż był to człowiek ostrożny, a Pietrek musiał swą wiedzę udowodnić na nowych trzech wierszach.

Po godzinach szkolnych nauczyciel udał się do proboszcza z wieścią o tym, co zaszło, i nie miał słów, żeby wychwalić skuteczne oddziaływanie Halnego Dziadka i Heidi na mieszkańców gminy.

Teraz Pietrek każdego dnia odczytywał babce po jednym hymnie. Nie poczuwał się do niczego więcej w posłuszeństwie wobec Heidi, a babka też wcale nie go zachęcała.

Brygidę dziwiło to coraz bardziej i nieraz mawiała do matki, kiedy lektor<sup>48</sup> spał już na dobre:

— Jakaż to radość, że Piotruś nauczył się czytać. Kto wie, co z niego jeszcze będzie?

— Dobrze, że coś umie — odpowiadała babka. — Ale wyczekuję wiosny, prosząc Boga, by mi wrócił Heidi. Ona czyta zupełnie inaczej. W hymnach Piotrusia brak mi zawsze czegoś, szukam w pamięci i nie mogę znaleźć, a przy tym nie robi to na mnie wrażenia, jakiego doznaję podczas jej czytania.

Powód był zrozumiały. Pietrek ułatwiał sobie trudne zadanie i opuszczał po prostu słowa zbyt długie i trudne, sądząc, że i tak ich dosyć w hymnie. Toteż w jego hymnach brakowało niemal wszystkich rzeczowników.

<sup>48</sup>lektor (przestarz.) — osoba czytająca na głos. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY. WIEŚCI OD DALEKICH PRZYJACIOŁ

Nastał maj. Wiosenne wezbrane strumyki spłynęły w doliny. Ciepło objęło góry i światłość słońca rozjaśniła wszystko wokół na pozieleniałej już hali. Spod resztek śniegu wychylały się teraz jasne główki pierwszych kwiatków i młoda trawa. Wiatr wiosenny poruszał gałęzie jodeł, z których strzelały jasne, młode odrośla. Wysoko w górze płynął na potężnych skrzydłach stary drapieżny ptak, rozkoszując się pogodą, a ziemia obsychała szybko, tak że można było już siadać, gdzie się chciało.

Heidi wróciła na halę i rozkoszowała się widokiem całej okolicy, powietrzem i słońcem. Nadsluchiwała wiatru, który płynął tajemniczo od potężnych ścian skalnych, rósł w potęgę, w końcu zaś porywał w objęcia drzewa i szarpał nimi tak zuchwale i radośnie zarazem, że Heidi podskakiwała i tańczyła, jakby była jednym z listków na gałęzi. Wygrzewała się w słońcu przed chatą, szukając w krótkiej trawie młodych kielichów kwiatów, a nad jej głową polatywały komary, chrząszczyki i inne owady, które wyszły z ziemi. Tak ładnie nie było chyba jeszcze na hali. Małe stworzonka musiały czuć się tak samo jak Heidi, gdyż brzęczały i nuciły radośnie: „Wiosna! Wiosna! Wiosna!”

Od strony szopy rozbrzmiewały uderzenia i stukot narzędzi dziadka, dźwięki dobrze znane Heidi. Podbiegła tam, chcąc się dowiedzieć, co robi. Przed szopą stał nowy, piękny stołek, a dziadek kończył właśnie drugi.

— Wiem, co to znaczy! — wykrzyknęła rozpromieniona. — To dla naszych gości z Frankfurtu! Ten stołek jest dla babuni, ten dla Klary... a może trzeba będzie jeszcze jednego... — dodała z wahaniem. — Czy sądzisz, dziadku, że panna Rottenmeier także przyjedzie?

— Nie wiem — odparł. — Ale trzeba mieć na wszelki wypadek stołek i dla niej.

Heidi przez chwilę patrzyła zadumana na prosty stołek bez oparcia, zastanawiając się, czy jest odpowiedni dla tej damy, potem zaś rzekła, potrząsając głową:

— Myślę, że ona nie zechce siedzieć na tym stolku!

— W takim razie zaprosimy ją na miękką kanapę pokrytą zieloną materią<sup>49</sup> — odparł spokojnie.

Heidi zaczęła się zastanawiać, gdzie jest ta zielona kanapa, ale przerwało jej głośnie gwizdanie i okrzyki. Wybiegła z szopy i zaraz dostała się w trzode kóz, skaczących tak wesoło i wysoko, jak może nigdy jeszcze. Potraçały ją jak zawsze, becząc i cisnąc się jedna przez drugą, ale Pietrek rozpedził je batem na prawo i lewo, gdyż miał coś dla Heidi. Kiedy wreszcie do niej podszedł, podał jej list.

— Masz! — powiedział, pozostawiając dalsze wyjaśnienia samej dziewczynce.

— Czy list dla mnie dostałeś na pastwisku? — spytała, gdyż Pietrek wracał właśnie z góry.

— Nie — odrzekł.

— Skąd go więc wziąłeś?

— Z plecaka.

I tak było. Poprzedniego wieczora listonosz wręczył mu list. Pietrek schował go do plecaka, rano włożył tam swój chleb z serem i poszedł. Zabierając kozy starego Halnego Dziadka, widział i jego, i Heidi, ale ruszył dalej i dopiero w południe, wygarniając z plecaka resztki okruszyn, znalazł list.

Heidi przeczytała uważnie adres, potem wbiegła co żywo do szopy i krzyknęła, pokazując list dziadkowi:

— Z Frankfurtu! Od Klary! Czy chcesz posłuchać, dziadku?

Przystął z ochotą, a Pietrek także nastawił uszu, oparli się plecami o odrzwia, co miało mu dodać sił do przyjęcia wieści.

„Droga Heidi! — czytała dziewczynka. — Wszystko już spakowane i wyjedziemy za parę dni, po rozstaniu się z ojczulkiem, który przed podróżą do Szwajcarii musi jeszcze być w Paryżu. Pan doktor przychodzi codziennie i wypędza nas na halę. Nie może się doczekać naszego odjazdu. Bardzo mu dobrze było na hali. Przez całą zimę zjawiał się niemal co dzień, by opowiadać. Siedząc przy mnie, rozwodził się szeroko o wszystkim, co

<sup>49</sup>*materia* (daw.) — materiał, tkanina. [przypis edytorski]

dotyczy ciebie, dziadka, o całej hali, kwiatkach, górach, ciszy wyżynnej, o wioskach, drogach i niezrównanym powietrzu. Powtarzał ciągle, że tam każdy człowiek musi odzyskać zdrowie. Sam zmienił się na korzyść, odmłodził i poweselał. Cieszę się bardzo na myśl, że cię zobaczę i poznam wszystko, nawet kozy i Pietrka! Przedtem jednak muszę odbyć sześciotygodniową kurację w Ragaz, po czym, jak pan doktor powiedział, zamieszkam w osiedlu, a każdego pogodnego dnia będą mnie wozić do ciebie, na halę. Babunia zostaje ze mną, co ją także bardzo cieszy, gdyż będzie cię mogła odwiedzać. Pomyśl, panna Rottenmeier nie chce jechać, chociaż babunia pyta codziennie: »Cóż z tą podróżą, droga Rottenmeier? Jeśli ma pani ochotę, proszę się nie krępować«. Ona jednak dziękuje strasznie uprzejmie i powiada, że nie chce się narzucać. Wiem, czemu tak jest. Sebastian po odwiedzeniu ciebie naopowiadał okropności o hali, o straszliwych skałach, przepaściach, otchłaniach i głazach tak wielkich, że tylko kozy mogą po nich chodzić, a człowiek na każdym kroku może spaść i zginąć na miejscu. To odebrało jej całą ochotę i nie marzy już o Szwajcarii. Strach ogarnął także Tinetę. Przyjedziemy więc tylko we dwie z babunią, a Sebastian odwiedzie nas i wróci.

Nie mogę się doczekać widzenia z tobą. Bądź zdrowa. Babunia zasyła ci stokrotnie pozdrowienia.

*Tvoja wierna przyjaciółka Klara”.*

Wysłuchawszy listu, Pietrek skoczył i zaczął smagać biczem w prawo i lewo, tak że kozy rozpierzchły się ze strachu i zbiegły z góry, wykonując wprost niebywale skoki. On pędził za nimi, wymachując biczem z taką wściekłością, jakby walczył ze srogim nieprzyjacielem. Spodziewane przybycie gości frankfurckich doprowadziło go do złości.

Heidi promieniała radością i zaraz nazajutrz zapagnęła się podzielić nowiną z babką. Była to nie lada rzecz powiedzieć, kto przyjedzie, a kto nie, zwłaszcza że babka знаła każdą osobę z opowiadania i brała żywy udział we wszystkim, co dotyczyło Heidi. Ruszyła sama, zaraz po południu. Słońce przyświecało jasno, ziemia obeschła, toteż była to miła wycieczka, zwłaszcza że wiatr popędzał ją trochę z tyłu. Babka siedziała znowu przy swoim kołowrotku, ale miała przygnębiony wyraz twarzy. Od wczorajszego wieczora trapiła się i przykre myśli nie pozwalały jej spać. Pietrek wrócił rozzłoszczony i powiedział, że cała czereda obcych ludzi z Frankfurtu zjeżdża na halę. Nie wiedział, co nastąpi potem, babka jednak zaczęła nad tym rozmyślać i te myśli pozbawiły ją snu.

Heidi wbiegła, przysunęła sobie zydelek i opowiedziała wszystko z ogromnym zapalem, który jeszcze bardziej ją podniecił. Nagle umilkła w połowie zdania, pytając po chwili trwożnie:

— Nie cieszy cię to, widzę, wcale, babko?

— Cieszy mnie, cieszy, drogie dziecko, ze względu na ciebie! — zapewniła, starając się przybrać trochę weselszą minę.

— Wiem dobrze, że cię to martwi. Czy myślisz, że panna Rottenmeier mimo wszystko przyjedzie? — rzekła Heidi jeszcze trwożniej.

— Nie, nie! — powiedziała babka. — Daj mi rękę, bym czuła, że jesteś jeszcze ze mną. Będzie to dla ciebie bardzo korzystne, chociaż ja tego nie przeżyję.

— Nie chcę korzyści, których byś nie przeżyła! — zawołała Heidi stanowczo, ale babka nabrała pewności, iż ci frankfurczycy przyjadą, by zabrać Heidi, skoro jest już zdrowa. Postanowiła nie wyrażać tej obawy, gdyż dziewczynka miała dobre serce i mogłaby się sprzeciwiać temu, co dla niej dobre. Pomyślała o jakiejś radzie i niebawem ją znalazła.

— Wiem, co mi przywróci pogodę duszy — rzekła. — Przeczytaj ten hymn, w którym jest wiersz: „Gdyś czynił, co przystało i co nakazał Pan...”.

Heidi znała już dobrze stary śpiewnik, więc zaraz odnalazła hymn i przeczytała:

Gdyś czynił, co przystało  
I co nakazał Pan,  
Zadziwisz się niemało,  
Jakich dokona zmian.  
Jak zmieni smutki, troski  
W radosnych myśli bieg



I łódź twą sternik boski  
Na jasny popchnie brzeg.

— O tak, tak! Tęgo właśnie pragnęłam! — rzekła babka, ze znacznie weselszym już wyrazem twarzy.

— Można być tego pewnym, bo są to słowa święte! — rzekła Heidi.

— Tak, dziecko moje! — potwierdziła staruszka. — Przeczytaj raz jeszcze, abym dobrze zapamiętała.

Dziewczynka powtórzyła ustęp kilka razy, gdyż i jej bardzo się spodobała pewność tych obietnic.

Wieczór zapadł, Heidi odeszła z powrotem. Na niebie prześlicznie zamigotały gwiazdy. Jedna była piękniejsza od drugiej, tak że dziewczynka przystawała ciągle, podnosząc oczy i rozglądając się wokoło. Ogarniała ją coraz większa radość i w końcu powtórzyła głośno, z zachwytem ustęp hymnu, brzmiący tak pewnie i stanowczo. Gwiazdy mrugały do niej z góry, aż doszła do chaty. Dziadek stał także zapatrzony w niebo, gdyż gwiazdy dawno już nie błyszczały tak pięknie.

Maj tego roku był bardzo pogodny, noc i dnie jasne, a dziadek śledził z podziwem wschód i zachód słońca i powtarzał raz po raz:

— Ten rok jest szczególnie słoneczny. Wszystkie rośliny będą silne i soczyste. Pietrek musi uważać, żeby mu się trzoda nie rozbrykała po takiej paszy.

Pietrek śmiało podnosił bat, strzelał z niego, a z oczu mu patrzyło wyraźnie:

— O, dam ja sobie z tym radę!

Minął rozkoszny maj, nastał czerwiec z cieplejszymi jeszcze, długimi dniami i wywabił z ziemi na całej hali niezliczone mnóstwo kwiatów. Wszystko lśniło teraz, barwiło się i pachniało wokół przesłodka. Ale i ten miesiąc zaczął się już chylić ku końcowi, gdy pewnego dnia Heidi wybiegła przed chatę, ukończywszy właśnie domowe porządki. Chciała posłuchać szumu jodeł, a potem zaś pójść nieco wyżej, gdzie, jak się spodziewała, miał właśnie rozkwitnąć wielki prześliczny krzak centurii. Nagle, obiegając chatę, wydała okrzyk tak przeraźliwy, że Halny Dziadek wyjrzał ze szopy, wielce zdziwiony.

— Chodźże, chodź, dziadku! — krzyczała w podnieceniu. — Patrz, patrz! Widzisz?

Dziadek podszedł i spojrział w kierunku wyciągniętej ręki Heidi.

Ku hali zmierzał dziwny korowód, jakiego tu nigdy nie widziano. Na przedzie dwóch ludzi niosło fotel z drążkami, w którym siedziała młoda dziewczyna, okutana w mnóstwo chustek. Potem maszerował koń, niosąc okazałą damę, która rozglądała się bacznie i wiodła jednocześnie ożywioną rozmowę z idącym obok niej przewodnikiem. Następnie młody chłopak toczył pusty wózek, a na końcu jeszcze jeden człowiek dźwigał na zawieszonym na plecach nosidle ogromną górę chustek, kołder i futer, sterczących mu wysoko nad głową.

— To one, one! — wykrzykiwała Heidi, podskakując z radości.

Tak było w istocie. Korowód dotarł pod chatę, Heidi przyskoczyła do przybyłych i obie dziewczynki przywitały się z niesłychaną czułością. Za chwilę zsiadła z konia babunia i nastąpiło drugie, równie serdeczne powitanie. Potem babunia zwróciła się do nadchodzącego Halnego Dziadka i podała mu rękę, nie jak obcemu, ale jak człowiekowi, którego znała dobrze z opowiadań Heidi.

Zaraz potem babunia zawołała żywo:

— Drogą Halny Dziadku, masz pan siedzibę, której by pozazdrościł niejeden król! Jakże wygląda droga moja Heidi? Jak różyczka! — dodała, przyciągając ją do siebie i gładząc po policzkach. — Jakież tu cuda wokoło! Patrz no, Klarcu!

Klara była oczarowana. W życiu nie widziała takiego krajobrazu i nie przeczuwała go nawet.

— Jakież to piękne, jak piękne! — powtarzała raz po raz. — Nie spodziewałam się wcale. Droga babuniu, chciałabym tu zamieszkać.

Halny Dziadek przysunął tymczasem wózek, położył na siedzeniu kilka chustek wziętych z nosidla i rzekł:

— Lepiej będzie panience tutaj, gdyż krzesło podróżne jest nieco twarde.

Potem, nie czekając na nikogo, wziął Klarę w silne ramiona i usadowił wygodnie. Następnie z wielką starannością okrył jej kolana i nogi, a wszystko to zrobił tak wprawnie, jakby od samego urodzenia wyłącznie pielęgnował chorych. Babunię wprawilo to w wielkie zdumienie.

— Drogi Halny Dziadku! — powiedziała. — Szkoda, że nie wiem, gdzie się pan uczył pielęgniarstwa, gdyż wysłałabym tam wszystkie znane mi pielęgniarki. To coś niezwykłego.

Halny Dziadek roześmiał się z lekka i rzekł:

— Znam to raczej z praktyki niż z nauki. — Mimo uśmiechu miał smutny wyraz twarzy. Stał mu przed oczyma obraz okaleczonego człowieka, który nie mógł się poruszać. Był to jego kapitan z walk sycylijskich, którego zabrał z pola i pielęgnował troskliwie do samej śmierci. Przyszło mu na myśl, że powinien zająć się chorą Klarą i przynieść jej ulgę w sposób sobie znany.

Niebo sklepiło się pogodnym szafirem ponad szarymi wysokimi skałami, a Klara spoglądała wokoło, oczarowana widokiem i wszystkimi szczegółami.

— Droga Heidi! — powiedziała w końcu tęsknie. — Chciałabym z tobą chodzić wkoło tego domu i pod jodłami, ujrzeć w twoim towarzystwie wszystko to, co już znam, chociaż dotąd nie widziałam!

Heidi zrobiła wielki wysiłek i udało jej się pięknie zatoczyć wózek po suchej murawie, aż pod jodły. Tu się zatrzymano. Klara wpadła znowu w zachwyt na widok ogromnych, starych drzew o grubych, aż do ziemi spadających konarach. Babunia, towarzysząca dzieciom, również stanęła pełna podziwu. Spoglądała, nie wiedząc, co jest piękniejsze, czy pełne korony, szumiące w błękicie, czy proste kolumny pni, od tak długiego czasu królujące nad doliną, zawsze te same i niezmiennie, wśród ciągłego zjawiania się i znikania ludzi i rzeczy.

Heidi zatoczyła Klarę pod obórkę kóz i otworzyła drzwi. Nie było wiele do zobaczenia, gdyż kozy poszły na pastwisko. Klara wykrzyknęła z żalem:

— Droga babuniu! Chciałabym zobaczyć Białuszkę i Buraskę, a także Pietrka i resztę trzody! Co będzie, jeśli mamy codziennie wracać tak wcześnie, jak mówiłaś? Co za szkoda!

— Dziecko drogie — odparła, idąc za wózkiem. — Radujmy się tym pięknem, które mamy, nie myśląc, że jeszcze nam czegoś brak.

— Ach, cóż za kwiatki! — wykrzyknęła, posuwana coraz dalej Klara. — Całe krzaki czerwonych i błękitnych dzwonek, kiwających kielichami. Chciałabym wstać i je przynieść.

Heidi poskoczyła i wróciła z wielkim bukietem.

— To nic jeszcze, droga Klarcu! — powiedziała, kładąc je na kolanach przyjaciółki. — Kiedy będziesz ze mną na pastwisku, zobaczysz coś niesłychanego. Rosną tam całe lasy centurii, dzwonek i tysiące lśniących żółtych jak złoto złotojeści. Poza tym są wielkie liście, rosnące kępami, i brązowe kwiatuszki, pachnące przecudnie. Gdy się usiądzie na trawie, tak wszędzie wokoło pięknie, że nie sposób wstać.

Heidi ogarnęła wielką chęć, by zobaczyć to, o czym mówiła, a jej zapał odbił się w rysach Klarcu i jej łagodnych modrych oczach.

— Babuniu! Prawda, że to zobaczę? — spytała żałośnie. — Przecież da się wózek zatoczyć tak wysoko? O, gdybym mogła chodzić i biegać wszędzie razem z Heidi!

— Ja cię już zawiozę! — zapewniła ją, potem wzięła taki rozmach na skrócie wkoło domu, że wózek omal nie spadł z góry. Szczęściem Halny Dziadek zatrzymał go w samą porę.

Podczas wizyty pod jodłami dziadek nie próżnował. Przed ławą stał już nakryty stół i stołki, w izbie buchała para z kociołka, a na wielkim widelcu skwierczał ser. Wkrótce zasiedli wesoło do uczyty.

Babunia nachwalić się nie mogła tej wspaniałej jadalni, skąd widać było dolinę, góry i błękitne niebo. Lekki wietrzyk chłodził ich i szemrał tak prześlicznie w jodłach, jakby to była biesiadna muzyka, umyślnie sprowadzona.

— Nie widziałam dotąd czegoś takiego! To wspaniałe! — powtarzała raz po raz babunia. — Cóż to ja widzę? — wykrzyknęła nagle z najwyższym zdziwieniem. — Klarcia bierze już drugi kawałek pieczonego sera!

Tak było istotnie. Na kromce Klary złościła się spora porcja znakomitego sera.

— To takie dobre, babuniu, lepsze niż obiad w Ragaz — zaręczyła, zatapiając zęby w wonne jedzenie.

— Proszę, proszę! — zachęcał wesoło dziadek. — To nasz górski wiatr pomaga, uzupełniając braki kuchni.

Ucztowano więc dalej, a babunia doskonale rozumiała się z dziadkiem. Toteż rozmawiali coraz żywiej, odkrywając te same zapatrywania na ludzi, rzeczy i przeznaczenie świata, jakby od długich lat łączyła ich bliska przyjaźń. Czas mile upływał, w końcu jednak babunia zauważyła:

— Pora nam myśleć o powrocie, Klarciu. Słońce zachodzi, niedługo przyjadą ludzie z koniem i noszami.

Klara posmutniała od razu i zaczęła prosić nalegająco:

— Jeszcze tylko godzinę albo dwie! Nie byliśmy nawet przecież wewnątrz domu, nie widziałam mebli i łóżka Heidi. Szkoda, że ten dzień nie potrwa jeszcze z dziesięć godzin!

— To niemożliwe! — odparła babunia. — Ale zwiedzimy jeszcze wewnątrz.

Wstali od stołu, a dziadek silną dłonią zaczął toczyć wózek Klary, który niestety utknął pod drzwiami, był bowiem za szeroki. Dziadek, niewiele myśląc, wziął Klarę w ramiona i wniósł do izby.

Babunia zaczęła spieszenie chodzić tu i tam, oglądać wszystko i wychwalać czystość i porządek.

— Tam na górze jest pewnie twoje posłanie, Heidi? — spytała i weszła zaraz na wąską drabinkę. — O, jaki zapach! — wykrzyknęła z góry. — Jakże zdrowo tutaj spać!

Dziadek wniósł Klarę, a za nim wskoczyła Heidi jak wiewiórka.

Otoczyli pięknie zasłane i starannie wymuskane leże. Babka spoglądała na nie w zamysleniu, wdychając woń, a Klara była wprost w siódmym niebie.

— O jakże ślicznie wymyślone! — zawołała. — Możesz wprost z łóżka patrzeć w niebo, pachnie siano i słychać szum jodeł. Nigdy nie widziałam tak wesołej sypialni.

Halny Dziadek spojrział na babunię spod oka.

— Przyszło mi coś do głowy — rzekł — i miło by mi było, gdyby pani babunia mi uwierzyła i nie sprzeciwiała się. Panna Klarcia przyszłaby na pewno do sił, gdyby została tu u nas przez pewien czas. Jest dość chustek i kołder, z których można zrobić doskonałe legowisko. O pielęgnowanie panienki bać się nie ma co, gdyż biorę to na siebie.

Dziewczęta wydały radosny pisk jak wypuszczone na wolność ptaki, a twarz babuni promieniała niby słońce.

— Nieoceniony z pana człowiek, drogi Halny Dziadku! — zawołała. — Właśnie to samo myślałam. Powiedziałam sobie, że pobyt w tym powietrzu i ciszy byłby dla Klarci doskonałym środkiem wzmocnienia sił. Ale to zbyt wielki trud dla gospodarza, mnóstwo niewygód i zachodu. Nagle pan sam to wypowiada i to w sposób najprostszy w świecie, jakby szło o drobiazg. Dziękuję gorąco, dziękuję gorąco, z całego serca!

Babunia zaczęła potrząsać dłonie dziadka, a on długo ścisnął jej rękę, bardzo się ciesząc.

Przystąpił zaraz do działania. Zniósł Klarę, posadził ją w wózku pod chatą, potem zaś obładował się chustkami, kołdrami i futrami i rzekł z uśmiechem:

— Dobrze, że pani babunia przywozła tyle odzieży, jak na wojenną wyprawę zimową. Przyda się teraz.

— Drogi panie — powiedziała żywo — ostrożność to wielka cnota i chroni przed niejednym. Każdy wie, że w waszych górach często panują burze, ulewy i wyją wichry. Dzięki Bogu, mamy teraz pogodę, ale i tak przydaje się mój zapas. Jesteśmy więc jednego zdania.

Wyszli oboje na strych i usłali na sianie grubą warstwę, tak że legowisko przybrało postać fortecy.

— Przez to nie przeniknie ani jedno źdźbło! — powiedziała babunia, próbując ręką, i istotnie, tak grubego wału żadne nie mogło przebić.

Zadowolona, zeszła z dziadkiem do dziewczynek, które siedząc przytulone do siebie, układały plan tego, co robić będą przez czas pobytu Klarci na hali. Szło o to, jak długo zostanie, i pytanie to przedłożono zaraz babuni. Odparła, że zdecydować musi sam dziadek. Gdy go spytano, powiedział, że po czterech tygodniach okaże się, czy pobyt na hali służy Klarze. Wybuchnęły radosnymi okrzykami, gdyż termin ten przekraczał ich wszelkie nadzieje.

W tej chwili dostrzeżono ludzi idących z krzesłem i koniem. Pierwszych zawrócono od razu.

Gdy babunia miała dosiadać wierzchowca, Klara zawołała wesoło:

— Odjeżdżasz, droga babuniu, lecz to nie jest rozstanie, gdyż będziesz wracała często zobaczyć, co robimy, i zawsze się możemy na to cieszyć, prawda, Heidi?

Odpowiedziała tylko podskokiem radości.

Babunia wsiadła, a dziadek ujął konia za uzdę, by sprowadzić go po stromej ścieżce. Oponowała, żeby miał iść aż tak daleko, ale oświadczył, że już dość ciemno, a jazda po zboczu nie jest wolna od niebezpieczeństw.

Babunia nie chciała zostawać sama jedna w osiedlu. Postanowiła wrócić do Ragaz i stamtąd dojeżdżać na halę.

Zanim nadszedł dziadek, zjawił się Pietrek z kozami. Zwierzęta zaraz spostrzegły Heidi i obieły ją, tak, że obie znalazły się pośrodku trzody rozbrykanych i stłoczonych kóz. Korzystając z tego, przedstawiła przyjaciółce wszystkie po kolei, a Klara zapoznała się w końcu z małą Śnieżką, wesołą Ziębulką, elegantkami dziadka, a nawet z wielkim Trykaczem. Pietrek stał z boku i rzucał rozpromienionej Klarze zabójcze spojrzenia.

Na pożegnanie rzuciły mu wesołe „Dobranoc”, ale nie odpowiedział, tylko popędził na dół, machając batem, jakby chciał poszarpać powietrze w strzępy. Kozy pognały za nim.

Wszystkie te uciechy Klary otrzymały jeszcze piękne zakończenie.

Gdy położyła się na miękkiej pościeli obok Heidi, ujrzała naprzeciw przez okrągły otwór duży kawał nieba, usiany mrugającymi gwiazdami.

— Heidi! — zawołała radośnie. — Wydaje mi się, jakbym jechała do nieba na wielkim, otwartym wozie.

— To prawda! A czy wiesz, dlaczego gwiazdy mrugają tak wesoło?

— Nie wiem. Co masz na myśli?

— Dlatego że wiedzą, będąc w niebie, iż Bóg urządził wszystko jak najlepiej dla ludzi, że nie mamy potrzeby bać się i troszczyć, ufając mu tylko w zupełności. Cieszy je to i mrugają, by nas zachęcić do radości. Nie wolno nam tylko zaprzestać modlitwy, prosząc Boga, by o nas pamiętał, gdyż inaczej wszystko obróciłoby się na złe.

Usiadły obie, zmówiły pacierz, potem Heidi złożyła głowę na ramieniu i zasnęła natychmiast. Ale Klara długo jeszcze nie spała, gdyż taki nocleg pod światłem gwiazd był dla niej zupełną nowością, w życiu nie zaznaną.

Rzadko nawet widywała gwiazdy. W nocy była zawsze w domu, a zanim się jeszcze pokazały, zaciągano gęste firanki. Otwierała więc raz po raz oczy, żeby się przekonać, czy dwie największe ciągle jeszcze błyszczą i mrugają, jak mówiła Heidi. Błyszczały ciągle, a Klara chłoneła w siebie ten blask, aż w końcu opadły jej powieki i zasnęła, przez sen widząc nad sobą dwa świetlne punkty.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY. DALSZY BIEG SPRAW NA HALI

Słońce wzniosło się właśnie ponad skały, zalewając złotą poświatą chatę i dolinę. Halny Dziadek, jak każdego dnia, objął wszystko skupionym spojrzeniem.

Robiło się coraz jaśniej, znikwały cienie, płynęły różowe obłoki, aż wreszcie lasy, góry i hale zalała świetlna powódź.

Dziadek wrócił cicho do chaty i wszedł po drabinie. Klara właśnie otworzyła oczy, patrząc z niemym podziwem na snopy promieni wpadających przez otwór w dachu i tańczących po pościeli. Nie wiedziała, gdzie jest i co widzi, dopiero widok śpiącej jeszcze Heidi i życzliwy głos dziadka oprzytomnił ją:

— Dobrze się spało? Panna Klarcia nie zmęczona? — spytał.

Zapewniała, że nie czuje zmęczenia i że przez całą noc spała kamiennym snem. Spodobało mu się to i zaczął jej pomagać w ubieraniu z taką wprawą, jakby od urodzenia pielęgnował chore dzieci.

Heidi otworzyła oczy i zobaczyła z podziwem, że dziadek znosi na dół ubraną już przyjaciółkę. Zerwała się błyskawicznie, zarzuciła odzież, zbiegła po drabinie i stanęła przed chatą, zdumiona tym, co robi dziadek. Wczoraj wieczór, po odejściu dziewcząt na spoczynek, zaczął rozmyślać, gdzie umieścić wózek Klary, zbyt szeroki, żeby nim wjechać

przez drzwi chaty. Wyjął z tylnej ściany szopy dwie deski, wprowadził wózek przez otwór i zastawił deskami, nie przybijając ich jednak. Heidi nadbiegła właśnie w chwili, gdy wiozł siedzącą już Klarę. Zostawił ją na środku polanki i poszedł do koziej obórki. Heidi podeszła do przyjaciółki.

Świeży powiew orzeźwiał ich twarze i niósł im żywiczny zapach drzew. Krzepiło je czyste powietrze alpejskie, przepojone słońcem. Klara chwyciła je w piersi, siedząc oparta o poręcz wózka, i ogarnęła ją nieznana dotychczas rozkosz.

Nie spędziła dotąd letniego ranka poza pokojem, nie czuła takiego powiewu i nie patrzyła na takie słońce. Promienie nie parzyły, a pod jej stopami rosła wonna trawa. Nie wyobrażała sobie hali w ten sposób.

— O, droga Heidi! — powtarzała raz po raz, zwracając się we wszystkie strony, by lepiej użyć słońca i powietrza. — O, droga Heidi! Chciałabym tu z tobą zostać na zawsze.

— Przekonałaś się więc, że nie przesadziłam, iż na hali u dziadka jest najpiękniej na całym świecie! — odparła radośnie.

Dziadek wyszedł z drzwi obórki, niosąc dwie czarki pianistego, białego mleka, i podał im naczynia.

— To pannie Klarci dobrze zrobi! — rzekł, zachęcając ją ruchem głowy. — Mleko Białuszki bardzo wzmacnia. Na zdrowie! Proszę, proszę!

Klara nie piła dotąd koziego mleka i bezwiednie powąchała je. Widząc, z jaką chciwością Heidi wychyla jednym haustem swoją czarkę, zaczęła pić i... o dziwo... mleko było słodkie, silne, jakby z cukrem i cynamonem. Wypiła do dna swą czarkę.

— Jutro dostanie panna Klarca dwie czarki! — powiedział dziadek, zadowolony, że Klara poszła za przykładem Heidi.

Właśnie zjawił się Pietrek ze swoją trzodą. Dziewczęta zaczęły witać zwierzęta na dzień dobry, a dziadek odwiódł Pietrka na stronę, by mógł go słyszeć mimo rozgłośnego beczenia kóz uradowanych widokiem Heidi.

— Słuchaj uważnie! — przykazał mu. — Od dziś zostawisz Białuszcę swobodę. Niech się pasie, gdzie chce. Rozpozna najlepsze zioła, ty tylko idź za nią, choćby przyszło wspinać się po skałach. Ona się na tym zna lepiej od ciebie, a chcę, by dawała mleko posilne i dobre w smaku. Rozumiesz? Cóż patrzysz spode łba, jakbyś chciał kogoś połknąć? No, a teraz ruszaj w drogę!

Pietrek nawykł ślepo słuchać dziadka, zebrał więc stado i poszedł, ale widocznie coś mu doskwierało, bo wciąż obracał głowę i spoglądał srogo. Odbiegające kozy porwały ze sobą Heidi kawałek drogi. Było to Pietrkowi na rękę.

— Musisz ze mną iść! — krzyknął, machając batem. — Teraz, kiedy trzeba chodzić za Białuszką, jesteś mi potrzebna do pomocy!

— Nie, nie! — odparła. — Przez długi czas nie przyjdę na pastwisko. Przez cały pobyt Klary, chyba że ją tam na górę dziadek zanieś, jak obiecał.

To rzekłszy, wydostała się ze stada i pobiegła do Klary. Na ten widok Pietrek podniósł pięść, wygrażając wózkowi. Potem ruszył pospiesznie za biegnącymi kozami, gdyż nie był pewny, czy dziadek nie dostrzegł tego wygrażania, a nie chciał nawet wiedzieć, jakie wrażenie mógł tym na nim wywołać.

Przyjaciółki miały na dziś tyle planów, że nie wiedziały, od czego zacząć. Heidi zaproponowała, by najpierw napisać list do babuni, gdyż obiecały, że co dzień otrzyma wiadomość. Babunia miała wątpliwości co do skutków długiego pobytu Klary na hali, toteż zobowiązała dziewczęta do codziennych listów ze wszystkimi szczegółami. Mogła spokojnie przebywać w kąpielach, wiedząc, kiedy będzie czas jechać na halę.

— Czy musimy wracać do izby? — spytała Klara. — Może by list napisać tutaj, gdzie mi jest tak dobrze, że nie chciałabym odchodzić.

Heidi znalazła na to radę. Wbiegła do izby, przyniosła swoje przybory szkolne i mały zydelek. Wróciwszy, położyła na kolanach Klary zeszyt i książkę, by mogła pisać, potem usiadła na zydelku przed ławką. Pisały przez jakiś czas. Klara po każdym zdaniu odkładała ołówek i patrzyła wokół. Było przepięknie, wiatr nie orzeźwiał już, ale ciepłym tchnieniem ogarniał wszystko, szmerząc z lekka w jodłach. W powietrzu z brzękiem tańczyły wesołe komary, a wielka cisza ogarniała całą okolicę. Wysokie skały spoglądały poważnie, a głęboki spokój przerywały tylko radosne okrzyki pasterzy, które echa niosły daleko.

Ranek minął niepostrzeżenie. Zjawił się dziadek z kipiącym mlekiem i złocistym serem i powiedział, że Klara zostanie na dworze aż do zachodu. Podobnie jak wczoraj obiad spożyto przed chatą. Potem Heidi zawiozła Klarę pod jodły, a ona, siedząc w cieniu, zaczęła jej opowiadać, co zaszło od czasu wyjazdu Heidi z Frankfurtu. Mimo że wszystko szło normalnym trybem, było do opowiedzenia mnóstwo szczegółów o dobrze znanych osobach.

Siedziały tak przez całe poobiedzie, rozmawiając, a im głośniej mówiły, tym głośniej śpiewały ptaki, którym ta paplanina wielce się podobała. Nadszedł wieczór i zaraz zjawiła się trzoda biegnących kóz, a za nią pasterz, nasrożony i zły.

— Dobranoc, Pietrku! — zawołała Heidi, widząc, że nie myśli się zatrzymać.

— Dobranoc, Pietrku! — powtórzyła Klara życzliwie.

Nie odpowiadając wcale, pognął kozy dalej.

Na widok Białuszki, którą dziadek prowadził do obórki, Klara nagle tak bardzo zapragnęła wonnego mleka, że trudno jej się było doczekać, aż dostanie. Sama była tym bardzo zdziwiona.

— Szczególna rzecz, droga Heidi! — odezwała się po chwili. — Dotąd wmuśzono we mnie jedzenie, które zawsze miało smak tranu. Żalowałam nieraz, że trzeba w ogóle jadać! Teraz zaś nie mogę się doczekać mleka.

— Rozumiem to dobrze! — skinęła Heidi, której utkwiło w pamięci, że podczas pobytu we Frankfurcie nie mogła nieraz niczego przelknąć. Dla Klary było to nowością, dlatego że dotąd nie spędziła całego dnia w świeżym, rzeńskim górskim powietrzu.

Gdy dziadek przyniósł mleko, Klarcia prędko pochwyciła swoją czarkę i przytknąwszy do spragnionych warg, wypila jeszcze prędzej niż Heidi.

— Czy mogę prosić jeszcze o troszkę mleka? — spytała dziadka.

Skinął, zadowolony, i zabrawszy obie czarki, wszedł do chaty. Gdy wrócił, miały czarki pokrywki, ale z innego materiału, niż to bywa zazwyczaj.

Dziadek zrobił tego popołudnia dalszą wycieczkę do juhasów<sup>50</sup> w Maiensaess, którzy wyrabiali słodkie, jasnożółte masło. Przyniósł stamtąd wielki, piękny krąg. Ukroił dwie spore kromki chleba i grubo posmarował. Była to kolacja arcywyśmienita, toteż obie zatopiły zaraz zęby w apetyczne jedzenie, a dziadek przyglądał się im z zadowoleniem.

Gdy Klara legła potem na posłaniu, chcąc patrzeć w mrugające gwiazdy, stało się z nią to, co z Heidi. Oczy jej nakryły się powiekami i zapadła w zdrowy sen, jakiego dotąd jeszcze nie zaznała.

Tak rozkosznie minął też dzień następny i jeszcze jeden, po czym spotkała dziewczęta wielka niespodzianka. Dwaj mocni górale przynieśli na plecach dwa piękne, nowiuieńkie łóżka wraz z całą pościelą, przykryte jednakowo białymi koldrami, i oddali list od babuni. Babunia pisała, że łóżka są przeznaczone dla Klary i Heidi, a legowisko z siana ma zostać usunięte. Heidi miała odtąd sypiać w prawdziwym łóżku, które na zimę powędruje do osiedla, zaś łóżko Klary zostanie na hali i będzie czekać jej powrotu na następne lato. Pochwaliła obie za codzienne obszerne listy, polecając, by tak robiły dalej, gdyż chce brać udział we wszystkim, co przeżywają.

Dziadek rzucił dotychczasowe legowisko na kupę siana, usunął chustki i koce, przy pomocy tragarzy wywindował łóżka na górę i zsunął je razem tak, by stanowiły jedno, a tym samym dziewczęta nie utraciły tej wielkiej przyjemności patrzenia przez otwór na gwiazdy i wschód słońca.

Tymczasem babunia przebywała w Ragaz, ciesząc się dobrymi wiadomościami, otrzymywanymi codziennie z hali.

Klara była co dnia bardziej rozradowana nowym sposobem życia, dobrocią i troskliwością dziadka oraz wesołością i dowcipami Heidi, jeszcze lepszymi niż z czasu pobytu we Frankfurcie. Każdego dnia, budząc się, myślała: „Dzięki Bogu, nadal jestem na hali!”.

Uspokojona tymi pomyślnymi wiadomościami, babunia postanowiła odłożyć nieco wycieczkę, co jej było na rękę, gdyż długie jazdy konne w górę i na dół, po stromym zboczach, nużyły ją trochę.

Dziadek przywiązał się do swej wychowanki i codziennie obmyślał coś dla wzmocnienia jej zdrowia. Odbywał teraz ciągle dalekie wędrówki w góry, wracając z naręczami ziół

<sup>50</sup>juhas — młody pasterz owiec. [przypis edytorski]

tak wonnych, że kozy, przechodząc koło jego obórki, rzucały się gromadą, by je schrupać. Ale dziadek zamykał dobrze drzwi. Nie po to chodził za rzadkimi ziołami, by dawać przysmaki cudzym kozom. Pasza ta przeznaczona była wyłącznie dla Białuszki, żeby dawała jeszcze pożywniejsze mleko. Dobrze jej to robiło, podnosiła coraz wyżej głowę, skakała wysoko i groźnie błyskała oczyma.

Nadszedł trzeci tydzień pobytu Klary na hali. Teraz dziadek każdego ranka pyta, sadzając ją w wózku:

— Może panna Klarcia spróbuje stać przez chwilę na ziemi?

Próbowała zrobić mu tę przyjemność, ale żaliła się zawsze:

— To tak boli!

Potem czepiała się go oburącz, on jednak za każdym razem ciągle przedłużał próby.

Tak pięknego lata dawno nie było na hali. Promieniste słońce błyszczało na bezchmurnym niebie, kwiaty rozwierały kielichy, wabiły oko i pachniały, zaś o zachodzie purpura oblewała skały, zamieniając pole śniegowe w ogromne jezioro ognia.

Heidi nieraz opowiadała przyjaciółce o tych cudach, które należycie oglądać było można tylko z pastwiska. Kwitło tam na zboczach tyle kwiatów, że cała trawa wydawała się czerwona od centurii, złota od złotojeści i błękitna od gencjan, a woń brązowych, małych kwiatków wprost odurzała, tak że trudno było wstać i odejść z miejsca, gdzie rosły.

Tego dnia, siedząc pod jodłami, Heidi rozwodziła się szeroko o kwiatach i czarach zachodu, gdy porwało ją nagle takie pragnienie zobaczenia tego wszystkiego, że wstała i pobiegła do dziadka, zajętego w szopie.

— Dziadku! — zawołała już z daleka. — Chodź z nami jutro na pastwisko! Tam teraz tak pięknie!

— Zgoda! — odparł. — Ale panna Klarcia przyrzeknie mi, że dziś wieczór długo będzie próbowała chodzić.

Heidi zaniósła tę wieść przyjaciółce, która przyrzekła próbować chodzić, jak długo tylko dziadek zechce, gdyż rozradowała ją bardzo nadzieją ujrzenia pastwiska. Ucieszyło to Heidi, tak że krzyknęła z dala do Pietrka nadchodzącego wieczorem z kozami:

— Pietrku! Jutro idziemy wszyscy z tobą na pastwisko i zostaniemy przez cały dzień.

Pietrek mruknął coś w odpowiedzi, niby rozjuszony niedźwiedź, i ciął z wściekłością batem w idącą obok niego niewinną Ziębulkę, która jednak spostrzegła to dość wcześnie, przeskoczyła przez Śnieżkę, a cios trafił tylko powietrze.

Dziewczęta położyły się dnia tego do pięknych łóżek, pełne oczekiwania. Postanowiły nie spać przez całą noc, tylko omawiać plan wycieczki, ale zaledwie ich głowy dotknęły poduszek, rozmowa ustała. Klara zobaczyła przed sobą ogromne pole błękitnych gencjan i dzwonek, a Heidi usłyszała wyraźnie nawoływanie krążącego w górze drapieżnego ptaka:

— Chodźcie, chodźcie do mnie!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI. DZIEJE SIĘ COŚ, CZE- GO NIKT NIE OCZEKIWAŁ

Nazajutrz o świcie dziadek wyszedł z chaty, by zbadać stan pogody.

Szczyty skał paliły się złoto-różowym blaskiem, powiewał rześki wietrzyk, poruszając gałęzie jodeł. Wschodziło słońce.

Starzec patrzył przez chwilę w skupieniu na złoćące się coraz to bardziej szczyty i zielone wzgórza, na znikające w dolinach cienie. Stał tak, aż słońce wzeszło.

Poszedł potem do szopy, zdjął deski, wyciągnął wózek Klary, następnie zaś wszedł do izby oznajmić dziewczętom, że czas wstawać.

W tej chwili właśnie zjawił się Pietrek z kozami, które nie sły, jak zawsze w porządku przed nim i za nim, ale skakały dziko na wszystkie strony, gdyż rozwścieczony chłopak śmigał batem bez powodu na oślep, zadając bolesne razy. Doszedł do ostatecznych granic złości i rozgoryczenia. Od długich tygodni utracił towarzystwo Heidi, do którego nawykł. Ile razy nadszedł z dołu, wynoszono już obcą pannę i sadzano w wózku, a Heidi była wyłącznie nią zajęta. Ile razy wracał, nieznośny wózek wraz z właścicielką stał pod jodłami, a zagadana z przyjaciółką Heidi wcale nie zwracała na niego uwagi. Przez najpiękniejszy

czas lata nie poszła z nim ani razu, dziś zaś miała wprawdzie pójść, ale wraz z obmierzłym wózkiem i paplą przez cały dzień z Klarą. Przewidywał to, oczywiście, i szalał ze złości. W tej chwili zobaczył swego wroga, dumnie stojącego na kółkach. Kto wie zresztą, co dziś mu jeszcze zagrażało z tej strony. Rozejrzał się uważnie. Nie było nikogo. Jak dziki rzucił się na wózek, porwał go i pchnął ze zbocza, tak silnie, że wózek dał wielkiego susa i znikł natychmiast w przepaści.

Pietrek pobiegł w górę lotem strzały i zatrzymał się dopiero przy dużym krzaku jeżyn, gdzie mógł znaleźć kryjówkę, żeby nie zobaczył go Halny Dziadek. Widział stamtąd dobrze, co się dzieje z nieprzyjacielem. To, co ujrział, przepełniło go wielką radością. Wózek spadał coraz to szybciej, przewalał się, podskakiwał, opadał znowu na ziemię, słowem pędził niepowstrzymanie ku własnej zgubie.

Odpadały od niego różne kawałki, stopy, poręcze, poduszki, koła, a wszystko unosiło się wysoko w powietrzu. Pietrkiem zatrzęśła taka radość, że zaczął tupać, skakać w kółko i zawracać ciągle do swej kryjówki. Znowu wybuchał śmiechem, podrygiwał i skakał, słowem rozpierało go uczucie nieopisanego szczęścia. Był pewny, że teraz nastanie czas pomyślności. Ta obca odjedzie, nie mogąc się poruszać, Heidi zostanie sama, będzie razem z nim chodziła na pastwisko, przynosiła dużo jedzenia i wszystko wkroczy na dawne tory. Nie pomyślał jednak, że zły czyn ma groźne następstwa.

W tej chwili Heidi wybiegła z chaty i skierowała się ku szopie. Za nią nadszedł dziadek z Klarą na rękę. Heidi zastała otwarte drzwi, zdjęte deski, wszystko wewnątrz widać było jak na dłoni. Zajrzała kilka razy, potem obiegła szopę, dając oznaki wielkiego zdziwienia.

— Cóż to znaczy? — spytał dziadek, podchodząc. — Gdzie wózek?

— Szukam go wszędzie. Mówiłeś, dziadku, że stoi pod szopą! — odparła, rozglądając się wokoło.

Właśnie uderzył silniejszy wiatr i zastukał drzwiami szopy.

— Wiatr go strącił! — zawołała Heidi i oczy jej rozbłyły po tym odkryciu. — Ach, jeśli się stoczył aż do osiedla, nieprędko go dostaniemy z powrotem i przybędziemy na pastwisko za późno.

— Jeśli się aż tam stoczył, już po nim! — rzekł dziadek, spoglądając na dół. — Potrzaskany na nic, zapewne. Bardzo mnie to jednak dziwi — dodał, zauważywszy, że wózek musiałby najpierw okrążyć chatę.

— Cóż za szkoda! — biadała Klara. — Muszę pewnie wracać, kiedy nie ma wózka! O, jaka szkoda!

Heidi spojrzała na dziadka z pełnym zaufaniem i rzekła:

— Wiem dobrze, dziadku, że zaradzisz temu, by Klara nie musiała wracać do domu.

— Teraz idziemy na razie na pastwisko, jak było postanowione. Potem się okaże, co trzeba zrobić — odparł ku wielkiej radości dziewcząt.

Wszedł do izby, wyniósł naręcze chustek i okryć, ułożył je na słonecznym miejscu i posadził Klarę. Potem nakarmił obie dziewczynki i wyprowadził z obórki Białuszkę i Buraskę.

— Nie rozumiem, czemu chłopak dziś tak długo nie przychodzi? — zauważył dziadek, gdyż dotąd nie było słyhać porannego gwizdu Pietrka.

Wziął Klarę na ramię, na drugie zaś zarzucił sporo chustek.

— Chodźmy! — powiedział. — Kozy pójdą za nami.

Ucieszyło to Heidi. Objęła ulubienice za szyję i szła za dziadkiem, a Białuszka i Buraska tak były rozradowane jej towarzystwem, że mało nie rozdużyły czołami swej pani.

Na pastwisku zastali całą trzodę, pasącą się najspokojniej, i leżącego w całej okazałości Pietrka.

— Oduczę ja cię pomijając moją chatę i zapominając o kozach, ty śpiochu jeden! — krzyknął Halny Dziadek.

Pietrek zerwał się na dźwięk znanego głosu.

— Wszyscy jeszcze spali! — odparł.

— Czy widziałeś może wózek?

— Jaki wózek? — zawołał krnąbrnie.

Dziadek nie rzekł ani słowa więcej. Zrobił z chustek siedzenie, złożył na nim Klarę i spytał, czy jej wygodnie.



— Tak wygodnie, jak w wózku! — odrzekła z podziękowaniem. — Ach! Cóż to piękny stąd widok! — dodała, rozglądając się.

Dziadek życzył dziewczętom wesołej zabawy, polecił Heidi rozdzielić w porze obiadowej jedzenie ze złożonego w cieniu plecaka i kazał, by Pietrek wydoił Białuszkę i dał obu dziewczętom tyle mleka, ile tylko zechcą. Obiecał wrócić o zachodzie, wpierw jednak chciał zbadać sprawę z wózkiem.

Na ciemnym niebie nie było jednej chmurki, wielkie pole śniegowe błyszczało mnóstwem złotych i srebrnych gwiazd, szare olbrzymy skalne sterczały dumnie, jak od prawiaków, i patrzyły z powagą w dolinę. Wielki ptak krążył w lazurze, a spoza gór wiał orzeźwiający podmuch. Dziewczętom było niezmiernie błogo. Czasem przybiegała któraś z kózek i kładła się przy nich na chwilę. Najczęściej przytuliła się do Heidi mała Śnieżka i ustępowała dopiero odtrącona przez inną. Klara zapoznała się teraz z każdą z osobna i nauczyła się rozróżniać je po szczególnych cechach.

Oswojone szybko z Klarą, pocierały głowy o jej ramiona, co znamionowało wielką sympatię i bliską znajomość.

Po paru godzinach Heidi przyszła ochota, by zajrzeć w miejsce, gdzie rosło mnóstwo kwiatów, i przekonać się, czy kwitną. Pewnie już zamkną kielichy, gdy nadejdzie dziadek i zanieś tam Klarę. Pragnienie rosło z każdą chwilą i na koniec wybuchło:

— Czy nie sprawiłoby ci przykrości, droga Klarciu — spytała z wahaniem — gdybym na małą chwilkę zostawiła cię samą? Chcę tylko spojrzeć na kwiatki? Ale czekaj... — Heidi przyszła do głowy pewna myśl.

Zerwała rosnącą w pobliżu kępkę ziół, objęła za szyję Śnieżkę, która do niej podbiegła, i przyprowadziła ją do Klary.

— Teraz nie będziesz sama! — rzekła Heidi, naciskając z lekka kozę, która zrozumiałwszy, zaraz się położyła. Potem rzuciła pęczek ziół na kolana przyjaciółki, która chętnie przystała na to, by Heidi poszła na pole kwietne, ona zaś została w towarzystwie kozy.

Heidi pobiegła, Klara zaś podawała gałązkę po gałązce zwierzątku, które przytuliło się do niej z zaufaniem. Biedna Śnieżka, prześladowana ciągle w trzodzie, tu mogła wreszcie zażyć spokoju. Zachwycało to dziewczynkę, że jest sama na hali ze słabą kózką, która w niej widzi swą opiekunkę. Poczula pragnienie, by odzyskać siły i stać się pomocą dla innych, zamiast być od nich zależną. Nieznane dotąd myśli napłynęły jej do głowy, chciała żyć tu dalej w słońcu i szerzyć radość w sercach, jak teraz z tym kozłatkim. Poczula, że wszystko, co dotąd robiła, może być lepsze, piękniejsze, i obejmując Śnieżkę za szyję, wykrzyknęła:

— O, jakże tu pięknie, droga Śnieżko! Jakżebym chciała z wami zostać!

Heidi odnalazła tymczasem kwietne pole i wydała okrzyk zachwytu. Cała łąka wokoło stała się złota od złotojeści. W dali widniała fioletowa łąka dzwonek i błękitna gencjan. Pachniało tu, jakby ktoś rozlał balsam, a zapach ten szerzyły brązowe, niepozorne kwiatuszki, wytykające małe główki spośród złocistych kielichów złotojeści. Stała przez chwilę, oddychając tą falą, potem zawróciła pędem do Klary, zadyszana i podniecona.

— Musisz przyjść! Musisz koniecznie! — krzyknęła już z daleka. — Są precudne! A wieczorem pozamykają się pewnie. Zaniosę cię! Jestem silna!

Klara spojrzała na nią ze zdziwieniem i potrząsnęła głową.

— Cóż to za pomysł, Heidi? Jesteś dużo mniejsza ode mnie. Ach, czemuż nie mogę chodzić?

Heidi rozejrzała się. Wpadło jej do głowy coś nowego. Pietrek siedział niedaleko i gapił się na dziewczęta. Od całych godzin trwał tak w bezruchu, jakby nie mógł pojąć, kogo ma przed sobą. Zniszczył wrogi wózek, żeby ta cudzoziemka pojechała sobie precz, na zawsze i żeby wszystko zostało po dawnemu. A oto w chwilę potem zobaczył ją na pastwisku i siedzi sobie, jak gdyby nigdy nic, przy Heidi. Było to niemożliwe, a stało się i Bóg wie, jak długo jeszcze może trwać.

Heidi spojrzała na niego.

— Pietrek, chodź tu! — krzyknęła.

— Nie przyjdę! — wrzasnął.

— Musisz przyjść! Sama nie dam rady, pomożesz mi! Chodź zaraz!

Góry

Zwierzęta

— Nie przyjdę!

Heidi przyskoczyła do niego i powiedziała z rozbłyśniętymi oczyma:

— Pietrku! Jeśli natychmiast nie przyjdiesz, zrobię coś, co ci nie będzie mile, zaręczam!

Pietrek poczuł ukłucie w sercu i ogarnął go ogromny strach. Popelniał zły czyn, o którym nikt nie powinien był wiedzieć. Cieszyło go to dotąd, ale ze słów Heidi wynikało, że wie wszystko. Mogła powiedzieć dziadkowi, a dziadka bał się Pietrek bardziej niż wszystkich innych ludzi. Gdyby powiedziała o wózku! Trząśł nim coraz to gorszy strach. Wstał i zbliżył się.

— Idę! — rzekł. — Ale nie zrób tego!

Powiedział to tak żałośnie, że wzbudził litość Heidi, toteż zapewniła:

— Nic nie zrobię. Chodź tylko mi pomóc. Nie ma w tym nic zresztą strasznego.

Podszedłszy do Klary, kazała, by Pietrek wziął ją z jednej strony pod rękę, sama stanęła po drugiej. Podnieśli ją jako tako. Ale trudno było posuwać się naprzód, skoro nie mogła stapać, a w dodatku Heidi była za niska.

— Obejmij mnie mocno za szyję! — poleciła. — Pietrek niech cię trzyma mocno pod ramię i tak cię poniesiemy.

Ale Pietrek nikomu jeszcze w życiu nie podawał ramienia, trzymał więc rękę Klary sztywno przyciśniętą jak kij.

— Nie tak! Nie tak, Pietrku! — powiedziała Heidi stanowczo. — Zwiń ramię w kółko, a Klara przesunie rękę, potem musisz przycisnąć mocno i nie puszczać za żadną cenę, a w ten sposób damy radę.

Wykonali plan. Ale nie wiodło się. Klara była dość ciężka, zaprzęg nierówny, teren przy tym opadał i wznosił się, co psuło równowagę.

Klara próbowała używać własnych nóg, to jednej, to drugiej, ale po chwili zaprzestała.

— Postaw stopę mocno! — poradziła Heidi. — Na pewno nie będzie cię bardzo bolało.

— Tak sądzisz? — spytała Klara z wahaniem.

Postawiła twardo jedną, potem drugą nogę, wydając okrzyk bólu.

Potem stąpnęła ostrożniej i rzekła z radością:

— Dużo mniej boli.

— Powtórz raz jeszcze! — nalegała Heidi.

Klara zaczęła stawiać krok za krokiem i naraz krzyknęła:

— Heidi! Ja chodzę! Chodzę! Popatrz no! Mogę robić krok za krokiem!

Heidi była w siódmym niebie.

— Tak, tak, chodzisz o własnej sile! Chodzisz całkiem dobrze! Szkoda, że nie ma tu dziadka! Chodzisz świetnie! — powtarzała raz po raz z zachwytem.

Klara trzymała się towarzyszy, ale szła coraz lepiej. Czuli to wszyscy troje.

— Teraz możemy codziennie chodzić na pastwisko i spacerować po całej hali, gdzie nam się podoba! — mówiła Heidi. — Będiesz do śmierci chodziła, nie trzeba ci wózka, gdyż odzyskałaś zdrowie. To dla mnie największa radość!

Klara przytakiwała z całego serca. Zdrowie i możliwość poruszania się było to zaiste ogromne szczęście. Nie czuła się już teraz przykuta do wózka i była jak inni ludzie.

Niedaleko mieli do kwiatnych pól. Już z daleka widać było lśnienie złotych złotojeści. Dotarli do fioletowych dzwonek i błękitnych gencjan, wyrastających wszędzie kępami, a Klara rzekła:

— Usiądźmy tutaj.

Usiedli wśród kwiatów, a Klara po raz pierwszy zajęła miejsce na suchej, cieplej ziemi alpejskiej, co ją bardzo uradowało. Mieli wokoło siebie falujące łany dzwonek, połyskliwy dywan żółtych złotojeści, wysokie kępy centurii, a wdychali żywiczną woń małych, brązowych kwiatków, zwanych tu prunelkami. Jakie piękne było to wszystko!

Mimo że Heidi знаła te miejsca, musiała przyznać, że tak pięknie nie bywało tu nigdy jeszcze. Przyjście Klary do zdrowia przepajało wszystko nierównie większym urokiem. Po chwili Klara z wielkiego zachwyty umilkła i zaczęła rozmyślać nad zupełnie nowymi możliwościami życia, które otwierało jej to, co zaszło. Serce nie mogło pomieścić tego szczęścia, a blask słońca i woń oszołomiły ją do reszty.

Pietrek także leżał bez ruchu wśród kwiatów, bowiem zasnął.

Powiewał tu lekki wiatr, osłabiony ścianą skał, szumiąc po krzakach. Heidi wstawała raz po raz, biegając tu i tam, gdyż wydawało jej się, że gdzie indziej jest jeszcze piękniej, rośnie więcej kwiatów i mocniej pachną.

Godziny mijały.

Przeszło dawno południe, gdy zjawiała się grupa kóz. Szły prosto ku kwietnym polom.

Nie było to ich pastwisko, gdyż nie lubiły kwiatów. Wyglądały na posłańców trzody, z Ziębulką na przedzie. Szukały widocznie towarzyszy, którzy przekroczyli swą nieobecnością znany im dobrze czas. Ziębulka zabeczała głośno na widok odnalezionych, a inne odpowiedziały i cała grupa ruszyła truchtem ku siedzącym. Pietrek zbudził się, długo jednak musiał przecierać oczy, gdyż śnił mu się wspaniały, czerwony wózek, z żółtymi gwoździkami wokoło siedzenia, stojący pod szopą. Tymczasem zamiast gwoździ zobaczył tylko żółte złotojeście. Wrócił strach, że mimo przyrzeczenia Heidi sprawa może wyjść na jaw. Toteż całkiem posłusznie i troskliwie sprowadził Klarę na pastwisko, wraz z Heidi.

Gdy usiedli na dawnym miejscu, Heidi przyniosła pełny plecak. Widziała smakowite rzeczy, jakie do niego włożył rano dziadek, i cieszyła ją myśl, że Pietrkowi sporo się z tego dostanie. Robiąc wiadomą pogroźkę za krnąbrność, miała na myśli właśnie jedzenie, ale chłopak inaczej to sobie wytłumaczył. Wydobyła wszystko po kolei, zrobiła trzy równe, duże kupki i rzekła:

— To, czego nie zjemy, dostanie Pietrek jako dodatek.

Każde zabrało się do swojej porcji, ale jak było do przewidzenia, została jeszcze dodatkowa kupka dla Pietrka, równie wielka jak pierwsza. Zjadł wszystko w milczącym skupieniu, nawet okruszyny, ale nie z taką radością jak zawsze. Coś mu ciążyło na żołądku, coś gniotło i zatrzymywało każdy kąsek w gardle.

Wzięli się tak późno do obiadu, że niedługo nadszedł dziadek. Heidi wybiegła naprzeciw, chcąc zaraz opowiedzieć, co zaszło. Ale wielkie podniecenie nie pozwalało jej znaleźć słów. Mimo to zrozumiał i żywa radość rozpromieniła jego twarz. Przyspieszył kroku i rzekł, podchodząc do Klary:

— Próba się powiodła!

Potem podniósł ją, otoczył lewym ramieniem, podał prawą rękę jako pewną podpórę, a Klara, będąc tak zabezpieczona, maszerowała jeszcze śmielej i wytrwalej niż przedtem.

Heidi skakała wokół nich, a dziadek wyglądał tak, jak gdyby go spotkało wielkie szczęście. Potem rzekł:

— Nie trzeba przesadzać. Czas wracać!

Wziął Klarę na ręce i ruszył zaraz ku domowi, wiedząc, że jego pupilka powinna odpocząć.

Późnym wieczorem Pietrek wrócił z kozami do osiedla i zastał sporą grupkę ludzi otaczających coś, niby wielki kłęb leżący na trawie. Popychali się i cisnęli, chcąc lepiej widzieć. Zrobił to samo i pchając w prawo i w lewo, wkręcił się do pierwszego szeregu.

Wielki Boże!

Na trawie leżało siedzenie wózka z wiszącym jeszcze tylnym oparciem. Piękna, czerwona skóra obita była wokoło świecącymi gwoździkami, świadcząc o jego wspaniałości w pierwotnym stanie.

— Widziałem, jak go toczono na górę! — oświadczył piekarz. — Wart był, jako żywo, najmniej pięćset franków. Jakże się to stało?

— Halny Dziadek powiedział, że został zmieciony przez wiatr! — zauważyła Barbara, podziwiając prześliczną skórę.

— Dobrze, że wiatr winien, nie kto inny! — podjął piekarz. — Dostałby mu się kryminal<sup>51</sup>. Gdy ten pan z Frankfurtu się dowie, rozpocznie na pewno dochodzenie. Co do mnie, to cieszę się, że nie padnie na mnie podejrzenie, gdyż od dwóch lat nie byłem na hali. Biada temu, kogo przyłapią!

Mówiono jeszcze to i owo, ale Pietrek miał dość. Wydostał się, jak mógł najciszej, z tłumu i ruszył pod górę pędem, jakby go ktoś ścigał, chcąc złapać za kołnierz. Słowa piekarza przejęły go nieludzkim strachem. Był pewny, że lada dzień przybędzie z Frankfurtu urzędnik policji, który przeprowadzi śledztwo i wszystko wywęszy. Oczywiście, zawłoką go do więzienia we Frankfurcie. Na tę myśl włosy mu stawały na głowie.

<sup>51</sup>kryminal — tu: areszt, więzienie. [przypis edytorski]

Wrócił zmieniony nie do poznania. Nie chciał jeść kartofli, nic nie odpowiadał, wlaż cym prędeż do łóżka i zaczął jęczeć.

— Piotruś znowu się musiał objeść szczawiu, że tak stęka! — zauważyła Brygida.

— Musisz mu dawać więcej chleba na drogę! — rzekła babka z litością. — Weź z mojej kromki.

Gdy dziewczęta się położyły, rozmawiały jeszcze chwilę, patrząc w gwiazdy.

— Czy nie przychodziło ci dziś na myśl, jak to dobrze, że Bóg nie ustępuje naszym najgorętszym modłom, jeśli ma dla nas coś lepszego? — rzekła Heidi.

— Czemu teraz o tym wspominasz?

— We Frankfurcie modliłam się ciągle o to, bym mogła zaraz wracać, a ponieważ to nie następowało, sądziłam, że Bóg nie słucha. Gdybym jednak była uciekła, nie przyjechałabyś na halę i nie ozdrowiała.

Klara zamyśliła się.

— Droga Heidi — rzekła — w takim razie nasze modlitwy są całkiem zbyteczne, gdyż Bóg z góry wie, co dla nas najlepsze.

— Nie sądz, by się nami opiekował w takim razie. Trzeba się codziennie modlić, nie zapominać o Bogu. Gdy zapomnimy, zapomni o nas także. To mi powiedziała babunia i dosłownie wszystko się potwierdziło. Wiesz co, Klaro, właśnie dziś musimy gorąco podziękować Bogu za zesłanie ci zdrowia.

— Słusznie mówisz! — odparła. — Dziękuję ci. Byłabym z wielkiej radości zapomniała.

Odmówiły pacierz, dziękując, każda na swój sposób, Bogu za wielką łaskę, jaką wyświadczył chorej tak długo Klarze.

Nazajutrz dziadek zaproponował, by napisały do babuni z prośbą o przyjazd, gdyż jest tu do zobaczenia coś nowego. Ale dziewczęta ułożyły inny plan. Chciały babuni sprawić niespodziankę. Klara miała się jeszcze wprawić w chodzeniu, tak by jej wystarczyła pomoc samej Heidi. Należało to utrzymać w tajemnicy. Dziadek, zapytany o czas tej poprawy, oświadczył, że nie upłynie więcej niż tydzień, toteż w najbliższym liście prosiły obie, by babunia o tej porze przybyła na halę.

Następne dni były dla Klary najmiłszymi z wszystkich spędzonych tutaj. Budziła się każdego ranka z okrzykiem:

— Jestem zdrowa! Nie potrzebuję wózka, ale mogę chodzić jak inni.

Potem następowało ćwiczenie w chodzeniu, dające coraz to lepsze wyniki. Przechadzki były coraz dłuższe, a apetyt wzrósł tak, że dziadek przynosił teraz wielki garnek mleka, napełniał jedną czarkę po drugiej, a grubo smarowane masłem kromki były coraz to większe i znikły coraz to spieszej. Nadszedł wreszcie koniec tygodnia, kiedy miała przybyć babunia.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI. ROZSTANIE Z NADZIEJĄ POWROTU

W przeddzień swego przybycia babunia wysłała na halę jeszcze jeden list z dokładnym oznaczeniem pory i list ten przyniósł rano Pietrek, idący z kozami na pastwisko. Dziadek stał już z obu dziewczętami przed chatą, a były tam także Białuszka i Buraska, potrząsające głowami, zadowolone ze świeżego powietrza. Dziewczęta głaskały je, życząc pomyślnej wycieczki. Dziadek przenosił pogodne spojrzenie z lśniących kóz na wyglądające doskonale dziewczęta i uśmiechał się.

Po chwili nadszedł Pietrek. Na widok grupy zbliżył się z wolna, podał list dziadkowi i uskoczył w bok, jakby przestraszony napaścią od tyłu. Potem zerwał się i ruszył biegiem pod górę.

— Dziadku! — spytała Heidi. — Czemuż to Pietrek robi takie skoki, jak wielki Trykacz czujący kij za sobą? Kręci głowę, trzęsie się i podskakuje dziko.

— Może czuje za plecami kij, na który zasłużył! — powiedział dziadek.

Pietrek przebiegł pierwsze zбочe, potem się zatrzymał i zaczął spoglądać i kręcić się na wszystkie strony, wreszcie zrobił płochliwy skok wstecz, jakby go ktoś złapał za kark. Wydawało mu się, że za każdym krzakiem czyha na niego ukryty urzędnik policyjny

z Frankfurtu. Im dłużej trwało to napięcie, tym większe się stawało, tak że nie miał chwili spokoju.

Heidi zaczęła uprzątać chatę, żeby babunia zastała porządek.

Klarze tak podobała się ta krzątająca, że śledziła każdy jej ruch.

Na tym minęły niepostrzeżenie godziny poranne i można już było oczekiwać przybycia babuni.

Dziewczęta usiadły przed chatą na ławie, czekając, co nastąpi dalej.

Dziadek wrócił z ogromnym bukietem ciemnoszafirowych gencjan, które tak pięknie wyglądały w porannym słońcu, że obie wydały okrzyk podziwu. Dziadek zaniósł kwiaty do izby. Heidi zrywała się co chwila, wypatrując przybycia babuni.

W istocie, niedługo ujrzała korowód. Przodem szedł przewodnik, za nim jechała babunia na koniu, a na końcu góral niosący całą stertę chustek i okryć w wielkim nosidle na plecach. Bez takiego bagażu babunia nigdy nie wyruszyłaby na halę.

Korowód zbliżał się coraz bardziej, aż wreszcie babunia z wysokości konia dostrzegła dziewczęta.

— Cóż to znaczy? — zawołała. — Czemuż nie siedzisz w swoim wózku, Klarciu? Czy to możliwe? — dodała z przerażeniem, schodząc pospiesznie z konia.

Zanim jednak jeszcze doszła do ławki, klasnęła w dłonie, wielce wzburzona.

— Czy to ty, Klarciu, czy nie ty? Nie poznaję! Skądżeś wzięła te krągłe policzki!

Chciała biec ku wnuczce, gdy nagle Heidi wstała z ławki, objęła Klarcię i obie odprawiły na trawie małą popisową przechadzkę. Babunia stanęła jak wryta, sądząc, że Heidi wyprawia jakieś niesłychane figle.

Ale przecież widziała wyraźnie, że Klara idzie śmiało i wprawnie. Po chwili dziewczęta zawróciły, rozpromienione i rumiane.

Babunia podbiegła ku nim, płacząc i śmiejąc się jednocześnie. Objęła Klarcię, potem Heidi, nie mogąc znaleźć słowa.

Wtem jej spojrzenie padło na stojącego obok ławki dziadka, który uśmiechał się do niej przyjaźnie. Babunia wzięła Klarę silnie pod ramię i ruszyła ku niemu, wydając ciągle okrzyki podziwu i zachwytu. Podeszedłszy blisko, puściła wnuczkę i uchwyciła oburącz rękę dziadka.

— Kochany, drogi, nieoceniony Halny Dziadku. To panu zawdzięczamy, pańskiej troskliwej opiece!

— A także Bogu, halnemu powietrzu i słońcu! — dokończył uśmiechnięty dziadek.

— I doskonałemu mleku Białuszk! — podkreśliła Klara. — Nie wyobrażasz sobie, babuniu, ile mogę teraz wypić koziego mleka!

— Widać to po twoich policzkach, Klarciu! — zaśmiała się. — Trudno cię poznać! Jesteś okrągła, różowa, wysoka. To coś niesłychanego! Trzeba natychmiast zatelegrafować do mego syna w Paryżu, by tu przybył. Nie podam mu powodu. To będzie największa radość jego życia. Drogi, kochany Halny Dziadku, jakże to zrobić? Odesłał pan już pewnie górali?

— Nie ma ich — odparł. — Ale jeśli pani babuni pilno, zawołam Pietrka-koźlarza. On ma dość czasu.

Babunia obstawała przy wysłaniu depezy, gdyż nie chciała tego szczęścia odsuwać od syna choćby o dzień.

Dziadek odszedł trochę na bok i gwizdnął przez palce tak przenikliwie, że echo odpowiedziało od skał. Wkrótce nadbiegł Pietrek. Znał to gwizdnięcie. Był trupio błąd, gdyż sądził, że dziadek wzywa go na rozprawę. Ale dostał tylko kawałek zapisanego przez babunię papieru, a dziadek polecił mu oddać go zaraz na poczcie w osiedlu. Zapłatę miał uiścić potem sam dziadek, gdyż Pietrek nie był zdolny załatwić tego wszystkiego naraz.

Wziął papier i odszedł z wielką ulgą, gdyż Halny Dziadek nie gwizdał na rozprawę, a urzędnik policyjny jeszcze nie przybył.

Wszyscy zajęli teraz spokojnie miejsca przy stole pod chatą i zaczęto opowiadać babuni szczegóły radosnego wydarzenia: dziadek zaczął robić z Klarą próby stawania i chodzenia, potem postanowiono udać się na pastwisko, następnie wiatr porwał wózek, Klara zrobiła wysiłek, chcąc zobaczyć kwiatki i wszystko się dobrze skończyło. Ale opowiadanie zabrało sporo czasu, gdyż babunia wtrącała ciągle okrzyki podziwu i podzięk, wołając:

— Czy to rzeczywistość, nie sen? Czy jesteśmy przytomni i siedzimy tu przy stole? Czy ta dziewczynka z zaokrągloną, rumianą twarzą to moja Klarcia, niedawno bezsilna i biała?

Dziewczęta radowały się z powodzenia niespodzianki, która zrobiła takie wrażenie na babuni.

Tymczasem pan Sesemann zakończył swoje sprawy w Paryżu i postanowił ze swej strony zrobić niespodziankę. Nie pisząc matce ani słowa, wsiadł pewnego pogodnego dnia do pociągu, przenocował w Bazylei i nazajutrz ruszył dalej, spragniony zobaczyć córeczkę, niewidzianą przez całe lato. Do Ragaz dotarł w parę godzin po wyjeździe matki.

Wiadomość, że właśnie dziś wyruszyła na halę, była mu na rękę, wziął powóz do Mayenfeldu, a tam powiedziano mu, że może dojechać do samego osiedla. Pojechał więc, wiedząc, że i tak go zmęczy długa wędrówka po stromym zboczu.

I wcale się nie omylił. Szedł i szedł z coraz to większym trudem, nie spostrzegając nigdzie chaty, a wiedział, że w połowie drogi mieszka Pietrek-koźlarz, bo nieraz dokładnie mu to opisywano.

Wszędzie natrafiał na liczne ślady stóp, snujące się w różnych kierunkach i krzyżujące się ścieżki, nie wiedział więc, czy idzie dobrą drogą ani po której stronie hali stoi chata. Wokół było pusto, nie mógł nikogo zapytać. Panowała niezmierna cisza, tylko górski wiatr płynął falą, komary tańczyły w słonecznym błękicie, a na samotnych modrzewiach pogwizdywały ptaki. Przystanął, by ochłodzić spocone czoło w alpejskim wietrze.

Nagle usłyszał, że ktoś biegnie z góry. Był to Pietrek z depeszą. Pędził na wprost po zboczu, omijając ścieżkę, na której stał pan Sesemann. Gdy się z nim zrównał, przybyły skinął mu, by się zbliżył. Pietrek z pewną trwogą wykonał polecenie i podszedł bokiem, nie prosto, jakby miał tylko jedną nogę zdrową, a drugą powłóczył.

— Chodźże tu, chłopcze! — zachęcał go pan Sesemann. — Powiedz mi, czy tą drogą dojdę do Halnego Dziadka, dziadka Heidi, u którego są goście z Frankfurtu?

Odpowiedział mu wrzask nieludzkiego strachu. Pietrek skoczył na dół tak gwałtownie, że runął na strome zbocze, przewrócił kozła, potem jeszcze jednego, podskoczył na jakimś głazie i staczał się dalej, podobnie jak wózek, nie rozbijając się tylko, na szczęście, w kawałki.

Poszarpana depesza poleciała gdzieś i przepadła.

— Dziwnie bojaźliwy jest ten mieszkaniec gór! — powiedział sobie pan Sesemann, sądząc, że takie wrażenie na Pietrku zrobiło zjawienie się cudzoziemca.

Spojrząwszy za spadającym, ruszył dalej.

Pietrek mimo wysiłków nie mógł znaleźć punktu oparcia i spadał coraz dalej, robiąc dziwaczne kozły.

Nie było to jednak najgorsza strona sytuacji. Bardziej dokuczał mu nieopisany strach. Wiedział już teraz, że przybył urzędnik policyjny z Frankfurtu. Nie wątpił ani przez chwilę, że jest nim właśnie napotkany cudzoziemiec, bo po cóż by pytał o chatę Halnego Dziadka i gości frankfurckich. Na ostatnim urwisku, ponad osiedlem, Pietrek rzucił się w gęsty krzak, chwycił go i odetchnął. Leżał dobrą chwilę, zbierając myśli.

— A to dobre! Znowu coś spada jak worek kartofli! — usłyszał pod sobą. — Któż jutro coś jeszcze strąci?

Poznał drwiący głos piekarza, który chłodząc się na wietrze po uciążliwej codziennej pracy, patrzył spokojnie, jak leci z góry, zupełnie podobnie do wózka.

Skoczył na nogi i doznał nowego strachu. Piekarz wiedział więc, że wózek został strącony. Nie oglądając się, zaczął biec z powrotem pod górę. Najchętniej byłby wrócił do domu i włożył do łóżka, gdzie się czuł bezpieczny. Ale miał kozy na pastwisku, a Halny Dziadek nakazał mu wrócić do nich jak najprędzej. Bał się go strasznie i nie pozwoliłby sobie na nieposłuszeństwo. Stękał i jęczał głośno, ale kulał dalej, gdyż trzeba było wracać na górę. Nie biegł teraz tylko, ale szedł z trudem. Strach i mnóstwo otrzymanych uderzeń nie pozostały bez skutku.

Pan Sesemann niedługo po spotkaniu z Pietrkiem ujrzał chatę i jodły, podwoił kroku i wreszcie po długiej, uciążliwej wędrówce dotarł na miejsce.

Szybko wspiął się na ostatnie wzniesienie, chcąc zaskoczyć córkę. Ale dostrzeżono go z góry i został przygotowany występ, jakiego zgoła nie przewidywał.

Gdy się znalazł o kilka kroków, wyszły naprzeciw niego dwie dziewczynki. Jedna była

Strach

Wspomnienia

wysoka, jasnowłosa, o rumianych policzkach, a szła oparta na niższej, bystrookiej Heidi, którą zaraz poznał. Przystanął zdumiony i nagle z jego oczu trysnęły obfite łzy. Wspomnienia stanęły przed nim. Taką samą smukłą blondynką, o różanych policzkach była jego żona. Nie wiedział, czy to sen, czy jawa.

— Ojczulku, nie poznajesz mnie już, widzę! Czy się tak zmieniłam? — zawołała rozpromieniona Klara.

Pan Sesemann podbiegł do córki i objąwszy ją, powiedział:

— O, tak, zmieniłaś się, zmieniłaś bardzo, dziecko drogie! Czyż to możliwe?

Nie posiadając się ze szczęścia, odstąpił krok i długo patrzył, sądząc, że zjawisko zniknie, potem zrobił to jeszcze raz.

— Czy to ty, moja Klarciu? — powtarzał raz po raz, potem tulił ją do siebie i przypatrywał się jej znowu.

W końcu podeszła babunia, chcąc spojrzeć w rozpromienione oblicze syna.

— Przyszynaj, mój drogi — rzekła — że w zamian za swoją niespodziankę miałeś jeszcze lepszą.

Powitali się serdecznie, potem zaś babunia dodała:

— Chodźże teraz do kochanego, drogiego Halnego Dziadka, naszego dobroczyńcy!

— O tak! Muszę jeszcze powitać kochaną Heidi, naszą domowniczkę! — zawołał, ściskając jej dłoń. — Zawsze rumiana, zdrowa i wesola! Cieszy mnie to, droga Heidi, bardzo cieszy!

Heidi również patrzyła promiennie na pana Sesemanna. Był dla niej zawsze dobry, a szczęście, jakiego zaznał tu, na hali, wprawiło serce jej w żywsze bicie.

Babunia zaprowadziła teraz pana Sesemanna do dziadka. Mężczyźni zaczęli sobie ścisnąć dłonie, a szczęśliwy ojciec wyraził podziękę i podziw dla niepojętego cudu. Babunia tymczasem oddaliła się, by im nie przeszkadzać.

Pod starymi jodłami, gdzie się udała, zastała nową niespodziankę. Między zwieszającymi się do ziemi gałęzmi stał ogromny krzew najcudniejszych, ciemnoszafirowych gencjan, a były tak świeże, jakby dopiero co rozkwitły. Babunia klasnęła w ręce z podziwu.

— Cóż za wspaniałe kwiaty! — zawołała. — Istny cud! Heidi, droga Heidi, chodź no tu! Czy to ty sprawiłaś mi tę przyjemność?

Przybiegły obie.

— Nie ja, babuniu! — odparła Heidi — ale wiem, kto to zrobił.

— Takie same i jeszcze piękniejsze rosną na pastwisku! — dodała Klara. — Zgadnij, babuniu, kto przyniósł wczesnym rankiem te gencjany!

Klara uśmiechnęła się tak zagadkowo, że babuni przyszło na myśl, iż sama tego dokonała. Pastwisko było jednak zbyt odległe.

Nagle spoza jodeł doleciał szelest. Był to Pietrek, który właśnie tu dotarł. Widząc, kto stoi obok Halnego Dziadka przed chatą, zatoczył wielkie koło i chciał się prześliznąć pod jodłami, by pójść dalej. Babunia jednak poznała go i nagle błysła jej nowa myśl. To pewnie Pietrek przyniósł kwiaty, a teraz chciał się wysłiznąć, przez wrodzoną lękliwość i skromność. Postanowiła go zatrzymać i nagrodzić.

— Chodź, chłopcze! — powiedziała, wtykając głowę pomiędzy gałęzie. — Nie bójże się! Chodź do mnie!

Pietrek skamieniał ze zgrozy. Po tym, co przeżył, stracił całą siłę oporu. Czuł tylko: Teraz koniec! Włosy mu stanęły na głowie. Błady, zmieniony, drżący ze strachu wyszedł z gęstwy.

— Chodźże, chodź i powiedz bez ogródek wszystko! — zachęcała go babunia. — Czy to ty zrobiłeś?

Pietrek patrzył w ziemię i nie dostrzegł kierunku, w którym wskazywał palec babuni. Widział tylko przed chatą Halnego Dziadka, który go przeszywał spojrzeniem szarych źrenic, a obok niego stał najstraszniejszy człowiek, urzędnik policyjny z Frankfurtu. Drżąc całym ciałem, wyrzucił słowo wyznania:

— Ja!

— No i cóż jest w tym tak strasznego? — zdziwiła się babunia.

— On... on się rozbił i... nie można go już naprawić! — wykrztusił z wielkim trudem, a kolana ugięły się pod nim, tak że omal nie padł na ziemię.

Babunia zbliżyła się do dziadka.

— Drogi panie — spytała z politowaniem — czy ten chłopiec ma źle w głowie?

— O, nie, nie! — zapewnił. — On tylko jest tym wiatrem, który porwał wózek, i oczekuje teraz słusznej kary.

Babunia nie mogła uwierzyć, gdyż Pietrek nie wyglądał wcale na złośliwego chłopca, który by miał niszczyć potrzebny sprzęt. Ale dla dziadka to wyznanie było tylko potwierdzeniem podejrzeń, powziętych zaraz po wypadku. Widział zawistne spojrzenia Pietrka miotane Klarze i inne objawy gniewu na przybyszów. Domyślił się związku i wszystko to teraz opowiedział szczegółowo babuni. Gdy skończył, powiedziała żywo:

— Nie, nie, drogi panie, nie karzmy tego chłopca. Bądźmy pobłażliwi. Oto przyjeżdżają z Frankfurtu cudzoziemcy i zabierają mu na całe tygodnie Heidi, jego jedyne i rzeczywiście wielkie dobro. On zaś jest bezsilny. Tak, tak, bądźmy pobłażliwi, gniew go popchnął do głupiej zemsty, ale przecież gniew nas wszystkich ogłupia.

Rzekłszy to, wróciła do drżącego jeszcze Pietrka.

Siadła na ławce pod jodłami, mówiąc łagodnie:

— Chodź tu do mnie, mój chłopcze, mam ci coś powiedzieć. Przestań drżeć i słuchaj uważnie. Zrzuciłeś wózek ze skały, żeby się rozbił. Jest to zły uczynek, wiedziałeś o tym, jak również o karze, która cię czeka. Chcąc jej uniknąć, musiałeś robić wysiłki, żeby to zataić. Myli się jednak winowajca, że zdoła zataić swój czyn. Bóg widzi wszystko i kiedy ktoś chce zatajać grzech, budzi w nim sumienie, które ma w ręku mały, ostry kolec. Kolec ten kłuje nieustannie, tak że winowajca nie ma chwili spokoju, bo ciągle myśli: „Teraz wszystko wyjdzie na wierzch! Teraz spadnie kara!”. Życie upływa mu w strachu i nie ma już żadnej radości. Cóż, Pietrku, doznawałeś tego?

Skinął głową skruszony, ale z miną znawcy, gdyż poznał to klucie doskonale.

— Omyliłeś się jeszcze w innej sprawie! — ciągnęła dalej. — Twój zły czyn wyszedł na najlepsze tej właśnie, którą chciałeś skrzywdzić. Nie mając wózka, a chcąc zobaczyć kwiaty, Klara zrobiła wysiłek, nauczyła się chodzić. Chodzi coraz lepiej i może kiedyś będzie spędzała na pastwisku całe dni, częściej nawet, niż gdyby to mogła robić, mając wózek. Widzisz więc, co się stało! Bóg może uczynić zły czyn i krzywdę dobrodziejstwem dla poszkodowanego. Zrozumiałeś wszystko, nieprawdaż, Pietrku? Zapamiętaj sobie to, co mówiłam o sumieniu z kolcem, ile razy miałbyś ochotę zrobić coś złego. Czy tak uczynisz?

— Uczynię! — przyrzekł przygnębionym głosem, gdyż nie wiedział jeszcze, jak się to wszystko skończy, bo urzędnik policyjny stał dalej obok dziadka.

— A więc dobrze! Sprawa załatwiona — powiedziała babunia. — A teraz chciałabym ci dać jakiś upominek od cudzoziemców z Frankfurtu. Pewnie miałeś nieraz jakieś pragnienie. Powiedz, co by ci sprawiło przyjemność?

Pietrek podniósł głowę i wybałuszył na babunię oczy. Ciągle oczekiwał jeszcze czegoś strasznego, a teraz nagle kazano mu wybierać sobie podarek? Wszystko zmaćciło mu się w głowie.

— Tak, tak, mówię całkiem serio! — zapewniła. — Chcę ci dać coś ładnego na pamiątkę od gości z Frankfurtu i jako dowód, że nie myślą cię oni karać. Rozumiesz, chłopcze?

Zaczął się teraz domyślać, że nie zagraża mu już kara, bo dobra pani wyrwała go ze szponów urzędnika policyjnego. Odetchnął swobodnie, jakby mu kamień spadł ze serca. Zrozumiał jednocześnie, że lepiej wyznać wszystko od razu, rzekł więc zniechęcony:

— Zgubiłem także ten papier.

Babunia pomyślała chwilę i zrozumiała, o czym mowa, odparła łagodnie:

— Dobrze, że to mówisz. Skoro się wyzna winę, znowu jest wszystko w porządku. Powiedz teraz, co byś chciał mieć?

Pietrek mógł teraz zażądać wszystkiego na świecie. Stał mu w oczach cały jarmark w Mayenfeldzie, gdzie było mnóstwo prześlicznych rzeczy, które podziwiał godzinami, nie mogąc ich posiadać. Cały jego majątek nie przekraczał piątki, a wszystko kosztowało co najmniej ze dwa razy tyle. Były tam śliczne, małe, czerwone pieszczalki, pociągające szczyryki, zwane żabobijami, z którymi można było polować po wszystkich krzakach leszczyzny.

Stał zamyślony, rozważając, która z tych rzeczy jest godniejsza pożądania. Nagle zabłysnął mu wspaniały pomysł, pozwalający mu namyślać się aż do następnego jarmarku.

Sumienie



— Chciałbym mieć dziesiątkę! — powiedział stanowczo.

— To wcale nie przesadne życzenie! — zaśmiała się babunia. — Chodźże więc! — dobyła z woreczka wielkiego nowego talara<sup>52</sup>, położyła na nim dwie dziesiątki i rzekła: — Zrobmy równy rachunek. Słuchaj. Masz tutaj razem tyle dziesiątek, ile rok ma tygodni. Możesz więc co niedzielę wydawać po dziesiątce.

— Przez całe życie? — spytał naiwnie.

Babunia wybuchnęła takim śmiechem, że mężczyźni przerwali rozmowę, chcąc się dowiedzieć, co zaszło. Babunia śmiała się długo, potem zaś rzekła:

— Dobrze, chłopcze! Umieszczę taki zapis w swoim testamencie... Słyszysz, synu?... A potem przejdzie on do twojego. Pietrek-koźlarz ma otrzymać dziesiątkę tygodniowo, jak długo będzie żył.

Pan Sesemann skinął na zgodę i zaśmiał się także.

Pietrek spojrział raz jeszcze na trzymany w ręce podarek, jakby nie wierzył, że to prawda, potem krzyknął:

— Bóg zapłać!

Uciekł w nieprawdopodobnych podskokach, ale nie upadł, gdyż pędził go nie strach, lecz radość, jakiej nie zaznał w życiu. Minęło wszystko, co złe, i miał do końca życia dziesiątkę tygodniowo, wyłącznie dla siebie samego.

Spożyto wesoły obiad przed chatą, rozmawiając o różnościach, potem zaś Klara ujęła coraz bardziej rozpromienionego ojca za rękę i rzekła z nieznaną u niej przedtem żywością:

— Nie umiem ci powiedzieć, ojczulku, ile dobrego doznałam od dziadka i chciałabym ze swej strony dać mu coś, co by go choć w połowie tak uszczęśliwiło.

— Jest to również moim gorącym pragnieniem! — odrzekł. — Namyslałem się właśnie przed chwilą, w jaki sposób moglibyśmy wyrazić podziękę naszemu dobroczyńcy.

Pan Sesemann wstał, podszedł do rozmawiającego z babunią dziadka, uściśnął mu dłoń serdecznie i rzekł serdecznie:

— Drogi przyjacielu, pragnę z panem zamienić kilka słów. Od długich lat nie zaznałem prawdziwej przyjemności. Czymże mi był majątek, gdy patrzyłem na moje biedne dziecko, którego żadna kwota nie mogła uleczyć. Bóg i pan przywróciliście jej zdrowie i obdarzyliście mnie przez to nowym życiem. Mów pan więc, czym mogę okazać swą wdzięczność. Odplacić tego nie sposób, ale wszystko, czym rozporządzam, jest na pańskie usługi. Powiedz, drogi przyjacielu, co mam zrobić?

Dziadek wysłuchiwał tych słów, spoglądając z uśmiechem na szczęśliwego ojca, potem zaś rzekł dobitnie jak zawsze:

— Proszę wierzyć, że i ja mam udział w radości wywołanej tym tak szczęśliwym uleczeniem na naszej hali, i to w zupełności nagradza tę odrobinę mego trudu. Dziękuję bardzo za łaskawą propozycję, ale mnie samemu niczego nie potrzeba, a jak długo żyję, utrzymam siebie i wnuczkę. Gdyby się jednak spełniło moje jedno jedyne pragnienie, nie miałbym już troski w życiu.

— Proszę, mów pan! — nalegał pan Sesemann.

— Jestem stary, niedługo umrę, nie mogąc nic zostawić Heidi, a krewnych nie mam, prócz jednej osoby, która by ją zresztą tylko wykorzystywała. Odda mi pan hojnie wszystko, co mogłem zrobić dla jego córki, jeśli przyrzeknie, że Heidi nie pójdzie do obcych pracować na codzienny chleb.

— Drogi przyjacielu, o tym nie ma mowy! — zawołał żywo pan Sesemann. — Heidi jest nasza. Spytaj pan moją matkę i córkę. Nie oddamy ją obcym, oto ręka moja, jeśli to ma pana uspokoić. Przyrzekam, że ani za mego życia, ani po śmierci wnuczka pańska nie zazna niedostatku. Dziewczynka ta, jakeśmy się przekonali, nie może żyć zagranicą. Ale zyskała we Frankfurcie, prócz nas, jeszcze innego przyjaciela. Doktor, znany panu, skończy właśnie swe interesy jeszcze tej jesieni i przybędzie, by się osiedlić tu, gdzie mu było tak dobrze. Zasięgnie właśnie pańskiej rady. W ten sposób Heidi będzie miała w pobliżu dwu opiekunów, oby jak najdłuższe lata!

— Daj Boże! — zawołała babunia, potrząsając długo ręką dziadka. Potem, otoczywszy ramieniem szyję stojącej obok Heidi, przytuliła ją do siebie.

— A ty, dziecko drogie, jakież masz pragnienie? — spytała czule.

<sup>52</sup>*talár* — dawna duża srebrna moneta. [przypis edytorski]

— Mam jedno pragnienie! — rzekła Heidi, patrząc na babunię wesoło.

— Mów więc! Co byś chciała mieć?

— Chciałabym dostać swoje dawne łóżko z Frankfurtu, z trzema grubymi poduszkami i grubą kołdrą. Babce zawsze spada głowa i leżąc nisko, nie może oddychać. Przy ty, marznie pod cienką kołdrą i musi owijać się szalem.

Heidi wyrzuciła to jednym tchem, chcąc czym prędzej dojść do zamierzonego celu.

— Doskonale, że mi o tym przypominasz, dziecko! — wykrzyknęła żywo babunia. — W radości zapominamy łatwo o tych, którzy cierpią niedostatek. Pośle się niezwłocznie telegram do Frankfurtu, Rottenmeier zapakuje łóżko i może ono tu być w ciągu dwu dni. Niechże się babce śpi w nim dobrze!

Rozradowana Heidi zaczęła skakać wokół babuni, zaraz jednak wstrzymała się, mówiąc spiesznie:

— Muszę prędko pobiec do babki. Boi się, gdy mnie długo nie widzi.

Nie mogła doczekać chwili zwiastowania babce dobrej nowiny, zwłaszcza że istotnie dawno już u niej nie była.

— Ależ, Heidi! — zauważył dziadek. — Mając gości, nie można uciekać z domu.

Ale babunia poparła ją:

— Może ma słuszość! Biedna babka źle wyszła na naszych odwiedzinach. Chciałabym pójść do niej razem z Heidi. Tam zaczekam na mego konia, potem zaś udamy się do osiedla nadać telegram. Cóż ty na to, mój synu?

Pan Sesemann nie zdążył dotąd sformułować swych planów podróży, poprosił więc o chwilę cierpliwości.

Chciał początkowo odbyć z matką podróż po Szwajcarii, spróbował wprawdzie, czy Klara będzie mogła im krótko bodaj towarzyszyć. Teraz jednak miał przed sobą wspaniałą podróż z obiema. Proponował, by przenocować w osiedlu, zabrać nazajutrz Klarę z hali, pojechać z nią i babunią do Ragaz, potem zaś dalej.

Klarę zmartwiło trochę to nagłe opuszczenie hali, ale tyle było w niej i wokół niej radości, że na smutek nie starczyło czasu.

Babunia wstała, ujęła Heidi za rękę i miała już iść, gdy nagle obróciła się, pytając z niepokojem:

— A cóż zrobimy z Klarą? Tak daleko chyba nie zajdzie?

Dziadek wziął zaraz bez słowa swą wychowankę na ręce i poszedł za babunią. Pochód zamykał pan Sesemann i tak zstępowali z góry.

Heidi co chwila podskakiwała z radości, a babunia wypytywała troskliwie o babkę, co robi i jak żyje, zwłaszcza w zimie, podczas mrozów.

Heidi zdawała szczegółowo sprawę, jak ze wszystkiego. Zimą babka siedzi w swym kątku i drży z zimna. Wiedziała też, co jąda, a czego jej brak.

Babunia słuchała z wielką uwagą aż do samej chaty.

Brygida rozwieszała właśnie na słońcu drugą koszulę Pietrka, by się mógł przebrać. Ujrawszy korowód, wpadła do izby, wołając:

— Wszyscy odchodzą właśnie. Całe towarzystwo, Halny Dziadek niesie chorą.

— Ach! Więc się stało! — wykrzyknęła babka boleśnie. — Zabierają mi Heidi, przecież widziałaś? Pragnę, by mi chociaż podała na pożegnanie rękę. Chciałabym bodaj usłyszeć jej głos!

W tej chwili otwarto porywczo drzwi. Wbiegła Heidi, skoczyła do kąćka, gdzie siedziała babka i objęła ją, wołając:

— Babko! Babko! Moje łóżko przybędzie tu za dwa dni z Frankfurtu, razem z trzema poduszkami i ciepłą kołdrą! Tak powiedziała babunia.

Wyrzuciła szybko te słowa, pewna wielkiej radości staruszki. Ale babka uśmiechnęła się jakoś smutnie i rzekła:

— Bardzo dobra jest ta babunia i powinna bym się cieszyć, że cię zabiera. Ale ja tego nie przeżyję.

— Co? Co? Któż to powiedział dobrej, starej babce? — spytał łagodny głos babuni, która weszła i ujęła dłoń staruszki. — Nie! O tym nie ma mowy! Heidi zostanie na pociechę swej babki. Będziemy ją widywać, ale tutaj, na miejscu. Każdego roku przybędziemy na halę, żeby podziękować Bogu za cud, jaki ziścił na naszej Klarcy.

Teraz dopiero rozpromieniła się twarz babki. Bez słów ścisnęła długo dłoń dobrej pani Sesemann, a łzy radości spływały jej po policzkach. Ta radość babki bardzo Heidi uszczęśliwiła.

— Babko! — zawołała. — Teraz sprawdziły się słowa hymnu. Widać, że to łóżko z Frankfurtu jest dla ciebie rzeczą zbawienną.

— Ach, droga Heidi, ileż łask na mnie zesłał Bóg! — powiedziała wzruszona do głębi. — Czyż mogłam przypuszczać, że istnieją dobrzy ludzie, troszczący się o biedną starowinę? Świadczy to wymownie o dobroci Boga, który nie zapomina nawet o tak ostatnich istotach jak ja.

— Moja droga pani! — powiedziała pani Sesemann. — Wobec Boga wszyscy jesteśmy posłedni i wszystkim jednakowo potrzeba jego opieki. A teraz żegnamy się, ale do powrotu, bo gdy zjedziemy na przyszły rok na halę, dobra babka nie zostanie zapomniana.

Pani Sesemann uściśnęła dłoń staruszki, ale nie mogła uwolnić jej ręk, gdyż babka dziękowała długo i życzyła jej oraz całej rodzinie wszystkich błogosławieństw Boga.

Teraz pan Sesemann udał się z matką na dół, a dziadek odniósł Klarę raz jeszcze na halę. Heidi podskakiwała bez ustanku obok nich, bardzo uradowana łóżkiem babki.

Klara, zmuszona opuścić halę, gdzie jej tak było dobrze, wylewała nazajutrz gorące łzy. Ale Heidi pocieszyła ją:

— Wkrótce nastanie lato, wrócisz i będzie jeszcze piękniej, gdyż od samego początku będziemy chodziły razem, wspólnie z kozami na pastwisko i na kwietne łąki... Wszystko, co miłe, rozpocznie się na nowo.

Pan Sesemann przybył po córkę. Omawiali jeszcze z dziadkiem różne sprawy, a pocieszona przez Heidi Klara otarła łzy.

— Pozdrawiam także Pietrka — rzekła — i wszystkie kozy, zwłaszcza Białuszkę. Chciałabym jej złożyć jakiś podarek za wyborne mleko.

— O, to bardzo łatwe! — zaręczyła Heidi. — Przyślij jej trochę soli. Wiesz, jak ją wieczorem chętnie zjada z dłoni dziadka.

Spodobało się to Klarze.

— Przyślę jej sto funtów soli z Frankfurtu! — wykrzyknęła wesoło. — Niech ma po mnie pamiątkę!

Pan Sesemann dał znak odjazdu. Na białego konia babuni wsiadła tym razem Klara, nie potrzebując już wcale nosideł.

Heidi wychyliła się daleko poza brzeg urwiska i żegnała ją ręką, aż koń i amazonka<sup>53</sup> znikli bez śladu.

Łóżko przybyło, babka sypia doskonale każdej nocy i pewnie nabierze nowych sił.

Babunia nie zapomniała także, jak ostra bywa zima na hali. Posłała wielki toboł odzieży do Pietrkowej chaty, tak że babka mogła się ciepło przyodziać i nie drży już z zimna w swym kątku.

W osiedlu wre praca budowlana. Doktor przybył w jesieni i za poradą dziadka kupił stary dwór, gdzie Halny Dziadek mieszkał zimą wraz z Heidi. Wielką salę, z wysokim piecem i kunsztowną podłogą, oraz paradną część dworu przebudowuje doktor dla siebie. W drugiej zamieszka razem z Heidi dziadek, zamilowany w niezawisłości i własnym obejściu. Z tyłu będzie murowana, ciepła obórka dla Białuszki i Buraski, gdzie spędzać będą wygodnie każdą zimę.

Doktor i Halny Dziadek zaprzyjaźnili się bardzo, a uczucie to wzrasta z każdym dniem. Chodząc po murach i dozorując budowę, rozmawiają przeważnie o Heidi, gdyż najbardziej ich cieszy, że zamieszkają tutaj z wesołą dziewczynką.

— Drogi przyjacielu! — powiedział niedawno doktor, stojąc wraz z dziadkiem na murach. — Powinieneś mnie rozumieć. Podzielam całe pańskie przywiązanie do Heidi, jakbym był jej po panu najbliższy. Toteż chcę także podzielać obowiązki i dbać o nią. Roszczę sobie prawo do jej opieki na starość, ale przyznaję jej także pełne prawa dziecka. Nie troszcz się pan zatem jej losem na wypadek, gdybyśmy mieli kiedyś porzucić ten świat.

Dziadek długo potrząsał ręką zacnego doktora, nie mówiąc słowa, ale doktor widział w jego oczach wielkie wzruszenie.

<sup>53</sup>amazonka — tu: kobieta uprawiająca jazdę konną. [przypis edytorski]

Tymczasem Heidi i Pietrek byli u babki. Heidi miała tyle do opowiadania, a Pietrek do słuchania, że oboje cisnęli się zadyszani do staruszki. Dużo rzeczy zaszło w ciągu lata, a bardzo mało stykali się ze sobą.

Wszyscy troje promieniali radością z powodu tych wszystkich spraw i nadziei ponownego współżycia razem z sobą. Najwesejsza jednak była chyba Brygida, gdyż dziś dopiero, dzięki Heidi, zrozumiała wyraźnie, jak się ma ta sprawa dożywotniej dziesiątki Pietrka.

W końcu babka rzekła:

— Heidi, przeczytaj mi hymn pochwalno-dziękczynny! Zdaje mi się, że będę jeszcze żyła i mogła składać dzięki Bogu za wszystko, co dla nas uczynił.

„*Wielbij duszo moja Pana*”<sup>54</sup>.

---

<sup>54</sup>*Wielbij duszo moja Pana* (łac. *Magnificat*) — religijna radosna pieśń dziękczynna, zbliżona do psalmu, oparta na tekstach ze Starego Testamentu i słowach, które wypowiedziała Maria, matka Jezusa, podczas spotkania z Elżbietą (Łk 1, 46–55). [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/heidi/>

Tekst opracowany na podstawie: Joanna Spyri, Heidi, Wydawnictwo Polskie, Poznań [ok. 1927].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Korekta utworu ze źródłem została wykonana przez wikiskrybów.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0947-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).